

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Aleksander Krawczuk

TYTUS I BERENIKA

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

PATRZĄC NA RZYM Z PALATYNU

Sprawy rozwijały się właśnie tak, jak Berenika planowała i marzyła. I ją samą, i jej umiłowanego brata, króla Agryppę, przyjęto w Rzymie z wszelkimi honorami. Jemu oficjalnie przyznano mocą uroczystej uchwały senatu insygnia godności pretorskiej, jej zaś oddano do dyspozycji pokoje w cesarskim domu na Palatynie. Dzięki temu mogła spotykać się z Tytusem bez przeszkód i kiedy tylko chciała; w mieście powiadano otwarcie, że tych dwoje zachowuje się już jak małżeństwo.

Czuli się tym swobodniej, że ojciec Tytusa, cesarz Wespazjan, nie mieszkał na Palatynie. Najczęściej i najchętniej przebywał w ogrodach zwanych Sallustiańskimi. Ten rozległy park, wyrosły z dawnych ogrodów Cezara przy bramie Kolliańskiej, leżał tuż za murami miasta, na stokach wzgórza Pincjusz i w dolinie pomiędzy tym wzgórzem a Kwirynałem. Wille, altany i świątynie rozmieszczono wśród drzew i sadzawek, łąk i kwietników. Cicho tu było i przestronnie, zielono i sielsko. A miasto jakże blisko! Bezpieczeństwo zapewniał ogrodowi biegnący wokół solidny mur; wielce przydatny, gdyby przyszło się bronić. Dowiodły tego wypadki nie tak odległe, bo zaledwie sprzed lat sześciu. W grudniu roku 69 żołnierze Witeliusza właśnie zza tego muru przez cały dzień odpierali Wespazjanowych legionistów, ciskając kamienie i włócznie, rażąc napastników z proc i łuków. I dłużej by zdzierzyli, gdyby jazda Wespazjana nie wdarła się od strony bramy Kolliańskiej.

Wracając jednak do Bereniki, trzeba przyznać, że królowa miała powody, by święcie wierzyć, że formalna ceremonia zaślubin odbędzie się wkrótce; pierwszym zaś z owych powodów było – tak utrzymywano – słowo dane jej przez Tytusa. Toteż już występowała niby żona przyszłego cesarza. Dumnie i godnie, jak sama mniemała, pysznie zaś i arogancko, jak twierdzili Rzymianie.

A przecież było to spotkanie po czterech latach rozłąki! Uczucie zrodzone w niezwykłych dniach tamtej wojny okazało się zdumiewająco trwałe, żywe, świeże. Oczywiście w ciągu owych lat oboje często pisywali do siebie. Nieraz też ślali zaufanych dworzan – z pozdrowieniami i darami, ale i z tajnymi poleceniami zbadania, czy tamta strona jeszcze pamięta. Jednakże podróże pomiędzy Italią a Palestyną, lądem i morzem, ciągnęły się długo i obfitowały w niebezpieczeństwa. Oboje też dobrze wiedzieli, że czułe słowa listów potrafią zręcznie zwodzić, wysłannicy zaś zazwyczaj schlebiają i przekazują swym panom tylko to, co ci chcieliby od nich usłyszeć; czynią tak z tej prostej przyczyny, że nikt nie nagradza nazbyt hojnie zwiastunów wieści smutnych.

Rozłąka, łatwo odgadnąć, niepokoiła głównie Berenikę. Gorący temperament Tytusa i jego skłonności do erotycznych ekscesów znano powszechnie. Co prawda, złośliwi przyjaciele mogliby pocieszać królową obłudnie, że Tytus ostatnio gustuje raczej w chłopcach; pijatyki w ich towarzystwie trwały do późnej nocy, nieodmiennie kończąc się orgiami. Względna to wszakże byłaby pociecha! Zresztą Tytus miewał też inne miłostki, na szczęście przelotne. Ale chyba najbardziej deprymujące myśli nasuwał Berenice sam bieg czasu; przekroczyła już lat czterdzieści, umiłowany zaś był młodszy o lat dwanaście. Pojmowała coraz ostrzej i boleśniej, że prowadzi wyścig niemal beznadziejny; jeśli nie zwycięży teraz lub w najbliższej przyszłości, przegra na zawsze.

Jednakże gdy tylko się ujrzeli w Rzymie, już pierwsze spojrzenia i słowa powiedziały obojgu – jej zaś przede wszystkim – że miłosne zaklęcia, przekazywane w listach i przez posłańców, nie kłamały. Stało się więc tak, że romans ich rozkwitał na Palatynie tak samo gwałtownie i pięknie, jak przed laty w dalekich krainach Syrii, Fenicji, Palestyny. Przemie-

rzali wtedy ziemie urzekające zmiennością i jaskrawością kolorytu – od soczyście zielonych dolin i oaz po spalone słońcem, płowe pustkowie skał i piasków; od wybrzeży błękitnego morza po wysokie góry, o zboczach porośniętych lasami wiekowych cedrów. Ale też wtedy kroczyła za nimi drapieżna śmierć. Bywały dni, kiedy wiatr przynosił cłkiwy odór rozkładających się zwłok aż do komnat królowej; a ileż to razy namiot Tytusa stał na skrwawionym pobojowisku lub w pobliżu zgliszcz, gdzie jeszcze się dopalały stopy trupów!

Tamte kraje, a także nieszczęsne lata złej wojny zostały daleko za nimi. Pełny pokój panował i na Wschodzie, i w Italii. Był rok, według naszej rachuby lat, 75. Władztwo cesarza Wespazjana, już sześćdziesięcioletnie, dobrze się ugruntowało. Oboje, Tytus i Berenika, żyli w blasku monarszego majestatu, a u stóp swoich mieli miasto ogromne, bogate, rojne, prawdziwą stolicę świata. Mieszkając na Palatynie królowa co dzień patrzyła na Rzym z wysokości wzgórze, spacerując po alejach ogrodów lub opierając się o balustradę pałacowych balkonów. Obejmowała wzrokiem wielką panoramę metropolii – świątynie, bazyliki, teatry, cyrki, pomniki, obeliski, kolumnady. Czy uważała się za triumfatorkę? Miałaoby wszelkie prawo po temu.

Można więc wiele powiedzieć o Berenice, a nawet znacznie więcej, jak wnet się okaże. O tym wszakże, na czym polegała jej uroda i urok, jaka była jej twarz, oczy i włosy, jaka postać i ruchy, źródła milczą. Nie zachowała się żadna podobizna królowej. To łatwo dałoby się wytłumaczyć tym, że nie istniały jej portrety i rzeźby, była bowiem Żydówką, Zakon zaś zakazuje czynienia obrazu rzeczy tych, które są czy to na niebie w górze, czy też nisko na ziemi, czy wreszcie w wodach pod ziemią. Ale wiadomo przecież, że w pałacu jej ojca znajdowały się złote posągi zarówno Bereniki, jak i jej sióstr!

W jakich szatach chodziła najchętniej, jak upinała włosy – była chyba brunetką – jakie lubiła kolory sukien? Czerwone czy też niebieskie? A może żółte lub zielone? Znany jest tylko jeden szczegół, dotyczący jej stroju: miała pierścień ze wspaniałym diamentem, dar brata. Wiele Rzymianek marzyło choćby tylko o podobnym. Jeszcze w następnym pokoleniu pamiętał o tym poeta Juwenalis, wymieniając w swej szóstej satyrze wspaniałości, które kochający mąż ofiarowuje kapryśnej żonie:

„Przynoszą jej wielkie wazy kryształowe; potem mirrinowe, ogromne; wreszcie diament przesławny i szczególnej ceny, jako że miała go na swym palcu Berenika; król Agryppa dał go jej niegdyś, swej bezwstydnej siostrze; a było to tam, gdzie królowie boso święcą soboty, prastara zaś wyrozumiałość pozwala wieprzom dożyć sędziwego wieku.”

A więc tylko diament pozostaje jako punkt zaczepienia dla wyobraźni! Lub raczej błysk diamentu, kiedy promień słońca pada z ukosa na pierścień; królowa stoi w palatyńskim ogrodzie pod wysokim, ciemnozielonym cyprysem w sukni złocistej, rękę położyła na balustradzie z płowego kamienia i patrzy zamyślona na Rzym u swych stóp.

Lecz przed dziewięć laty nie wsunęła pierścienia z diamentem, kiedy wybiegała ze swego jerozolimskiego pałacu. Wybiegała boso, płacząc, suknię zaś miała nie strojną i barwną, lecz z lnu białego, prostą, jak najuboższa kobieta z ludu. Tak właśnie stanęła ona, królowa, przed trybuną, na której rozpierał się rzymski prokurator otoczony przez oficerów w srebrzystych zbrojach i w hełmach z kolorowymi pióropuszcami.

Działo się to w Jerozolimie wiosną roku 66, gdy prokuratorem Judei był Gesjusz Florus, a cesarz Neron panował już roku dwunasty.

WYKŁAD NAUKI SZYMONA MAGA

Jednakże uczniowie i wyznawcy Szymona zwanego Magiem mogliby powiedzieć – i chyba też mówili, bo choć jego nie było już wśród żywych, sporo ich działało wtedy i jeszcze długo potem w miastach Palestyny i Syrii – że takie upokorzenie nawet najświetniejszego majestatu ziemskiej królowej jest niczym w porównaniu z poniżeniem i cierpieniami, które spadły na pierwotne dzieło boże. Była nim Sofía, czyli Mądrość, zwana też Ennoją, czyli Myślą; sam Szymon i jego uczniowie posługiwali się raczej tym drugim imieniem. Nauczali tak:

Bóg, będący Mocą Najwyższą, powziął Myśl stworzenia. Ona to, pierwsza Myśl boża, jest Matką wszystkiego, co istnieje poza Bogiem, on zaś jest Ojcem. Gdy tylko została poczęta i poznała jego wolę, zstąpiła w dół; a sama myśl boża o tworzeniu jest już tworzeniem. Powoływała do bytu coraz to inne nieba, a także ich anioły, potęgi, władców; wreszcie zaś aniołowie nieba najniższego stworzyli ziemię i człowieka. Wnet jednak mieszkańcy wszystkich nieb zwrócili się przeciw samej Ennoi. Uczynili to powodowani pychą i zawiścią, nie chcieli bowiem przyznać, że komukolwiek zawdzięczają swe istnienie; o Bogu, Mocy Najwyższej, w ogóle nic nie wiedzieli, znali tylko Myśl – Ennoję. Zatrzymywali ją siłą i więzili, prześladowali i dręczyli, nie pozwalali powrócić do Ojca. Tak działo się w każdym niebie. Jednocześnie zaś sami aniołowie zaciekle walczyli o nią pomiędzy sobą, jako że gorąco pożąдали jej piękna.

Uciekając przed ustawicznymi cierpieniami, Ennoja spadała ku coraz niższym niebom. Wszystko to trwało wiele eonów, czyli wieczności. Znalazła się w końcu na dnie, to jest na ziemi. Tu musiała przyjąć postać kobiety. Odtąd przez wiele, wiele wieków przechodziła z jednego ciała niewieściego w inne, jakby ktoś to samo wino przelewał w coraz to nowe dzbanki. Właśnie ona była tą Heleną, o którą toczyła się niegdyś sławna wojna trojańska. Zawsze bowiem, gdzie tylko i kiedy tylko się pojawiała, rozpętywały się w każdym kraju i w każdej epoce krwawe walki pomiędzy ludźmi o nią i z jej powodu – jak przedtem toczyły się zmagania pomiędzy mieszkańcami niebiańskich kręgów. Wreszcie, po kilkunastu wiekach, spotkał Ennoję los najstraszniejszy.

Ale właśnie wtedy Ojciec, będący Mocą Najwyższą, postanowił przyjść z pomocą swemu pierwszemu dziełu, zaginionemu jeszcze przed narodzeniem się samego Czasu, Pragnął też ratować świat, jego wszystkie nieba i ziemie, albowiem żądni władzy aniołowie, ich stwórcy, źle rządili; każdy z nich chciał być pierwszy i każdy wynosił się nad innych. Począł więc Ojciec zstępować w dół przez kolejne nieba, niby po szczeblach drabiny. W którymkolwiek zaś kręgu przebywał, przybierał dla niepoznaki kształt i oblicze właściwe jego istotom. W ten sposób, nigdzie nie rozpoznany, dotarł na ziemię. Tutaj stał się człowiekiem, a mianowicie Szymonem, urodzonym w Samarii. Po długich i pełnych przygód poszukiwaniach odnalazł Ennoję w fenickim mieście Tyrze. Nosiła znowu imię Heleny. Aby zaś dopełniła się miara jej poniżenia i hańby, żyła tam zamknięta w domu publicznym.

Uwalniając ją, Szymon wybawił zarazem świat i człowieka. Jej bowiem los jest obrazem i symbolem cierpień duszy ludzkiej, uwięzionej w ciele i niegodnie poniżanej, dlatego też tak tęsknie czekającej na ocalenie.¹

Każdy, kto poznawał nauki Szymona Maga i zastanawiał się nad nimi, musiał zwrócić uwagę szczególnie na trzy zawarte w nich myśli – istotnie niezwykle, a nawet szokujące, płodne jednak w przyszłości i godne zapamiętania.

¹ Główne źródła do odtworzenia nauk Szymona Maga: Justyn, *Apologia*, I 26; Ireneusz, *Przeciw herezjom*, I 23; Euzebiusz, *Historia kościelna*, II 13.

Pierwsza z nich głosiła, że cały wszechświat, wszystkie jego niebiosy i szeroka ziemia, a także człowiek, jest dziełem nie Boga, lecz istot wtórnie stworzonych, występnych, pysznych, skłóconych zarówno pomiędzy sobą, jak i z Mądrością bożą, nade wszystko zaś skłonnych do zadawania cierpień. Stąd wniosek, że świat jest i zły z natury swojej, i źle rządzony.

Według myśli drugiej, Bóg przybywa na ziemię z zewnątrz, spoza okręgu wszystkich nieb, nie poznany przez nikogo, stale zaś narażony na ból i poniżenie.

Wreszcie myśl trzecia utrzymywała, że Ennoja, pierwotne dzieło boże, przeżywa tu najgorsze upokorzenie, jakie spotkać może kobietę, a zarazem zawsze jest pośrednią sprawczynią i bezsilnym świadkiem cierpień, krwi i wojen.

A ponieważ epoka ta lubowała się w niezwyklej symbolice porównań, dopowiedzieć można zgodnie z duchem jej wyobraźni:

Jak Berenika w Jerozolimie wiosną roku 66.

NAZYREJSKI ŚLUB BERENIKI

Wiosną roku 66 król Agryppa II opuścił swoją stolicę i wyruszył w daleką podróż. Stolica, Cezarea Filipowa, zwana też od niedawna Neroniada, leżała nieco powyżej jeziora Genezaret, w pobliżu źródeł Jordanu; większość bowiem krain podległych królowi rozciągała się na pograniczu syryjskim, na północ i daleko na wschód od tego jeziora. Ziemie te zwały się z grecka Gaulanitis i Batanea, Trachonitis i Auranitis. U zachodnich natomiast wybrzeży Genezaret do włości królewskich należały tylko dwa miasta z ich okęgami: Tyberiada i Tarichea.

Agryppa wybierał się aż do Aleksandrii egipskiej. Doszedł bowiem do wniosku, że wypada osobiście złożyć gratulacje namiestnikowi Egiptu, Tyberiuszowi Juliuszowi Aleksandrowi, dopiero co powołanemu na ten wysoki urząd przez cesarza Nerona. Berenika początkowo towarzyszyła bratu, z którym od lat prawie się nie rozstawała – jak żona nigdy nie opuszcza męża; co oczywiście wywoływało wielkie zgorzienie. Tym razem jednak rodzeństwo – ku powszechnemu zdziwieniu – pożegnało się już w Jerozolimie. Król podążył dalej na południe sam, jego zaś siostra zatrzymała się w świętym mieście; przyczyna zamieszkania w Jerozolimie, wnet wiadoma, spotkała się z uznaniem jako dowód budującej pobożności.

Przed niedawnym czasem Berenika obłożnie chorowała; złożyła wtedy ślub zwany nazyrejskim. Nakazywał on każdej osobie nim związanej stronić przez dni trzydzieści od wina i wszelkich napojów oszałamiających, a nawet od owocu szczepu winnego w jakiegokolwiek postaci. Nie wolno było przystrzygać włosów. Jeśliby zaś nazyrejczyk w ciągu owych dni trzydziestu przypadkowo zbliżył się do zwłok ludzkich, nawet gdyby zmarł ktoś z członków rodziny, musiał natychmiast oczyścić się ze zmy, dokonując odpowiednich obrządków; ślub zaczynał się od nowa. Ofiary składane po zakończeniu nazyreatu były kosztowne. Nie każdy mógł sobie pozwolić na przywiedzenie do ołtarza świątyni dwóch jednorocznych baranków i owcy jednorocznej oraz na przyniesienie kosza chleba niekwaszonego i kosza takichże placków – a oba te rodzaje pieczywa należało sporządzić z najprzedniejszej mąki i oliwy.

Okres nazyreatu Bereniki miał upłynąć właśnie w czasie pobytu w Jerozolimie, natychmiast więc złożyłaby w przybytku owe prawem przepisane ofiary. Tymczasem wszystko potoczyło się zupełnie inaczej, wbrew zbożnym zamiarom. Królowa nie mogła dopełnić ślubu spokojnie i w skupieniu ducha. Ujrzała krew i trupy na ulicach, a mnóstwo ludzi zginęło na jej oczach męczeńską śmiercią krzyżową.

Kto był winien nieszczęściom? Prokurator Gesjusz Florus – tak powiadała Berenika i Żydzi. Natomiast on i jego ludzie mieli odmienny pogląd na sprawę. A jeszcze inaczej patrzyli na wszystko wyznawcy Szymona Maga.

Berenika już przebywała w Jerozolimie, gdy Florus dopiero zbliżał się do miasta, wiodąc kohortę piechoty i kilkudziesięciu jezdnych. Dzień był 15 miesiąca Ijjar, a więc początek maja. Kolumna Rzymian maszerowała nie od Cezarei nadmorskiej, gdzie zazwyczaj rezydował namiestnik, lecz z Samarii, tam bowiem bawił on w dniach ostatnich.

SAMARIA-SEBASTE

Przeszło osiemdziesiąt lat przed czasami, o których mowa, Herod, król Judei, zbudował Samarię niemal na nowo. Wielokrotnie powiększył obszar miasta: z dziesięciu hektarów do osiemdziesięciu, licząc oczywiście miarami obecnymi. Otoczył niemal całe wzgórze, na którym Samaria była położona, potężnym murem długości dwudziestu stadiów, a więc prawie czterech kilometrów. Wzniósł wiele okazałych gmachów. Pragnął bowiem, aby miasto stało się nie tylko trudną do zdobycia twierdzą, lecz także pięknym pomnikiem czci, jaką on, władca Palestyny, darzy cesarza Augusta a ponieważ po grecku imię to brzmi Sebastos, dał miastu nową nazwę – Sebaste. Zamieszkali w owej Samarii-Sebaste dawni żołnierze królewscy w liczbie około sześciu tysięcy; otrzymali działki ziemi i wiele przywilejów. Pochodzili z różnych krain i mówili różnymi językami; byli wśród nich Grecy i Syryjczycy, a nawet Trakowie, Galowie i Germanie. Rzecz prosta, nie brakowało też w mieście rodowitych Samarytan.

Ekspedycje archeologiczne, amerykańskie i angielskie, prowadziły na wzgórzu prace wykopaliskowe; najpierw w latach 1908–1910, a potem 1931–1935. Wydobyto sporo zabytków z pierwszego okresu świetności Samarii, to jest z wieku IX i VIII przed naszą erą, a jeszcze więcej z epoki znacznie późniejszej, bo rozkwitu cesarstwa rzymskiego. Ale odsłonięto też niemało pozostałości architektury i sztuki, pochodzących na pewno z lat panowania Heroda i z następnych dziesięcioleci. Są to fundamenty murów obronnych, wież i bram; ruiny ogromnej świątyni ku czci Augusta; resztki głównej ulicy, długości prawie kilometra, zdobnej po obu stronach kolumnadami; wreszcie forum, bazylika, akwedukt. Wszystkie te odkrycia potwierdziły to czego oczekiwano na podstawie opisów w literaturze antycznej. Ale były też inne, niespodziewane.

Nieco na północ od świątyni Augusta natrafiono na duży, prostokątny plac; w jego części zachodniej odkopano fundamenty również prostokątnej świątyni. Niezwykle staranny sposób obróbki gładów datuje ją na okres panowania Heroda, z pewnością zaś na początek pierwszego wieku naszej ery, a więc na czas, kiedy w Samarii żył i działał Szymon zwany Magiem. Świątynia wzniesiona ściśle na wzór grecki, wsparta na kolumnach, miała wewnątrz składające się z dwóch pomieszczeń: mały przedsionek, pronaos, prowadził do właściwego przybytku kultowego, czyli do naos. Napisy greckie pouczają, że panią tego przybytku zwano imieniem Kore. I jeszcze w innej dzielnicy Samarii, w obrębie dużego stadionu sportowego, znaleziono posążek tejże bogini – niestety, bardzo uszkodzony – jej ołtarz, a także kilka greckich napisów. Jeden z nich głosi wyznanie wiary: „Jeden Bóg Wszystkiego Wielka Kore Niezwyciężona”. Inny natomiast zawiera prośbę: „Oby pamiętała bogini Kore o retorze Marcjalisie i o jego przyjaciółach!”

Jak wiadomo powszechnie, w greckich mitach i kultach imieniem Kore najczęściej określano Persefonę, córkę bogini Demeter, porwaną przez Hadesa i odtąd królującą w świecie zmarłych. Jednakże wyraz „kore” oznaczać też może w języku Hellenów po prostu dziewczynę. Niekiedy więc nazywano tak również inne boginie, wyobrażane w postaci młodych kobiet, zwłaszcza Atenę i Artemidę, a nawet nimfy. Z czego wynika, że samo imię Kore nie wystarczy, by ustalić, jaka to bogini odbierała cześć w Samarii. Aby dojść do tego, należy koniecznie rozglądnąć się za dodatkowymi wskazówkami.

Szczęśliwym trafem we wspomnianej świątyni samaryjskiej odkryto ciekawą płaskorzeźbę. Jakkolwiek nie posiada ona wartości artystycznej i jest pozornie bardzo schematyczna, pozwala na wysnucie ważnych wniosków. Na kamiennej tablicy wyrysowano dwie wysokie czapki; jedną i drugą otacza u dołu wieniec laurowy, nad jedną i drugą widnieje ośmiornia gwiazda. Dla znawców greckiej symboliki rzecz jest oczywista na pierwszy rzut oka:

owe tak charakterystyczne czapki oraz gwiazdy stanowią częsty atrybut Dioskurów, Kastora i Polideukesa. Bliźniacy ci byli synami Zeusa i Ledy i braćmi Heleny; niektórzy co prawda zwali ich synami Tyndareosa i Ledy, lecz i w takim wypadku Helena była ich siostrą, tyle że przyrodnią. Wszystkie natomiast mity zgodnie opowiadają, że bracia uwolnili Helenę, kiedy porwał ją, jeszcze jako młodziutką dziewczynę, królewicz Tezeusz i wywiózł w pobliże Aten. Po dokonaniu wielu sławnych czynów – przy czym Kastor odznaczył się jako poskromiciel rumaków, Polideukes zaś jako zapaśnik – bracia zginęli młodo w zbrojnej utarczce z dobrymi wojownikami, którym zabrali bydło. Tylko Polideukesa przyjęto na Olimp i tylko jemu dano nieśmiertelność; Kastor natomiast musiał iść jak zwykły człowiek do Hadesu. Jednakże pierwszy z nich zdołał ubłagać Zeusa: pozwolono mu nie rozstawać się z bratem, pod tym wszakże warunkiem, że obaj spędzać będą jeden dzień na Olimpie, drugi zaś w podziemiu; albowiem sprawiedliwości zaświatowej musi stać się zadość!

Dioskurowie odbierali cześć w wielu miastach i krajach greckich, w niektórych zaś – sprawa to w tym związku najciekawsza! – właśnie wspólnie z Heleną. Bo i w niej od pradawnych czasów widziano istotę boską. W pierwotnych wierzeniach i mitach Helena, o którą rozpętała się wojna trojańska, uchodziła za jedno z wcieleń, a raczej za jedną z postaci bogini Persefony, zwanej Kore.

A więc wydaje się pewne, że czciciele Kore w Samarii przyzywali ją również imieniem Heleny, córki bożej. Tej, która wiele cierpiała, była porywana, została jednak wreszcie odnaleziona. Szymon zaś zwany Magiem byłże kapłanem przybytku Kore i głosicielem mitu, łączącego w sposób przedziwny wątki zarówno greckie, jak i palestyńskie, podobnie jak w samym mieście współżyli ludzie różnych języków i wierzeń?²

Lecz tymczasem prokurator Gesjusz Florus już pożegnał Samarię i zbliżał się do Jerozolimy.

² O Samarii zob. A. Parrot, *Samarie*, Neuchâtel 1955, zwłaszcza s. 79 – 92.

POWITANIE FLORUSA

Żaden z namiestników Judei nie zyskał sobie sympatii jej mieszkańców, bo niemal wszyscy sprawowali swe rządy twardo i bezwzględnie. W porównaniu jednak z Florusem – takie słyszało się głosy – jego poprzednicy byli mężami wyjątkowej szlachetności, pasterzami dbałymi o dobro swych owieczek. Wołano, że obecny wielkorządca kraju to urodzony sadysta, nienasycony rabuś, kreatura małoduszna i urażliwa. Oskarżano go nawet o umyślne prowokowanie rozruchów, jako że dawały one sposobność bezkarnego dokonywania grabieży.

W obwinianiu Florusa z pewnością przesadzano. Ale faktem było, że w dniu 15 Ijjar prokurator zbliżał się do Jerozolimy pełen zimnej nienawiści do jej ludności. Bo też ośmieliła się ona zranić jego dumę w sposób szczególnie bolesny! Florus nie ukrywał, jak bardzo jątrzy go ta sprawa. Rozkazał oświadczyć to wprost tłumom zebranych przed murami.

Zwyczaj nakazywał, by mieszkańcy manifestacyjnie witali wysokiego urzędnika i jego żołnierzy przy każdorazowym ich wkraczaniu do miasta. Ustawiano się w szpalery i wznoszono wiernopoddańcze okrzyki, wymachując kwieciami i palmami. Zgodnie z tym niepisany prawem także w dniu 15 Ijjar rzesze obywateli wyszły przed Bramę Kobiet, na drogę wiodącą z północy, od Samarii-Sebaste.

Wreszcie dostrzeżono galopujących jeźdźców rzymskich. Pędzili szybko. Zmierzali wprost ku ciżbie ludzkiej. Zatrzymali spienione konie tuż przed cofającym się tłumem. Oficer – zwał się Kapiton – krzyknął donośnym głosem:

– Rozejść się natychmiast! Prokurator nie życzy sobie tej nędznej komedii udanej serdeczności! Dopiero co drwiliście bezczelnie z jego osoby, a teraz chcecie go witać? Jeśli jego wrogowie to mężczyźni, niechże dowcipkują sobie teraz, przed nim samym! Niechże okażą swoje umiłowanie wolności nie słowami, lecz mieczem!

A kiedy tłum jeszcze się wahał i falował, jeźdźcy napaarli nań końmi. Ludzie rozproszyli się i powoli wracali do domów, strwożeni i bezradni, przeklinając tamten żart młokosów.

Przed kilku dniami prokurator przez wysłańców polecił kapłanom, aby przekazali mu siedemnaście talentów ze skarbca świątyni na cele, jak to określił, państwowe. Rozkaz posłusznie wykonano, ale sprawa ta wywołała niesłychane wzburzenie w mieście. Na dziedzińcach przybytku zebrały się tłumy nieprzejrzane, wznosząc wrogie Florusowi okrzyki. Właśnie wtedy to jacyś młodzi ludzie zaczęli obnosić ogromny kosz, prosząc płaczącym głosem litościwe osoby o skromny datek dla biedaczyny namiestnika.

Zdawano sobie sprawę, że po tym wydarzeniu Florus, dotknięty do żywego, bo ośmieszony, nie tak łatwo da się przebłagać; fakt, że nie zgodził się na manifestacyjne powitanie przez ludność przy wjeździe, okazywał to jak najdowodniej. Nic więc dziwnego, że we wszystkich domach Jerozolimy noc z 15 na 16 Ijjar upływała w pełnym grozy oczekiwaniu; dla wielu miała to być ostatnia noc życia.

Wkroczywszy do miasta, prokurator zatrzymał się w dawnym pałacu króla Heroda Wielkiego. Był to duży i wspaniale wyposażony zespół budowli wśród sztucznie nawadnianych ogrodów; częściowo przytykał do obwarowań miejskich, częściowo zaś miał mur osobny, wysoki i mocny; ponadto broniły go trzy potężne wieże, z których każda stanowiła właściwie odrębną twierdzę; po najwyższej z nich, zwanej niegdyś Fazael, pozostały do dziś dolne partie muru; obecnie nosi ona miano wieży Dawidowej. Namiestnicy rzymscy, odwiedzając Jerozolimę, zamieszkiwali najczęściej właśnie w tym pałacu, pięknym i wygodnym, a zarazem stanowiącym łatwą do obrony fortecę. Czasem jednak stawali też w twierdzy zwanej Antonia, u północnego naroża świątynnego okręgu.

Florusowi zapewne towarzyszyła jego żona. Przypuszczać to wolno na tej podstawie, że w Cezarei nadmorskiej doszło ostatnio do groźnych rozruchów pomiędzy ludnością żydowską z

jednej, syryjską zaś i grecką z drugiej strony, trudno więc byłoby pozostawiać tam samą kobietę. A nie była to kwestia tylko uczucia i przywiązania; chodziło o coś konkretniejszego. Namiestnik mianowicie zawdzięczał swój urząd, tak intratny i zaszczytny, właśnie jej; wyrobiła mu nominację dzięki przyjaźni z Poppeą Sabina, żoną Nerona.

Czy jednak Florus miał ją przy sobie w Palestynie? Czy nie pozostawił jej w Italii?

ŻONY NAMIESTNIKÓW

W czasach republiki rzymskiej wodzowie i wyżsi urzędnicy udający się poza granice Italii nie mogli zabierać z sobą małżonek. Cesarz August wprawdzie zniósł ten zakaz, ale jeszcze za jego następcy, Tyberiusza, sprawę tę omawiano w senacie. Rozgorzała debata gorąca i bardzo interesująca ze względów obyczajowych.

Sewerus Cecyna postawił formalny wniosek, aby żaden namiestnik prowincji nie wyjeżdżał wraz z żoną. Zastrzegł się wprawdzie, że żyje dobrze ze swoją małżonką i ma z nią już sześcioro dzieci; dodał również, że sam zawsze stosował się do tego, co obecnie proponuje jako zasadę obowiązującą; chociaż bowiem służył w różnych prowincjach przez lat czterdzieści, nigdy nie pozwalał żonie opuszczać Italii. Wywodził dalej:

– Nie bez racji postanowiono niegdyś, że nie wolno ciągnąć z sobą kobiet do krajów sprzymierzonych lub ościennych, sama bowiem ich obecność wywołuje pewne zjawiska niepożądane. Niewiasty przeszkadzają w działalności pokojowej przez swe zamiłowanie do przepychu, w prowadzeniu zaś wojen przez bojaźliwość. Jest to płeć słaba i niezdolna do znoszenia trudów, a także – jeśli tylko pozwoli się na to! – okrutna, ambitna, żądna władzy. Kobiety potrafią przechadzać się swobodnie wśród żołnierzy i mieć na swe usługi oficerów. Zdarzyło się niedawno, że niewiasta zasiadała na trybunie w czasie ćwiczeń kohort i manewrów legionowych. Zastanówcie się i nad tym faktem, że ilekroć oskarża się któregoś z namiestników o zdradę, najczęściej przestępstw zarzuca się ich żonom. Do nich to bowiem, do kobiet, od razu znajdują drogę najgorsze elementy spośród ludności każdej prowincji, one to podejmują się przeprowadzenia różnych interesów. Dochodzi wreszcie do tego, że publicznie otacza się szacunkiem dwie osoby i dwie są siedziby władzy; wiadomo zaś, że kobiety są w swych rozkazach bardziej uparte i nieopanowane niż mężczyźni. Dawne ustawy trzymały niewiasty w ryzach; w naszych czasach, kiedy spadły owe więzy, płeć ta rządzi zarówno sprawami domowymi, jak i publicznymi, ostatnio zaś nawet wojskiem!

Jednakże mowa Cecyny nie spotkała się z aprobatą większości. Podniosły się od razu liczne głosy sprzeciwu. Z ostrą polemiką wystąpił Waleriusz Messalinus. Przypomniał przede wszystkim, że surowość dawnych czasów już w wielu wypadkach musiała ustąpić miejsca temu, co lepsze i pogodniejsze. I słusznie. Miastu przecież nie grozi już zewsząd wojna, prowincje zaś nie są tak nieprzyjazne. To rzecz jasna, że walcząc w polu, powinno się mieć jedynie miecz u boku; dla tych wszakże, którzy po trudach powracają do domu, jakież może być zacniejszy odpoczynek niż objęcia żony? Mówi się, że niektóre małżonki nazbyt są ambitne i chciwe. Ale czy większość samych namiestników nie ulega różnym namiętnościom? A przecież nie wynika stąd, że nie należy nikomu powierzać zarządu prowincji! Powiada się również, że występne żony deprawują mężów. Ale czy wszyscy bezzenni są bez zarzutu? Na męża spada odpowiedzialność, jeśli jego pani zachowuje się nieodpowiednio! Byłoby rzeczą wysoce krzywdzącą odbierać mężom ich towarzyszek złego i dobrego tylko z tej racji, że ten lub ów okazał się człowiekiem słabego charakteru. Równocześnie zaś oznaczałoby to, że płeć z natury słabą skazuje się na samotność i pozostawia się na łasce zarówno własnego zamiłowania do przepychu, jak i żądź cudzych. Nawet przy osobistym nadzorze tylko z trudem broni się czystości małżeństwa. A co będzie, jeśli w ciągu wielu lat rozłąki pożycie ulegnie zapomnieniu, jakby już rozwód nastąpił?

Nie przyjęto więc wniosku Cecyny. Wyjeżdżający do swych prowincji namiestnicy różnych rang swobodnie korzystali z prawa zabierania małżonek. Uczynił tak również Gesjusz Florus.

Żona jego nosiła imię Kleopatry.

KLEOPATRA W POMPEI

Tragiczny los sławnej królowej Egiptu sprawił, że w późniejszych czasach imię jej nadawano dziewczętom niezbyt często. Widocznie jedni uważali je za nieszczęsne, inni zaś za zbyt pretensjonalne – właśnie ze względu na glorię kobiety, która odegrała tak niezwykłą rolę w historii. Dlatego też imię żony Florusa zapada w pamięć jako wówczas bardzo rzadkie. Kiedy więc spotyka się je w pewnym napisie, pochodzącym z tego okresu, lecz znajdującym się w miejscowości odległej od Jerozolimy o tysiące kilometrów, samo przez się nasuwa się pytanie, czy nie odnosi się ono właśnie do tej Kleopatry.

W roku 1928, a potem w latach 1930–1932, dokonano w Pompei – w tej powszechnie znanej Pompei, pogrzebanej skutkiem wybuchu Wezuwiusza w roku 79 – prac wykopaliskowych; prowadzono je w dzielnicy tak zwanej pierwszej, dotychczas mało zbadanej. Odsłonięto tam duży zespół zabudowań, zewsząd otoczony uliczkami; stanowił on więc, jak to mówili Rzymianie, „insulę”, dosłownie wyspę, a po naszymu blok. Główny dom zespołu zwany jest dziś umownie „casa del Menandro”, ponieważ odnaleziono w nim fresk przedstawiający tego sławnego komediopisarza. Dom, siedziba bardzo zamożnej rodziny, był z pewnością zdobny wielu dziełami sztuki i cennymi przedmiotami. Zabrano je wszakże stamtąd już w starożytności, i to niedługo po katastrofie, która zniszczyła miasto. Dawni mieszkańcy, a może po prostu rabusie, dostali się do wnętrza, wykopując studnie i drążąc korytarze w zwałach zakrzepłej lawy i stwardniałego popiołu. Na szczęście nie wszystko zdołali odnaleźć i wynieść. W piwnicy, gdzie stały dzbanki z winem, tuż pod łaźnią domową, zachował się skarb wspaniały, ukryty tam chyba w ostatniej chwili przez właściciela lub wiernego zarządcę. Jest nim srebrna zastawa stołowa, składająca się ze stu osiemnastu naczyń. Owe talerze, miski, kubki, czarki, łyżki, czerpaki ważą łącznie dwadzieścia cztery kilogramy. Spośród pięciu zastaw, wydobytych dotychczas w Pompei, ta jest najpełniejsza i najcenniejsza; świadczy dowodnie, na równi z przestronnością rezydencji, o bogactwie panów domu. Sam układ budynku jest dość typowy. Pokoje różnej wielkości grupują się wokół dużego perystylu, czyli ogrodu wewnętrznego, otoczonego kolumnami. Osobną część domu stanowią pomieszczenia gospodarcze i mieszkania służby, która stąd wychodziła do pracy w pobliskich, podmiejskich posiadłościach pana.

Kim byli właściciele domu? Na pytanie to odpowiadają napisy. Jest ich w „casa del Menandro” sporo, podobnie zresztą jak i na ścianach innych domów pompejańskich. W większości są bardzo krótkie, przypadkowe, wyskrobane lub nakreślone w pośpiechu, dla upamiętnienia tego, co w danej chwili wydawało się piszącemu ważne, ciekawe, zabawne, oburzające; najwięcej jest imion. Otóż właśnie owe napisy wskazują, że dom należał do jednej z gałęzi rodu Poppeuszów Sabinów. Posiadali oni w Pompei także inne nieruchomości, zaliczali się bowiem do najmożniejszych i od dawna tu zasiedziały. Żona cesarza Nerona, sławna Poppea Sabina, wywodziła się właśnie z Pompei. Nic więc dziwnego, że i ona sama, i jej małżonek cieszyli się w tym mieście ogromną popularnością; dowodzą tego liczne napisy na budynkach – napisy nie oficjalne, lecz nakreślone przez zwykłych, prostych ludzi, pragnących dać wyraz swej szczerzej sympatii dla cesarskiej pary.

Niektórzy przedstawiciele Poppeuszów piastowali wysokie urzędy państwowe. Bogactwa rodu i jego pozycja społeczna sprawiały, że rezydencję pompejańską odwiedzało sporo wybitnych osobistości. Upamiętniają to do dziś napisy, podające nazwiska dostojnych gości; zapewne są one dziełem służby, miejscowej lub przybyłej.

Na jednej z kolumn perystylu widnieją imiona: „Neratius Pansa Cleopatra”. Czy może chodzić o Kleopatę, żonę Gesjusza Florusa? Takie przypuszczenie wysuwają niektórzy bada-

cze.³ Przypominają, że ród panów domu był spokrewniony z żoną Nerona, Kleopatra zaś Florusowa zaliczała się, jak wiadomo skądinąd, do jej przyjaciółek. Napis wszakże powstał niedługo przed wybuchem Wezuwiusza, a więc w roku 79 lub nieco wcześniej. Kleopatra odwiedziła wówczas dom Poppeuszów Sabinów jako żona Neratiusa Pansy, a więc jako wdowa po Florusie lub rozwiedziona z nim. Krwawe wydarzenia jerozolimskie sprzed trzynastu lat, z dnia 16 miesiąca Ijjar roku 66, były wówczas tylko odległym wspomnieniem.

³ Matreo della Corte, *Cace ed abitanti di Pompei*, Roma 1954, s. 246.

BOSONOGA KRÓLOWA

Rankiem dnia 16 Ijjar pachołcy zbudowali trybunę z desek na placu przed Herodowym pałacem. Zasiadł na niej prokurator Gesjusz Florus, a otoczyli go oficerowie w srebrzystych pancerzach i w hełmach z pióropuszcami. Rzymski dostojnik patrzył z pogardą i nienawiścią na stłoczonych w dole brodaczy w długich szatach; byli to przedstawiciele ludności, wyżsi kapłani i co znacniejsi obywatele, zastraszeni, dygocący z lęku, pokorni. Groźnym głosem rozkazał im – zapewne mówił po łacinie, a tłumacz powtarzał jego słowa po aramejsku, bo tym językiem mówiono wówczas w Palestynie najpowszechniej – aby natychmiast przyprowadzili zbrodniarzy, którzy tak bezczelnie obrazili go przed kilku dniami na dziedzińcu świątynnym. Wołał, że jeśli się nie pospieszą, sprawiedliwy gniew jego spadnie na nich samych i na całe miasto!

Tamci usiłowali bronić swych rodaków. Zaklinali się, krzycząc jeden przez drugiego i ręce podnosząc ku niebu, że mieszkańcy Jerozolimy usposobieni są pokojowo, lojalni wobec Rzymian, pełni najlepszych intencji. Błagali o litość dla nierozważnych. To prawda, przyznawali, że dopuszczono się występku, ale przecież tylko słowem! Trudno się dziwić, że wśród nieprzejrzanych rzesz pielgrzymów, ściągających do świętego miasta z całego kraju, a nawet spoza Palestyny, trafiają się jednostki zuchwałe i głupie, bo młode. Lecz jakże odnaleźć obecnie prawdziwych winowajców? W tej chwili wszyscy szczerze żałują tego, co się stało. Ale któż przyzna się dobrowolnie, że brał udział w ekscesach?

Płaczliwe mowy rozwścieczyły Florusa. Krzyknął na żołnierzy, aby przeszukali Górne Miasto; tak nazywano dzielnicę pomiędzy pałacem Herodowym a wąwozem Tyropojon, za którym wznosiły się mury świątyni.

Nim jeszcze kordon rzymski zamknął ściśle wszystkie wyjścia z dzielnicy, masy jej mieszkańców rzuciły się do panicznej ucieczki. Jednakże uliczki były wąskie i kręte, jak zresztą w całej Jerozolimie, toteż większość biegnących wpadła wprost na miecze żołnierzy. Ci zabijali każdego, kogo tylko dopadli; mężczyzn, kobiety, dzieci. Zamożniejsi obywatele pozostali w swych domach, ufając, że ocali ich dostojność i majątek; byli też przekonani, iż Rzymianie oszczędzą ludzi z tego stronnictwa, które od początku ostro potępiało wszelkie wystąpienia przeciw władzom, usiłując z nimi współpracować. Zawiedli się srodze. Żołnierze przemocą wyciągali ich z domów i wlekli przed namiestnika, gdzie nieodmiennie zapadał wyrok:

– Biczować i krzyżować!

Dla usprawnienia akcji czyniono to natychmiast, na oczach Florusa, tuż przed pałacem. Wśród ukrzyżowanych w tym dniu było sporo osób posiadających obywatelstwo rzymskie; tak przynajmniej twierdzili później wrogowie prokuratora.

Jednakże głównym celem ataku na Górne Miasto było zagrabienie wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Przeszukiwano skrupulatnie każdy dom. I nie mogło być inaczej: żołnierze musieli przecież znaleźć coś nie tylko dla siebie, lecz także dla oficerów i dla samego namiestnika.

Berenika, przerażona krzykami ludzi torturowanych i zabijanych, kilkakrotnie wysyłała do Florusa dowódcę swej jazdy i żołnierzy straży przybocznej. Żądała kategorycznie, aby natychmiast zaprzestano rzezi. Skoro jednak wezwania przez pośredników nie odnosiły żadnego skutku, opuściła pałac i stanęła we własnej osobie przed trybunałem na placu. Przyszła boso. Może dlatego, że tak nakazywał obyczaj tym, którzy złożyli ślub nazyrejski. A może po prostu dla okazania swej pokory, łudząc się naiwnie, że wzbudzi litość.

Jednakże ani błagania królowej, ani bosa jej stopy nie wzruszyły Rzymianina. Żołnierze tuż obok nadał krzętały się przy swej krwawej robocie. Torturowali, krzyżowali, zabijali. Po-

dobno niewiele brakowało – tak przynajmniej opowiadała później sama Berenika – a rzuciliby się i na nią! I rzeczywiście, bardzo to możliwe, że prokurator, rozdrażniony jękami i prośbami kobiety, na którą bał się podnieść ręki, przykazał swoim po cichu:

– Postraszcie ją trochę! Żeby jej tu więcej nie widział!

Berenika uciekła do swego pałacu. Spędziła tam bezsenną noc pod ochroną straży. Drżała z lęku, że lada chwila i tutaj wtargną Rzymianie z obnażonymi mieczami.

Ponieważ bliskość i widok zwłok ludzkich okryły królowę zmagą, musiała dopełnić obряду oczyszczenia. Złożyła w świątyni, jak było przykazane, bardzo kosztowne dary, a potem zaczęła trzydziestodniowy okres nazyrejskiej wstrzemięźliwości i umartwień od nowa.

PRADZIAD I DZIAD BERENIKI

Wszystko to spotkało w Jerozolimie kobietę, która słusznie mogła się szczycić, że jest prawnuczką króla tego miasta, córką króla, siostrą i żoną królów!

Pradziadem Bereniki był Herod zwany Wielkim. Znakomity polityk, surowy władca, doskonały gospodarz. Za cenę całkowitej i programowej uległości wobec Rzymu uzyskał stopniowo, z łaski tegoż Rzymu, panowanie nad większą częścią Palestyny. Dał krajowi pokój, wzbogacił go, ozdobił i umocnił mnogością budowli. On to założył Cezareę nadmorską, później niemal stolicę kraju, oraz miasto Sebaste na terenie dawnej Samarii. W wielu okolicach Palestyny wznosił twierdze potężne i dobrze wyposażone; z nich najgroźniej przedstawiała się Masada u zachodnich wybrzeży Morza Martwego, wisząca na niedostępnej górze, prawdziwie jak gniazdo orle. Za najwspanialsze jednak i najslawniejsze dzieło Herodowe uważano powszechnie rozbudowę jerozolimskiej świątyni. Król przeprowadził ją z niebywałym rozmachem, nie licząc się z kosztami. Lecz ze świetności i ogromu owego przybytku pozostały do dziś tylko głązy zewnętrznego muru od strony doliny Tyropojon, zwane obecnie Ścianą Płaczu.

A jednak wszystkie te godne podziwu prace i osiągnięcia króla nie przyniosły mu uznania ze strony poddanych! Przeciwnie, nienawidzili oni Heroda ze wszystkich sił swoich i z całego serca. Wina była obopólna. Herod władał twardo, bezwzględnie, tyrańsko; nie cofał się, by dopiąć swych celów, przed żadną zbrodnią; okazywał wielką przychyłność greckiej kulturze; nade wszystko zaś ostentacyjnie manifestował na każdym kroku służalczą lojalność wobec Imperium i cesarza. Ludność natomiast, fanatycznie przywiązana do idei pełnej niepodległości – w czym utwierdzały ją mesjanistyczne prorocтва – nie pojmowała Herodowych racji politycznych. Nie rozumiała, że w danych warunkach rezygnacja z samodzielności zewnętrznej i pokorne popisywanie się przyjaźnią wobec potężnego opiekuna to jedyny sposób zachowania wewnętrznej odrębności i swobody działania w pewnych granicach. Przeciwność poglądów i stanowisk nieuchronnie wywoływała ciągłe konflikty pomiędzy władcą a poddanymi. Herod, podejrzliwy i z natury skłonny do okrucieństwa, wszelkie próby oporu tłumiał bezlitośnie. Na swoje usprawiedliwienie mógłby wszakże powiedzieć, że równie brutalnie traktuje najbliższą rodzinę, a nawet swych synów. Trzech z nich przypłaciło życiem rzekome czy też prawdziwe knowania przeciw ojcu.

Jednym z nich był dziad Bereniki, książę Arystobulos. Zginął jako ofiara intrygi pałacowej, uduszony z rozkazu Heroda. Osierocił trzech synów i córkę Herodiadę. Była to ta Herodiada, której z kolei córka Salome w wiele lat później tańczyła podczas uczy przed swym ojczymem Herodem Antypasem, obchodzącym rocznicę urodzin. Taniec tak bardzo spodobał się księciu, że powiedział przy wszystkich zebranych:

– Proś mnie, o co chcesz, a otrzymasz z pewnością! Dziewczyna jednak naradziła się wpierw ze swą matką, Herodiadą, i rzekła, wróciwszy na salę:

– Chcę, abyś mi dał na tacy głowę Jana Chrzciciela, i to teraz!

A Herodiada nienawidziła Jana dlatego, że potępiał jawnie jej małżeństwo z Herodem Antypasem; poprzednio bowiem była żoną jego przyrodniego brata, i z nim to miała Salome.

Stało się zgodnie z prośbą dziewczyny.

Z trzech synów tragicznie zmarłego Arystobulosa jeden nosił imię dziada, a więc zwał się Herod; został później księciem miasta i krainy Chalkis w południowej Syrii. Syn drugi otrzymał imię ojca – Arystobulos; ten nigdy nie posiadał tytułu książęcego, był jednak człowiekiem ogromnych bogactw i bardzo wpływowym; o jego losach niewiele wiadomo. Wreszcie syn trzeci miał dwa imiona, Herod Agryppa. To drugie dano mu, aby uczcić Agryppę, należącego do grona najbliższych przyjaciół cesarza Augusta. W historii znany jest jako Herod Agryppa I lub po prostu Agryppa I. Jego to córką była Berenika.

OJCIEC BERENIKI I ŚMIERĆ KALIGULI

Życie Agryppy I układało się jak barwny romans awanturniczy, pełen niezwykłych przygód i nieoczekiwanych odmian losu. Scenerią były różne kraje – Italia i Egipt, miasta Syrii, Grecji i Palestyny – oraz najrozmaitsze środowiska. Bywał Agryppa gwiazdą dworu cesarskiego, ale i więźniem, zakutym w ciężkie kajdany. Szczycił się przyjaźnią władców Rzymu i cudem unikał śmierci z ich ręki. Raz trwonił miliony, kiedy indziej żył z łaski krewnych na marnej posiadce w prowincjonalnej mieścinie. Potem znowu zdobywał fortuny książęce.

Dzięki niezwyklej życzliwości cesarza Kaliguli uzyskał w latach 37 i 39 ogromne nadania: najpierw ziemie na wschód od jeziora Genezaret i Jordanu, potem zaś Galileę. Przebywał jednak w swych palestyńskich włościach bardzo krótko. Już w roku 40 powrócił do Rzymu, gdzie tymczasem dojrzewał spisek przeciw jego dobroczyńcy. Uczestniczyli w sprzysiężeniu głównie oficerowie pretorianów, a w pewnej mierze nawet ich prefekt, Marek Arrecynus Klemens. Łamali wprawdzie żołnierską przysięgę, lecz usprawiedliwiało ich jawne i wciąż się potęgujące szaleństwo Kaliguli, groźne zwłaszcza dla najbliższego otoczenia. Ostatecznie zaś wstrząsnęła sumieniem Klemensa i oficerów sprawa Kwintylii.

Była to znana i bardzo przystojna rzymska aktorka teatralna, zawsze otoczona rojem wielbicieli. Należał do nich także senator Pomponiusz, człowiek roztropnie stroniący od polityki, a za to po epikurejsku korzystający z uroków życia. Mimo to i tak znalazł się w niebezpieczeństwie. Niejaki Timidiusz oskarżył go o publiczną obrazę majestatu cesarza. Timidiusz oczywiście złożył ten donos w nadziei, że w nagrodę za czujność i gorliwość otrzyma część ogromnego majątku swej ofiary. Głównym świadkiem, powołanym przez oskarżyciela, była właśnie Kwintylia. W takich procesach świadek z reguły od razu potwierdzał wszystko, czego odeń żądano, okupując w ten sposób niewybaczalną winę, że to nie on doniósł pierwszy. A cóż dopiero, jeśli świadkiem była kobieta, i to raczej lekkich obyczajów! Timidiusz mógł być zadowolony z pomysłu i pewny sukcesu.

Tymczasem sprawa potoczyła się inaczej. Przy pierwszym przesłuchaniu Kwintylia zaprzeczyła wszystkiemu. Cesarz rozkazał zastosować tortury. Prowadzona na męki i wiedząc, co ją czeka, dziewczyna miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, że niby to przypadkiem nadepnęła na nogę jednemu ze współświadków; w ten sposób dała mu do zrozumienia, jak domyślano się potem, że na nią można liczyć – ona nie zdradzi. I rzeczywiście. Przettrzymała wszystkie katusze. A musiały one być straszliwe, skoro widok umęczonej dziewczyny wzruszył nawet Kaligulę, gdy przywleczono ją przed niego. Oddalił oskarżenie, Kwintylię zaś obdarował hojnie, by wynagrodzić jej i cierpienia, i odwagę.

Torturowanie nadzorował trybun pretorianów Cherea. Cesarz często powierzał mu takie zadania. Jednakże wytrzymałość Cherei miała swoje granice. Właśnie po tej sprawie wdał się w rozmowę ze swym dowódcą, prefektem Klemensem. Zaczął pozornie dwuznacznie:

– Dobrze strzeżemy naszego cesarza. Spiskowców zarżnęliśmy, a osoby mniej winne tak torturujemy, że litość bierze samego Kaligulę. Dobrzy z nas oficerowie.

Klemens nie odpowiedział, ale zaczerwił się raptownie. To ośmieliło Chereę. Wypowiedział otwarcie i z pewną gwałtownością wszystko, co już od dawna leżało mu na sercu:

– Oskarża się tylko cesarza. Ale jeśli się zastanowić choć trochę, to prawdziwymi sprawcami zła jesteśmy my, oficerowie, a ty przede wszystkim. Przecież to wyłącznie od nas zależało, by położyć kres nieszczęściom. My jednak wolimy posłusznie spełniać jego rozkazy. Wszystkie rozkazy. Jużemy nie żołnierze, ale kaci i dozorczy! Po co właściwie tę broń nosimy? Osłaniamy nie wolność i nie nasze państwo, lecz człowieka, który wszystkich Rzymian

uczynił niewolnikami. Codziennie bryzga na nas krew torturowanych, aż przyjdzie wreszcie dzień, że cesarz zabierze się do nas samych.

Retoryka tych słów zapewne nie przekonałaby Klemensa, gdyby nie fakt, że miał pewne powody, aby cesarzowi nie ufać. Odważył się więc na częściowe przyznanie Cherei racji. Radził mu wszakże, aby nie zdradzał się ze swymi myślami; jeśli przypadkiem sprawa nabrałaby rozgłosu, wszyscy przyplącaliby to życiem, i to nim spisek dojrzeje; najlepiej więc czekać na szczęśliwy przypadek; on sam w każdym razie w niczym nie może wziąć czynnego udziału, bo wiek podeszły na to nie pozwala.

Rozeszli się i odtąd obaj żyli w nieustannym strachu, jako że obaj powiedzieli za wiele. Zapytywali samych siebie, czy tamten nie pospieszy z donosem, czy więc nie należałoby go uprzedzić? Ale po pewnym czasie stwierdzili, że mogą sobie ufać. Cherea wprawdzie nie próbował już rozmów z Klemensem, powiadomił jednak swych przyjaciół, że prefekt jest z nimi. Wszyscy tym gorliwiej zaczęli się sposobić do dokonania zamachu. Jednakże dobry moment trafił się dopiero w dniu 24 stycznia roku 41. Agryppa przebywał w Rzymie już od kilku miesięcy.

Cherea rzucił się z mieczem na Kaligulę w wąskim, krytym przejściu pałacowym. Wbił mu ostrze pomiędzy obojczyk a szyję. Rannego cesarza dopadli pozostali spiskowcy, zadając mu łącznie około trzydziestu pchnięć sztyletami i mieczami. Prefekta Klemensa wśród zabójców nie było. Ale i tak oddał im wielką przysługę. Kiedy bowiem w pierwszych godzinach ogólnego zamętu żołnierze schwyтали jednego ze spiskowców, rozkazał puścić go wolno. Co więcej, publicznie wyraził mu uznanie oraz usprawiedliwił czyn jego i towarzyszy:

– W gruncie rzeczy to sam Kaligula spiskował przeciw sobie. Popełniał zbrodnie i łamał prawa. Tamci są tylko formalnie zabójcami, bo w rzeczywistości to on sam ostrzył miecz na siebie!

Lecz słowa Cherei nie wystarczyły. Uważał, że prefekt powinien aktywniej uczestniczyć w tyranobójstwie. Ponieważ nie mógł zmusić do tego samego Klemensa, wybrał jego bliskiego krewnego. Był nim Juliusz Lupus, również trybun pretorianów. Rozkazał mu zabić cesarzową Cezonię i jej córeczkę. Co prawda w tej sprawie zdania wśród spiskowców były podzielone. Jedni uważali, że całkowitą odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie i szaleństwa ponosił tylko Kaligula, byłoby więc rzeczą niesłuszną i niegodną brać pomstę na bezbronnych kobietach. Inni natomiast dowodzili, że to Cezonia była złym duchem cesarza; obwiniali ją o podanie Kaliguli lubczyku, który stał się przyczyną jego obłądzenia. Sam Cherea rozstrzygnął spór twardo i bezwzględnie:

– Dzieło trzeba doprowadzić do końca. Nikt z najbliższej rodziny cesarza nie może pozostać przy życiu!

Juliusz Lupus zastał Cezonię leżącą na ziemi przy zwłokach męża, w sukni zbroczonej krwią z jego ran, płaczącą i rozpaczającą; córeczka była przy niej. Kobieta łkała i powtarzała wciąż te same słowa:

– A mówiłam ci, a prosiłam cię!

O czym myślała? Czy o tym, że napominała męża, by postępował inaczej, rozumniej, czy też o tym, że w porę nie usunął wszystkich podejrzanych?

W pierwszym momencie Cezonia nie zorientowała się, po co przychodzi Lupus. Sądziła, jak się zdaje, że chce jej pomóc w podźwignięciu zwłok Kaliguli. Wskazała je ręką i poprosiła oficera, by się zbliżył. On jednak szedł milcząc wprost ku niej, z dziwnym wyrazem oczu. Zrozumiała i odchyliła szyję. Zginęła też dziewczynka.

Zwłokami cesarza zajął się tylko król Agryppa. To on je podniósł własnymi rękoma i umieścił na łożu. Okrywszy je starannie, oświadczył żołnierzom straży przybocznej:

– Cesarz żyje. Odniósł wiele ran i bardzo cierpi, ale są już przy nim lekarze.

OJCIEC BERENIKI I CESARZ KLAUDIUSZ

Agryppa powiedział tak, ponieważ sytuacja była niejasna. Nikt nie wiedział, jaki dalszy plan działania mają spiskowcy i jak postąpi senat. Obawiano się buntu pretorianów, aktów ślepej pomsty, anarchii, ogólnej rzezi. Król uważał, że obecnie należy uspokajać, a nawet okłamywać żołnierzy, aby utrzymać ich w karchach dyscypliny tak długo, jak długo tylko się da. Wnet przysłyły wiadomości, że senat rad by powrócić do dawnej, republikańskiej formy rządów. A tymczasem w obozie pretorianów już okrzyknięto nowego cesarza! Był nim Klaudiusz, stryj zamordowanego Kaliguli, człowiek starszy, pogardzany dotychczas i wyśmiewany, bo zajmujący się studiami historycznymi. Któryś z żołnierzy, plądrujący dom cesarski na Palatynie, wyciągnął go zza kotary, gdzie ukrywał się trwożliwie.

Król pojął w lot, jak będą się rozwijały wypadki. Przewidział też, co ma czynić, aby wyjść z tego zamętu z największymi korzyściami osobistymi. Stawił się natychmiast w koszarach pretorianów, odbył poufną rozmowę z Klaudiuszem, który – przerażony, bezradny, zagubiony – już zamierzał ustąpić przed senatem i zrzec się władzy. Lecz Agryppa był innego zdania i szczerze to powiedział. Potem spokojnie powrócił do domu, gdzie rozkazał namaścić swe włosy, jakby dopiero co wstał od stołu. Domyślał się, co nastąpi obecnie: senatorzy już wiedzą, że rozmawiał z Klaudiuszem, zechcą więc zorientować się, jak wyglądają sprawy po tamtej stronie. Rzeczywiście. Wnet zjawiała się delegacja, prosząc go o stawienie się w senacie i wypowiedzenie swej opinii. Król udał się tam natychmiast. Jego mowa, zręczna i przekonująca, wiodła do jasnych konkluzji.

– Własnego życia nie będę szczędził – wywodził Agryppa – jeśli przyjdzie bronić waszej godności. Z drugiej wszakże strony należy w obecnej chwili oceniać rzeczy spokojnie, nie ulegając emocjom i zbożnym życzeniom. Załóżmy, że pragniecie zatrzymać władzę w swym ręku. Pięknie. Gdzie macie oręż, by jej bronić, gdzie wasi żołnierze? Twierdzicie, że broni jest dosyć w mieście, że pieniądze się znajdują, że wojska będą walczyć dzielnie. Ba, ponoć jesteście gotowi nawet wyzwolić swych niewolników i z nich formować nowe oddziały! Życzylbym szczęścia. Uważam jednak za swój obowiązek ostrzec was, że żołnierze, którzy wynieśli Klaudiusza, są znakomicie wyćwiczeni. A wy na kogóż możecie liczyć? Na zbieraninę i hałastę, na nedorajdów, którzy nie potrafią nawet miecza sprawnie wyciągnąć! Uważam więc, że jedyne, co możemy uczynić, to natychmiast wyprawić do Klaudiusza posłów z prośbą, by dobrowolnie zrezygnował z władzy, ofiarowanej mu przez żołnierzy. Jeśli chodzi o moją osobę, to w razie potrzeby nie odmówiłbym wzięcia udziału w takiej misji.

Kiedy zaś znowu przybył do obozu pretorianów, tym razem jako członek oficjalnego poselstwa, znalazł sposobność, by poufnie i tylko w cztery oczy poinformować Klaudiusza, że jego przeciwnicy są niezdolni do jakiegokolwiek skutecznego działania, skłóceni pomiędzy sobą, gadatliwie rozprawiają o szczytnych ideałach wolności i snują nierealne plany przechwycenia rządów; toteż on, Klaudiusz, powinien zająć twarde stanowisko i z góry odrzucić propozycję zrzeczenia się władzy, nie wdając się w żadne dyskusje; może natomiast wspinałomyślnie przyrzec, że jego przyszłe panowanie nie będzie miało nic wspólnego z tyranją, łamaniem praworządności i okrucieństwem poprzednich cesarzy, jako że on sam doświadczył prześladowań i chętnie podzielił się współodpowiedzialnością.

Wobec stanowczej postawy pretorianów i Klaudiusza senat musiał ustąpić. Nowy cesarz stanął na Palatynie. Pierwszym jego czynem było zwołanie rady przybocznej. Zawyrokowała ona, że zabójców Kaliguli należy jak najrychlej ukarać śmiercią; choć bowiem to, czego dokonali, zasługuje na pochwałę, jako żołnierze dopuścili się zbrodni złamania przysięgi. W istocie zaś chodziło przede wszystkim o to, by odstraszyć ewentualnych ich naśladowców.

Prowadzony na miejsce egzekucji Cherea nawet nie przybladł na twarzy. Natomiast Juliusz Lupus płakał i trząsł się, rzekomo tylko z zimna; płaszczą rzeczywiście nie miał, a był to przecież styczeń! Cherea zażartował:

– Jeszcze żadnemu wilkowi zimno nie zaszkodziło!

Po łacinie bowiem Lupus znaczy wilk. Potem Cherea rzeczowo zapytał żołnierza, który miał go ścinać, czy ma w tym wprawę. Prosił, by egzekucji dokonano tym samym mieczem, którym on ugodził Kaligulę. Nadstawiał karku śmiało i zginął od pierwszego ciosu. Inaczej Lupus: odruchowo wciąż cofał głowę, tak że kat kilkakrotnie ciął mu szyję.

Prefekta pretorianów Arrecyna Klemensa nie spotkało nic złego. I słusznie, on bowiem nie podniósł miecza na swego cesarza. Zapewne zmarł wkrótce po tych wypadkach. W każdym razie historia milczy o dalszych jego losach. Pozostawił dwoje dzieci. Syn, noszący to samo, co ojciec, imię i nazwisko, doszedł później do bardzo wysokich godności. Córka, Arrecyna Tertulla, była w roku 41 chyba jeszcze małą dziewczynką, a może nawet urodziła się nieco później. Około roku 60, a więc po dwudziestu mniej więcej latach, poślubił ją młody syn senatora Flawiusza Wespazjana – Tytus; ten sam Tytus, który w roku 75 witał w Rzymie i gościł na Palatynie Berenikę, córkę tak zasłużonego dla Klaudiusza Agryppy.

RZĄDY I ŚMIERĆ OJCA BERENIKI

Klaudiusz wynagrodził zasługi Agryppy prawdziwie po cesarsku, i to wnet po objęciu panowania. Przydał mu do ziem, które uzyskał on poprzednio od Kaliguli, wszystkie krainy na zachód od Jordanu i od Morza Martwego, a więc Samarię, Judeę, Idumeę oraz równinę nadmorską. Dzięki tym nadaniom Agryppa stał się władcą niemal całości tych ziem w Palestynie, które niegdyś należały do jego dziada, Heroda Wielkiego. W przeciwieństwie jednak do niego zdołał pozyskać sobie przychylność poddanych, choć prowadził politykę takiej samej lojalności i uległości wobec Imperium. Osiągnął to głównie przy pomocy, by tak rzec, gestów. Był hojny, życzliwy ludziom, okazywał przywiązanie do tradycji. Cieszył się też poparciem potężnego stronnictwa faryzeuszów. Surowo natomiast traktował w swym państwie Syryjczyków, Greków, Samarytan, a także wszelakich odszczepieńców. Odczuli to szczególnie boleśnie wyznawcy Jezusa; ci, którzy wierzyli, że to on był Mesjaszem. Znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. Jeden z ich przywódców, Jakub, syn rybaka Zebedeusza, został ścięty mieczem na rozkaz króla, Piotr zaś, już uwięziony, tylko cudem uniknął śmierci.

Po trzech latach królowania nad Palestyną, w roku 44, Agryppa urządził w Cezarei nadmorskiej wspaniałe igrzyska ku czci cesarza Klaudiusza. Wystąpił w szacie utkanej ze srebrnych nici. Gdy rankiem stanął w teatrze, połyskiwał w promieniach wschodzącego słońca niby niebiańska istota. Zaraz też podniosły się wokół głosy pochlebców, wołające:

– Jak bóstwo jaśniejesz!

Podobno w tejże chwili król dojrzał sowę, siedzącą na sznurze rozciągniętym nad jego głową. Serce ścisnęło mu się złym przecuciem. Przed laty bowiem, gdy za czasów Tyberiusza przetrzymywano go w italskim więzieniu, wyprowadzony pewnego dnia z lochu, przypadkowo oparł się o drzewo, na którym usiadła sowa. Dostrzegł to jeden ze współwięźniów, Germanin z pochodzenia. Zbliżył się i powiedział:

– Teraz ten ptak wróży ci rychłe uwolnienie i pomyślność. Ale gdy ujrzysz go po raz drugi, umrzesz w ciągu dni pięciu!

Króla chwyciły nagle i gwałtowne bóle żołądka. Odniesiony do pałacu męczył się jeszcze przez dni pięć. Jego komnata znajdowała się na wysokim piętrze pałacu, toteż widział ze swego łoża, jak żydowska ludność Cezarei – mężczyźni, kobiety, dzieci – pokotem kładzie się w pokutnych szatach na ulicach miasta, z płaczem zanosząc modły o zdrowie króla. I jemu lzy spływały z oczu.

Umierał w pięćdziesiątym czwartym roku życia. Pozostawił siedemnastoletniego syna Agryppę II oraz trzy córki. Najstarsza z nich, Berenika, liczyła lat szesnaście, średnia, Marianne, dziesięć, najmłodsza zaś, Druzylla, zaledwie sześć.

Jak bardzo nienawidzili króla jego nieżydowscy poddani, pokazało się w tymże samym dniu, i to w sposób szokujący. W obu miastach, w których było najwięcej Greków i Syryjczyków, to jest w Cezarei nadmorskiej i w Samarii-Sebaste, tłumy wyległy na ulice. Ludzie radośnie krzycząc, jednocześnie przeklinali jego pamięć i obrzucali go najplugawszymi wyzwiskami. Ucztowali na placach, w świątyniach i przed domami. Uwieńczeni kwieciami i pachnący wonnościami, raz po raz przepijali do siebie z wrzaskiem i śmiechem:

– Na zdrowie! Król umarł!

Również żołnierze przyłączyli się do weselnych manifestacji. Co nie mogło dziwić, jako że rekrutowali się oni głównie z ludności obcego pochodzenia. Wdarli się do królewskich domostw i zabrali z nich złocone posągi trzech księżniczek. Zanieśli je do burdeli i ustawili na płaskich dachach; stamtąd pokazywali ohydnyimi gestami, ku uciesze gawiedzi na ulicach, jakie to sprośności można by wyczytać z Bereniką, Marianne, Druzyllą.

ŚWIĄTYNIE I EROTYKA

A ów pomysł w naukach Szymona Maga, że Ennoja-Helena znalazła się w domu publicznym? I to nie jako posąg lub podobizna, lecz prawdziwie, we własnej osobie! Jakimże sposobem, drogą jakich skojarzeń mógł ktoś wydumać scenę tak szokująco bluźnierczą?

Otóż zważyć wypada, że ludziom tamtych czasów, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie, myśl nie wydawała się niesłychana. Przeciwnie, w wielu krajach mogła uchodzić za zgodną z prawnym obyczajem religijnym. Stykała się z nim ponad wszelką wątpliwość Berenika, tak często przemierzająca ziemie Syrii i Fenicji. Później słyszał o nim także Tytus, gdy zwiedzał świątynię Afrodyty w Pafos na Cyprze.

Posąg Afrodyty pafijskiej – jeśli w ogóle zasługiwał na tę nazwę – przedstawiał się dziwnie. Wyobrażenia na monetach tam wybijanych oraz starożytne opisy wzajem się potwierdzają i uzupełniają. Dość wysoki, okrągły słup kamienny, zwięzający się ku górze, stał pod gołym niebem na dziedzińcu świątynnym, blisko ołtarza. Legenda kazała wierzyć, że ołtarza nigdy nie zrosiła ani kropla deszczu; nigdy też nie skraplano go krwią zwierząt ofiarnych; płonął na nim tylko płomień najczystszy. A jeśli już mowa o ofiarach: składano Pani przybytku wyłącznie samce, najchętniej młode kozły; z ich trzewi kapłani przepowiadali przyszłość pobożnym pielgrzymom.

Czymże jednak był posąg pafijski? Przeżytkiem pradawnego kultu świętych kamieni, kultu tak rozpowszechnionego w krajach Wschodu? A może wierzono, że to meteor, który spadł z księżyca lub z nieba? Na niektórych monetach widać nad posągiem i świątynią podobiznę sierpu księżyca i gwiazdy; to wszakże niewiele mówi, bowiem Panią miłości łączono z księżycem często i u różnych ludów.

Utrzymywano, że cześć Afrodyty przyszła na Cypr z palestyńskiego miasta Aszkalon. Legenda właśnie tam umieszczała pierwszą świątynię bogini, której różne dawano imiona. Jednakże jej cypryjskie przybytki – a było ich na wyspie jeszcze kilka poza Pafos – rychło przyćmiły sławą wszystkie inne, nawet znacznie starsze. Dlatego też w świecie greckim tak powszechnie zwano Afrodytę – cypryjską, opowiadając, że wyłoniła się z piany i fal morskich u wybrzeży wyspy.

Istniały wszakże interesujące powiązania nie tylko z Palestyną, lecz nawet z odległą Babilonią. Na przykład:

Trwał na Cyprze zwyczaj, że dziewczęta w wieku przedślubnym musiały w pewnych dniach zasiadać na wybrzeżu i czekać na chętnych; oddawały się za pieniądze, które przeznaczały na swój posąg. Tak więc młode Cypryjki składały Pani ofiarę z siebie samych. Później wszakże dochowywały swym mężom niezachwianej wierności. Otóż podobną pod pewnymi względami służbę świątynną uprawiano w różnych ośrodkach religijnych Babilonii i Syrii od czasów pradawnych aż po sam schyłek starożytności.

Gdy Herodot, sławny historyk grecki, żyjący pięć wieków przed czasami Tytusa, przejeżdżał przez miasta Babilonii, zetknął się tam w przybytkach bogini miłości – on utożsamiał ją z Afrodytą – z obyczajem, który uznał za niezwykle gorszący:

Każda kobieta musi raz w życiu pójść do świątyni i sprzedać swe wdzięki komuś z obcego kraju. Stosują się do tego nakazu nawet panie bardzo zamożne. Przyjeżdżają wprawdzie w krytych powozach, za którymi idzie orszak służby, ale potem czynią jak wszystkie inne. Zwykle siedzą na ziemi w świętym gaju bogini, mając wieniec ze sznurka na głowie, co oznacza, że są niewolnicami Pani. Bywa tych kobiet bardzo wiele; siedzą po obu stronach prostych ścieżek, po których przechadzają się cudzoziemcy. Ta, która raz tam się znajdzie, nie może powrócić do domu, póki któryś z cudzoziemców nie rzuci jej srebrnego pieniążka i nie wypowie słów:

– Wzywam przeciw tobie boginię!

Pieniążek bywa całkiem drobny, kobiecie jednak nie wolno go odtrącić i nie wolno odmówić temu, kto rzuci pierwszy. Oddaje się swemu nabywcy poza obrębem przybytku. Dopiero po spełnieniu świętego obowiązku swobodnie wraca do swoich. Odtąd żyje przykładnie, niedostępna za żadne pieniądze. Kobiety dorodne oczywiście szybko dokonują wszystkiego, ale brzydkie niekiedy i po kilka lat siedzą, czekając na kogoś chętnego.

Właśnie w tym związku przypomina Herodot, że w niektórych miejscowościach Cypru istnieje podobny zwyczaj.⁴

A jak było w Syrii? W mieście Heliopolis, zwanym dziś Baalbek, dziewczęta przed zamążpójściem musiały oddawać się w tamtejszej świątyni Afrodyty każdemu, kto zechciał. Dopiero zwycięskie chrześcijaństwo w czwartym wieku przerwało tę tradycję. Jednakże ludność miejscowa uznała to za pogwałcenie swych najświętszych przekonań religijnych, wyjechała chwili sposobnej i rozprawiła się z tamtejszymi mniszkami w sposób wyrafinowanie okrutny.

I jeszcze jedna kraina Wschodu – Fenicja. Tam, w mieście Byblos, wznosił się przybytek bogini, w której Grecy widzieli swoją Afrodytę. Corocznie obchodzono w Byblos pamiątkę śmierci Adonisa, ukochanego Afrodyty, zabitego przez dzika, lecz potem zmartwychwstałego. W czasie uroczystości w całym mieście panowała głęboka żaloba, rozlegał się płacz, zawodzenia, jęki. Wszystkie kobiety obcinały sobie włosy, jak po stracie kogoś najbliższego; a która by tego uczynić nie chciała, musiała w dniu wyznaczonym stanąć na rynku i tam się sprzedać – ale tylko cudzoziemcom; zarobione pieniądze oddawała świątyni.

Na pograniczu armeńskim, nad górnym Eufratem, wielką czcią cieszył się dom bogini Anaitis. Prócz zwykłych niewolników i niewolnic służyły w nim także, i to nieraz przez długie lata, dziewczęta wolno urodzone, a nawet pochodzące z najznakomitszych rodów krain sąsiednich. Służyły Pani swym ciałem, oddając się pobożnym pielgrzymom. Później wychodziły za mąż, a każdy za zaszczyt sobie poczytywał, że jego małżonka była kiedyś w przybytku Anaitis. Co prawda, miały prawo wybierania sobie kochanków; zwykle więc dopuszczały tylko młodych ludzi, tego co i one stanu; przyjmowały od nich symboliczną zapłatę, ale w zamian pięknie gościły w swych pokojach i jeszcze obsypywały kosztownymi podarunkami.

Wracając zaś z tej okrzężnej podróży do cypryjskiego Pafos, trzeba przypomnieć, że praktykowano w tamtejszej świątyni również misterium męskie, rodzaj wtajemniczenia. Ci, którzy go dostąpili, otrzymywali z rąk kapłana szczyptę soli – jako pamiątkę narodzenia się ich Pani z fal morza – oraz małe wyobrażenie fallusa. Sami natomiast składali Afrodycie w podzięce drobną monetę; „jak przyjaciel przyjaciółce” – powiada jeden z antycznych pisarzy.

W jakież jednak sposób należałoby wytłumaczyć pochodzenie i sens owych zwyczajów i misteriów? Dziś można by rozwijać uczone wywody, że chodzi o przeżytek z pradawnych czasów, kiedy to poniektóre szczepy chętnie użyczały swych kobiet cudzoziemcom; czyniły to zarówno dla uświetnienia prawa gościnności, jak też dla odświeżenia krwi. W starożytności natomiast przyjmowano inne wyjaśnienie, raczej mistyczne: kto miłośnie obejmuje kobietę, będącą w danej chwili własnością Pani, w istocie łączy się z Tą, która uosabia życiodajne siły Natury. Właśnie tego rodzaju były nauki Szymona i jego uczniów; to przynajmniej zdaje się wynikać z namiętnych oskarżeń o rozpustę, jakie czytamy u wrogów samaryjskiego maga.

⁴ Herodot, *Dzieje*, I 199.

ROZPUSTA JAKO ELEMENT WIARY

Wrogowie Szymona atakowali z pasją jego samego, jego następców i wyznawców, tak przedstawiając ich naukę i postępowanie:

Ten oszust bezczelny oprowadzał wszędzie Helenę i nazywał ją swoją owieczką. Tę, która zaginęła, lecz oto została odnaleziona! Naprawdę zaś było tak, że zakochał się w dziewczynie i wykupił ją z domu rozpusty, a bajeczkę zmyślił ze wstydu przed własnymi uczniami. Ale i oni wiernie idą w ślady tego kuglarza! Według nich każdy ma prawo żyć z jaką chce kobietą. I mówią bezwstydnie:

– Każda ziemia jest tylko ziemią, nie ma więc znaczenia, kto sieje, byle siał!

Jeszcze się chełpią tą rozpustą i nazywają ją miłością doskonałą! Ich odrażająca i nieokiełznana pomysłowość przewyższa wszystko, co tylko można wyobrazić sobie najsprośniejszego. Ale jeśli ktoś wprost ich o to oskarży, usłyszy arogancką odpowiedź:

– Nie wolno dać wmówić sobie, że coś jest złe, skoro jest to zło tylko pozorne i umowne!

Czynią więc, co tylko im się podoba, utrzymując, że jedynie oni są ludźmi prawdziwie wyzwolonymi. Zbawia bowiem – tak nauczają – wyłącznie łaska Mocy Najwyższej, sprawiedliwe zaś uczynki w niczym nie są pomocne. A dlaczego jest tak właśnie? I na to mają odpowiedź gotową:

– Aniołowie, którzy stworzyli ten świat, ustanowili prawa tego rodzaju, że wszyscy im posłuszni muszą stać się niewolnikami. Tak samo zresztą dawni prorocy wieszczili nie z natchnienia Mocy Najwyższej, lecz tylko z podszeptu owych aniołów!

Twierdzą także, że kiedy przyjdzie koniec świata, zbawieni, a więc wyzwoleni spod władzy aniołów-stworzycieli, będą tylko ci, którzy wierzą w Szymona i Helenę.

Ich kapłani służą wszelkim pożądlivościom. Uprawiają magię, znają zaklęcia i sposoby zamawiania, przygotowują lubczyki, wywołują duchy zmarłych, tłumaczą sny. Mają też posągi Szymona i Heleny. On upodobniony jest do Zeusa, ona zaś do Ateny. Wzywają ich jako Pana i Panią. Padają przed nimi na twarze, składają ofiary, wylewają libacje. Ale gdy ktoś nazywa te posągi ich właściwymi imionami, natychmiast go wypędzają, jako jeszcze nie wtajemniczonego.

APOLONIUSZ Z TYANY

Wśród sławnych osobistości, które odwiedziły Pafos cypryjskie, interesując się tamtejszymi obrzędami, znalazł się też współczesny Berenice i Tytusowi, choć dużo starszy od nich wiekiem, grecki mędrzec i prorok, cudotwórca i asceta, a może i szarlatan – Apoloniusz z Tyany. W jego „Żywocie”, spisany co prawda dopiero w półtora wieku później przez Filostrata, lecz na podstawie znacznie wcześniejszych opowieści, zachowała się taka wzmianka:

„W Seleucji syryjskiej Apoloniusz i jego towarzysze trafili na okręt płynący na Cypr. Wyładowali w mieście Pafos, sławnym dzięki świątyni Afrodyty. Jest tam symboliczny posąg bogini. Apoloniusz podziwiał go, udzielił kapłanom wielu pouczeń w sprawach kultu, a potem odpłynął ku wybrzeżom Azji Mniejszej.”⁵

Jednakże przywołujemy tu postać świątobliwego męża nie dlatego, że podróżując po różnych krainach, przypadkowo zawadził również o Cypr. Ani też nie z tej racji, że później zbliżył się do domu Flawiuszów. Istotnym powodem, który nakazuje zająć się Apoloniuszem, jest obowiązek spojrzenia w różne oblicza tamtej epoki. Poświęciliśmy sporo miejsca surrealistycznym – właśnie tak określają je niektórzy! – pomysłom Szymona Maga; przypomnieliśmy erotyczne praktyki zarówno jego sekty, jak też wielu kultów wschodnich; wypada więc przedstawić i to, co mogło stanowić opozycję, choćby nawet nieświadomą, wobec tych poglądów i obyczajów. Wszelako także i tu obok kontrastów znajdują się i podobieństwa, obaj bowiem, Szymon i Apoloniusz, byli i dziećmi, i twórcami tamtego świata.

Apoloniusz przyszedł na świat w kapadockiej miejscowości Tyana, a więc na ziemiach dzisiejszej wschodniej Turcji, za panowania cesarza Augusta. Uczęszczał do szkół najpierw w cylicyjskim mieście Tarsus; tym samym, w którym urodził się i młodość swoją spędził jego rówieśnik Saul, zwany później Pawłem. Może ci dwaj znali się i spotykali? Potem Apoloniusz studiował w Ajgaj. Przez kilkanaście lat, gdy cesarzem był Tyberiusz, wędrował po różnych krainach Azji Mniejszej i Syrii, od Efezu po Antiochię. Wreszcie postanowił odbyć pielgrzymkę do samych źródeł najtajniejszej mądrości. Wyjechał do Asyrii i Babilonii, stamtąd zaś aż do Indii, gdzie spotykał się i dysputował z braminami. Podróże te trwały długo. W Rzymie panował cesarz Kaligula, potem Klaudiusz. Na zachód Apoloniusz powracał znowu przez Babilonię. U granic Imperium nad Eufratem dowiedział się, że ma ono już nowego pana – Nerona. Przez miasta Syrii dotarł do Antiochii, stamtąd zaś do portowej Seleucji. Tam, jak się rzekło, znalazł okręt płynący na Cypr i przybił do brzegów wyspy w miejscowości Pafos. O niektórych jego późniejszych przygodach zapewne zdarzy się jeszcze sposobność szerzej pomówić. Aby natomiast zrozumieć poglądy i praktyki Apoloniusza oraz przyczyny sławy mędrca, należy cofnąć się do jego lat młodzieńczych. On sam tak o nich opowiadał:

– Gdy miałem czternaście lat, ojciec zawiózł mnie do Tarsus i oddał do szkoły retora Eutydemosa, rodem z Fenicji. U niego to zacząłem naukę i szczerze się do niego przywiązałem. Nie odpowiadała mi jednak atmosfera miasta. Trudno tam poważnie studiować. Wszyscy myślą tylko o urokach i używaniu życia. Drwią sobie i prześmiewają się z wszystkiego, zachowują się bezczelnie. Wytworne ubrania bardziej miłują niż Ateńczycy mądrość. Siedzą nad tą swoją rzeką, nad Cydnusem, jak ptaki jakieś wodne. Toteż w wiele lat później napisałem w liście do nich: „Przestańcie wreszcie upijać się wodą!” W końcu zdołałem uprosić ojca, żeby mnie zabrał stamtąd. Przeniosłem się do miasta Ajgaj, położonego też w Cylicji, lecz nieco dalej na wschód, nad samym morzem. Spokój tej miejsciny bardzo sprzyja każdemu, kto pragnie naprawdę poświęcić się filozofii. Studia uprawiają tam z prawdziwym entuzjazmem. W

⁵ Filostrat, *Żywot Apoloniusza z Tyany*, III 58.

Ajgaj jest też sławna świątynia Asklepiosa, w której sam Bóg ukazuje się ludziom. Spotkałem w miasteczku zwolenników różnych szkół filozoficznych. Najwięcej było wielbicieli Platona, ale nie brakło też stoików, arystotelików, a nawet epikurejczyków. Również tych ostatnich wysłuchiwałem uważnie. Najgorliwiej jednak zająłem się filozofią pitagorejską. Jej nauczycielem w Ajgaj był niejaki Euksenos. Co prawda, nie budził on zbyt dużego szacunku, bo nie praktykował filozofii w swym życiu osobistym. Owszem, znał nauki Pitagorasa, ale nie inaczej niż te ptaki, co to uczą się różnych wyrazów od ludzi. Mówią więc: „Dzień dobry” i „Żegnaj”, i „Bóg łaskaw”, i tym podobne życzenia. Ale same niczego nie rozumieją, a słowa, które wypowiadają, całkiem nie świadczą, że są istotnie tak życzliwie usposobione do ludzi. Wszystko, co potrafią, to odpowiednio układać język. Mimo to słuchałem Euksenosa pilnie, i to prawie przez dwa lata, aż do szesnastego roku życia. Dopiero wtedy postanowiłem, że trzeba poważnie ułożyć swe życie na sposób pitagorejski. Oczywiście nie przestałem okazywać szacunku nauczycielowi. Uprosiłem nawet ojca, żeby darował mu mająteczek podmiejski z przyjemnym ogrodem i źródłami. Ale powiedziałem mu jednocześnie: „Ty żyj tutaj na swój sposób, a ja będę szukał samego Pitagorasa!” Zapytał, od czego zacznę. Odpowiedziałem, że od tego, co i lekarze; bo ci najpierw oczyszczają pacjentom żołądek i w ten sposób osiągają to, że jedni nie chorują, inni zaś nawet powracają do zdrowia. Właśnie wtedy całkowicie porzuciłem jedzenie mięsa, a potem kolejno ograniczałem swoje potrzeby i praktykowałem coraz twardszą wstrzemięźliwość.

ASCEZA APOLONIUSZA

Pitagoras, wielki mędrzec sprzed sześciu wieków, którego Apoloniusz wielbił w sposób szczególny i pragnął naśladować we wszystkim, pozostawił swym uczniom takie przykazanie:

Mężczyzna nie powinien obcować z żadną kobietą; wyjątek można uczynić tylko dla żony.

Apoloniusz wszakże oświadczył autorytatywnie, że Pitagoras myślał w tym wypadku o innych, a nie o sobie samym, bo nigdy się nie ożenił. Postanowił pójść jak najwierniej za tym przykładem; nie założył rodziny i zawsze stronił od spraw miłosnych. A powziął tę decyzję jeszcze jako człowiek bardzo młody, zdrowy i krzepki. Natomiast wrogowie Apoloniusza twierdzili, że i on ulega požądaniom i że właśnie z powodu niepowodzenia miłosnego opuścił ojczyznę, przenosząc się na cały rok aż do kraju Scytów. Uczniowie wszakże odrzucali te twierdzenia jako oszczercze i całkowicie zmyślane. Ich zdaniem mistrz panował zawsze nad swymi namiętnościami w sposób absolutny, a kraju Scytów nigdy nawet nie odwiedził. Wskazywali też, że nieprzejednany wróg Apoloniusza, Eufrates, nie zarzucał mu ulegania pożądliwościom erotycznym, choć napisał przeciw tyńczykowi wiele kłamliwych traktatów. Przyczyna zaś nienawiści Eufratesa była ponoć ta: Apoloniusz zganił go kiedyś, że wszystko gotów by zrobić dla pieniędzy, i nawoływał publicznie, by wreszcie przestał kupczyć nauką.

Sam bowiem Apoloniusz pozbył się dobrowolnie niemal całego majątku, jaki odziedziczył po rodzicach. Najpierw oddał połowę swej części starszemu bratu, resztę rozdał nieco później po trochu różnym krewnym; sobie samemu prawie nic nie pozostawił. Uważał zresztą, że i tak postąpił znacznie rozsądniej niż poniekąd wielu sławni filozofowie sprzed wieków; bo jedni z nich pozostawiali swe ziemie i domy na łasce losu, inni zaś rzucali pieniądze do morza; w ten sposób wprawdzie sami pozbywali się kłopotów, ale też nie pomagali nikomu, marnotrawiąc dane im dobra.

Wracając jednak do spraw ascezy i wstrzeźliwości: Apoloniusz uprawiał twardą samodyscyplinę nie tylko w sprawach erotyki. Zgodnie z nauką Pitagorasa, jak o tym była już mowa, w ogóle nie jadał mięsa; powiadał, że jest w nim coś nieczystego, co przytępia jasność myślenia. Poprzestawał na chlebie, owocach i jarzynach. Nie pijał wina. Przyznawał wprawdzie, że jako owoc ziemi jest to napój czysty, mniemał jednak, że zaciemnia eteryczny pierwiastek duszy i zagraża spokojowi myśli. Chodził boso. Nosił wyłącznie odzież lnianą. Nie przyszytywał włosów. Zażywał tylko zimnych kąpiei, był bowiem zdania, że woda ciepła sprzyja starzeniu się ciała i chorobom. Pewnego razu przyjechał do Antiochii syryjskiej właśnie wtedy, gdy cesarz rozkazał zamknąć na jakiś czas wspaniałe łaźnie tamtejsze; miała to być kara za poważne przewinienia ludności miasta wobec władz rzymskich. Apoloniusz oświadczył w związku z tym publicznie:

– Postępujecie źle, a w nagrodę za to cesarz jeszcze przedłuży wam życie!

Innym znowu razem efezjanie chcieli zatłuc kamieniami na śmierć głównego urzędnika swego miasta, ponieważ rzekomo nie dbał o należyte ogrzewanie budynku łaźni. Apoloniusz wystąpił w jego obronie. Powiedział:

– Wy oskarżacie tego człowieka o to, że kiepsko zarządza łaźnią, a ja was o to, że w ten sposób się kąpiecie!

Zawsze natomiast namaszczał ciało oliwą i stosował masaże.

Największym wszakże ascetycznym osiągnięciem Apoloniusza było zachowanie przez pięć lat całkowitego milczenia. I w tym wypadku szedł wiernie za wyraźnym zaleceniem Pitagorasa, który nakazywał przestrzeganie pięcioletniego milczenia wszystkim uczniom pragnącym wstąpić do jego wspólnoty. Bezpośrednim powodem podjęcia tak heroicznej decyzji było pytanie, jakie pewnego dnia zadał Apoloniuszowi jego nauczyciel w Ajgaj, Euksenos:

– Dlaczego nic nie piszesz? Masz przecież wiele ciekawych myśli, a wysławiasz się pięknie i nawet porywająco!

Na co Apoloniusz odparł po prostu:

– Nie odbyłem jeszcze praktyki milczenia.

Rozpoczął ją wkrótce po tej rozmowie. Nie wyrzekł się jednak towarzystwa ludzi. Ci, którzy wówczas go poznawali, twierdzili, że choć nie odezwał się ani słowem, obcowanie z nim miało wiele uroku. Brał czynny udział w dyskusjach, wyrażając swe myśli wymową oczu, gestykulacją rąk, ruchami głowy. Nie było w nim nic z owych mędrców ponurych i zamkniętych w sobie. Zachowywał się swobodnie, miał twarz pogodną, okazywał ludziom życzliwość. Później jednak sam przyznawał, że właśnie ten okres był w jego życiu najcięższy:

– Ileż to razy miałem wtedy coś bardzo ważnego do powiedzenia, lecz nie wolno mi było ust otworzyć! A ile razy musiałem udawać, że nie słyszę słów obraźliwych, chamskich, drażniących! Za każdym jednak razem, kiedy wydawało mi się, że już złamię milczenie, powtarzałem sobie w duchu ten wiersz *Odysei: i to ścierp jeszcze, me serce i mój języku!*

Owe tak trudne lata Apoloniusz spędzał w tych krainach, w których dotychczas się uczył i studiował, to jest u południowych wybrzeży Azji Mniejszej, w Cylicji i w Pamfilii. Właśnie w pamfilijskim mieście Aspendos zdarzyła się rzecz niezwykła.

W tamtejszych stronach był to rok nieurodzaju. Wielcy panowie i kupcy mieli wprawdzie pełne spichlerze, ale trzymali je zamknięte, a nawet wywozili zboże tam, gdzie płacono jeszcze lepiej. Gdy Apoloniusz wszedł do miasta, na rynku sprzedawano tylko wykę; takim to zielskiem żywiło się pospólstwo. Doszło do rozruchów. Wzburzony tłum porwał płonące szczapy i ruszył na budynek rady. Wołano, że trzeba żywcem spalić głównego urzędnika, bo szubrawiec, w zмовie z bogaczami, nic nie robi, żeby klęsce zaradzić. Nieszczęśnik szukał ratunku, obejmując rękami posąg cesarza Tyberiusza, ustawiony w sali. Gdyby oderwano go siłą lub posąg uszkodzono, na miasto niechybnie spadłaby straszliwa kara, Rzymianie bowiem uznaliby to za obrazę majestatu władcy. Opowiadano po całym Imperium, jak to pewien senator stanął przed sądem tylko z tego powodu, że uderzył swego niewolnika, przypadkowo trzymającego w ręku monetę z podobizną Tyberiusza. Na szczęście i dla urzędnika, i dla wszystkich jego prześladowców w Aspendos, Apoloniusz zdołał w ostatniej chwili powstrzymać napierający tłum. Samotnie zagroził mu drogę. Stał nieporuszony, milczący, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Potem zaś – mówiono o tym z największym podziwem, jako o prawdziwym cudzie – doprowadził nawet do ugody z kupcami zbożowymi, i to nie otwierając ust, nie przerywając milczenia! Wystarczyła jego postawa, gesty, powaga, wyraz oczu, sława boskiej mądrości. Co prawda sam później przyznawał, że był pewien moment, w którym omal się nie odezwał, i to gromkim, groźnym głosem; ten mianowicie, kiedy przywiedziono na plac spekulantów zbożowych.

Gdy Apoloniusz już zakończył swe pięcioletnie milczenie i cieszył się wielkim autorytetem w krajach Azji Mniejszej, Berenika w Palestynie była jeszcze małą dziewczynką. A kiedy ona straciła ojca, w roku 44, asceta przebywał już w Babilonii lub nawet w dalszych krainach Wschodu.

MĘŻOWIE BERENIKI

Choć w chwili śmierci ojca Berenika miała, jak się rzekło, lat szesnaście, była już wdową, wówczas zaś mężatką po raz drugi.

Po raz pierwszy wyszła za mąż jako dziewczyna trzynastoletnia; poślubiła Marka Juliusza Aleksandra. Mimo rzymskiego nazwiska był to Żyd. Pochodził z rodziny od dawna osiadłej w Aleksandrii, wzbogaconej tam i zhellenizowanej. Odkąd Egipt przeszedł pod rzymskie panowanie, rodzina służyła nowym panom jak najwierniej, sprawując niemal dziedzicznie nadzór nad poborem ceł lądowych i morskich; w nagrodę za to ojciec Marka otrzymał rzymskie obywatelstwo, a więc i nazwisko.

Jednakże pierwsze małżeństwo Bereniki pozostało tylko aktem formalnym, Marek bowiem zmarł tuż po jego zawarciu. Młodziutka dziewczyna, a już wdowa, wyszła dzięki staraniom ojca za mąż powtórnie, i to bardzo rychło; Agryppa I wydał ją za swego rodzonego brata, Heroda; innymi słowy, została żoną swego stryja. Nie dziwiło to wszakże i nie gorszyło nikogo, małżeństwa bowiem w obrębie tych samych rodzin były wówczas częste na Wschodzie, a w tej dynastii stanowiły niemal zasadę. Agryppa I wystarał się również u cesarza Klaudiusza, że nowy mąż Bereniki otrzymał we władanie księstwo Chalkis, leżące, jak była o tym i mowa, w południowej Syrii, pomiędzy pasmami gór Libanu i Antylibanu.

Z małżeństwa tego przyszło na świat dwóch synów. Byli małymi chłopcami, gdy ojciec ich zmarł. Stało się to w roku 48; Herod więc przeżył swego starszego brata, króla Agryppę I, tylko o cztery lata. Berenika, licząca wtedy lat dwadzieścia, została wdową po raz wtóry. Ona i jej synowie winni by dziedziczyć księstwo Chalkis, jednakże cesarz Klaudiusz postanowił inaczej. Oddał tę ziemię bratu Bereniki, Agryppie II. Miało to być dla niego skromnym zadośćuczynieniem za to, że nie otrzymał spadku po swym ojcu, to jest prawie całej Palestyny. Natychmiast bowiem po niespodziewanej śmierci Agryppy I w Cezarei kraina ta przeszła pod bezpośrednią administrację rzymską, sprawowaną przez namiestników z tytułem prokuratorów. Właśnie skutkiem tej zmiany rządów nie ponieśli zasłużonej kary ci, którzy tak bezczelnie szydzili ze zmarłego i tak sprośnie naigrawali się z jego córek. Kto wie nawet, czy ta burdelowa afery nie wpłynęła na cesarską decyzję przywrócenia w Palestynie rzymskiej władzy. Obawiano się zapewne w otoczeniu Klaudiusza, by owa nieprzejednana wrogość różnych grup i odłamów tamtejszej ludności nie doprowadziła do rozpętania się krwawych zamieszek, z którymi młodziutki Agryppa II nie potrafiłby sobie poradzić. Aby więc wynagrodzić księciu utratę wielkiego dziedzictwa, cesarz ofiarował mu małe księstwo Chalkis, jako że właściwi spadkobiercy, synowie Bereniki, byli jeszcze dziećmi.

BUDOWLE BRATA BERENIKI

Mieszkając w Rzymie przez wiele lat i mając tam wielu przyjaciół, Agryppa II cieszył się całkowitym zaufaniem, a nawet przyjaźnią cesarza Klaudiusza – podobnie jak i jego ojciec. Nic więc dziwnego, że po pewnym czasie spotkała go łaska niezwykła: oddał Rzymowi małe księstwo Chalkis, otrzymał zaś w zamian znacznie rozleglejsze krainy, położone na wschód i północ od jeziora Genezaret – dawne włości księcia Filipa, syna Heroda Wielkiego; obdarowano go również ziemią Abila w pobliżu Damaszku. Wspaniałomyślny dla Agryppy II okazał się także cesarz Neron, następca Klaudiusza; nadał mu dwa miasta u zachodnich, galilejskich wybrzeży jeziora, Tyberiadę i Taricheę, oraz okręg na południu kraju, u ujścia Jordanu do Morza Martwego. Wzruszony tą życzliwością król zmienił nazwę swej pięknej rezydencji u źródeł Jordanu, Cezarei Filipowej; odtąd oficjalnie zwała się Neronias; została wspaniale rozbudowana, aby godnie mogła nosić tak zaszczytne miano.

W Judei właściwej, którą zarządzali rzymscy prokuratorzy, Agryppie przysługiwał tylko przywilej opieki nad jerozolimską świątynią. Mógł powoływać i usuwać jej arcykapłanów; czynił to często, pod różnymi pozorami, z wyraźną satysfakcją okazując w ten sposób swoją władzę. W sprawach religijnych był raczej obojętny, jak wszyscy członkowie rodziny, formalnie wszakże i pozornie przestrzegał postanowień Zakonu. Dlatego też gdy wydawał swą młodszą siostrę Druzyllę za męża za króla Emesy syryjskiej, zażądał, by oblubieniec został wprawdzie obrzezany; co prawda w kilka lat później, gdy ta sama Druzylla porzuciwszy władzę Emesy, poślubiła ówczesnego prokuratora Judei, Rzymianina Feliksa, takiego warunku nie postawił. Równocześnie tenże Agryppa ozdabiał fenickie miasto Berytus, czyli Bejrut, mnogością posągów i wszelkich dzieł sztuki, z których wiele wyobrażało żywe istoty, co było jaskrawo sprzeczne z Zakonem.

Agryppa II lubił Berytus i czuł się tam dobrze. Zresztą już pradziad jego, król Herod Wielki, zbudował w tym mieście hale, portyki, świątynie, place targowe; w ten sposób zabiegał o względy Rzymian, jako że Berytus był ich kolonią, zasiedloną przez byłych żołnierzy dwóch legionów. Gdy niektóre z owych Herodowych budowli uległy zniszczeniu, Agryppa II zabrał się do ich restauracji. Przed kilkunastu laty odkryto w Bejrucie uszkodzony napis łaciński tej treści:

„Królowa Berenika, córka wielkiego króla Agryppy, i król Agryppa odnowili od fundamentów budynek, który wznosił ich pradziad król Herod, a który zawalił się skutkiem starości; ozdobili go marmurami i sześciu kolumnami.”⁶

Także ojciec ich obojga, Agryppa I – na napisie zwany jest wielkim! – uczynił dużo dla miasta. Zbudował teatr, amfiteatr, łaźnie, portyki, wspaniale wyposażając wszystkie te gmachy. Na swój koszt urządzał w teatrze popisy muzyczne i poetyckie, w amfiteatrze zaś krwawe walki gladiatorów. Pewnego razu – niezwykle to wydarzenie zapisało się na długie lata w pamięci mieszkańców – wypuścił na arenę dwa oddziały gladiatorów, liczące aż po siedmiuset ludzi. Byli to wyłącznie przestępcy; wzajem się wymordowując, sprawiali rozkosz i uciechę widzom, a zarazem wymierzali sami sobie zasłużoną karę. Pomysł tej masowej i publicznej egzekucji, łączącej piękne z pożytecznym, musiał spotkać się z ogólną aprobatą.

Idąc śladami ojca, Agryppa II corocznie wydawał igrzyska w berytyjskim teatrze, a przy tej sposobności rozdawał wśród tamtejszej ludności zboże i oliwę wartości kilkudziesięciu tysięcy drachm. Oczywiście wywoływało to szczerze oburzenie poddanych króla; miasto leżało poza granicami jego władztwa, uważali więc nie bez racji, że to ich kosztem karmi się obcych.

⁶ E. M. Smallwood, *Documents illustrating the Principates of Gaius, Claudius and Nero*, Cambridge 1967, nr 212 b.

W samej Jerozolimie król rozbudował dawny pałac Hasmonejczyków w Górnym Mieście, obecnie służący mu za rezydencję; znacznie bowiem okazałszy i nowocześniejszy pałac Heroda zajmowali, jak się już rzekło, rzymscy prokuratorzy. Tymczasem dobiegły kresu prace przy powiększaniu i upiększaniu świątyni, rozpoczęte jeszcze za Heroda Wielkiego. Wywołało to powszechny niepokój w mieście, ponieważ roboty te dawały zatrudnienie wielu tysiącom rzemieślników, zwłaszcza kamieniarzom; było ich w Jerozolimie ponoć osiemnaście tysięcy; liczba to niewątpliwie przesadzona, nawet gdyby przyjąć, że obejmowała również rodziny pracujących, z pewnością jednak kamieniarska rzesza stanowiła prawdziwą armię. A trzeba pamiętać, że przy budowie Przybytku warunki i zarobki przedstawiały się wręcz znakomicie; wystarczyło przepracować choćby tylko godzinę, aby mieć prawo do wynagrodzenia za całą dniówkę! Płacił niezmiernie bogaty skarbiec świątynny, do którego napływały dary i składki ze wszystkich krain śródziemnomorskich i bliskowschodnich.

Kiedy więc roboty te ustawały, zwrócono się do króla, aby zezwolił na restaurację wielkiego portyku, zamykającego od wschodu dziedziniec zewnętrzny, zwany też dziedzińcem pogan, ponieważ mógł tam wejść każdy, nie tylko Żyd. Agryppa wszakże oświadczył, że kosztowałyby to za dużo i trwałyby za długo. Zauważył też sentencjonalnie, choć niezbyt odkrywczco:

– Zbudować trudno, zburzyć łatwo!

Pozwolił natomiast, bardzo łaskawie, na wyłożenie niektórych ulic Jerozolimy białym kamieniem. Resztki tego bruku zachowały się jeszcze tu i ówdzie, kilkanaście metrów pod powierzchnią miasta dzisiejszego.

Wracając zaś jeszcze do portyku, o którym często będzie tu mowa: zwano go Salomonowym, niesłusznie utrzymując, że został zbudowany przez sławnego króla-mędrca, panującego przed dziesięciu wiekami. Miał, według miar naszych, ponad czterysta metrów długości; dwa rzędy kolumn – każda monolityczna, każda wysokości ponad dwunastu metrów – wspierały sklepienie z belek cedrowych. W ten sposób powstała ogromna aleja kolumnowa, najdłuższy portyk przyświątynny; południowy bowiem, zwany królewskim, choć szerszy, wspanialszy, trójrzędowy, był co najmniej o połowę krótszy, podobnie jak i północny; przeciwległy zaś, zachodni, również nie osiągał długości portyku Salomonowego. Był ulubionym miejscem spotkań i przechadzek, zwłaszcza w dniach zimy, kiedy słońce popołudniowe nieco go nagrzewało swymi promieniami, a ściana muru chroniła od dokuczliwych podmuchów chłodnego wiatru ze wschodu. Stojąc tu, miało się przed sobą cały ogromny dziedziniec, pośrodku którego piętrzył się na niewysokiej terasie olśniewająco biały gmach Przybytku, otoczony dziedzińcami wewnętrznymi, błyszczący złoceniami dachu i spiżem bram; najwspanialsza z nich otwierała się właśnie ku kolumnadzie Salomona. Mur zewnętrzny portyku, zbudowany z potężnych głazów, ściśle jednak dopasowanych, wznosił się nad urwistą ścianą skalną, spadającą ku dolinie Cedronu. Kto stał na dachu, patrzył w dół niby w przepaść. Wrażenie było szczególnie silne – niektórzy dostawali zawrotu głowy – jeśli się weszło na balkon południowego naroża portyku. Toteż wyznawcy Jezusa opowiadali, że szatan, kusząc go, rzekł właśnie w tym miejscu:

– Jeśliś jest Synem Boga, rzuć się w dół!

AKWILA: BYŁEM UCZNIEM SZYMONA MAGA

Mogę rzucić się ze szczytu najwyższej góry w przepaść i nic mi nie będzie. Stanę na ziemi bez żadnych obrażeń, jak gdyby ktoś zniósł mnie na rękach!

Szymon Mag często się chwalił w ten sposób. I nie było w Samarii nikogo, kto by się nie zdumiewał jego cudom. I nikogo, kto by nie wierzył, że to sam Bóg zstąpił z niebios, aby ludzi zbawić. Jeśli chodzi o mnie, chyba też dałbym się porwać i przekonać – gdybym nie znał go tak dobrze i nie uczestniczył w jego sprawkach. Ale ponieważ było inaczej, zdołaliśmy wreszcie – to jest ja i mój brat Niketas – odłączyć się od wspólnoty z nim. Przejrzeliśmy jego sztuczki magiczne i zbrodnicze pomysły. Chcesz wiedzieć, co to za człowiek, skąd pochodzi, w jaki sposób dokonuje tego wszystkiego, czym ludzi mamy? Posłuchaj tylko!

Jego ojcem był niejaki Antoniusz, a matką Rachelą. Urodził się w Samarii, we wsi Gitta, sześć mil od miasta. Znał się na magii, ale również greckie nauki opanował wspaniale. W obu tych dziedzinach wykształcił się w czasie swego długoletniego pobytu w Egipcie. Sławy i chwały pożył ponad ludzką miarę. Chciał, aby wierzono, że to on jest Najwyższą Mocą! Tą, która stoi nawet ponad stwórcą świata! Podawał się też za Mesjasza. Zwano go po grecku przydomkiem „Hestos”, czyli Stały. Miało to znaczyć, że nigdy nie ulegnie zniszczeniu, jako że dzięki swej mocy posiada ciało jednolite i zwarte, a więc nieśmiertelne.

Było to niedługo po ścięciu Jana zwanego Chrzcicielem. Tego, co to zginął z rozkazu Heroda Antypasa. Wiecie, że o głowę Janową prosiła Salome, namówiona przez swoją matkę Herodiadę. W Samarii szerzył wtedy swoje nauki Dozyteusz i trzydziestu jego uczniów. Miał on przy sobie także pewną kobietę imieniem Helena lub Selene, czyli Księżyc. Owych trzydziestu symbolizowało podobno trzydzieści dni miesiąca. Według innych Selene również zaliczano do trzydziestu. W takim wypadku liczba ta byłaby niepełna, bo przecież kobieta jest tylko połową mężczyzny, a to znowu słusznie wskazywałoby na fakt, że miesiąc księżycowy nie ma dni trzydziestu. W każdym razie nie wolno było przekroczyć tej liczby, ani też przyjmować w poczet uczniów kogoś jeszcze nie wypróbowanego. Dlatego kto pragnie zająć zaszczytne miejsce, stara się ze wszystkich sił zdobyć zasługi, oczywiście według zasad ich wiary. Ale i tak na wybór może liczyć dopiero po śmierci któregoś z trzydziestu.

Otóż Szymon, który właśnie powrócił do Samarii z Egiptu, zbliżył się do Dozyteusza. Udawał przyjaźń i błagał o przyjęcie, gdy umrze któryś z tamtych. A wszystko dlatego, że spodobała mu się Selene. Ponieważ znaliśmy go już wcześniej, powiedział nam szczerze, że jest czarnoksiężnikiem. Że kocha Selene. Że nade wszystko pragnie sławy, nie będzie więc zdobywał dziewczyny podstępem, lecz cierpliwie poczeka na godną sposobność. A ta na pewno przyjdzie, jeśli tylko my zawrzemy z nim układ i pomożemy mu we wszystkim. Zaklinał się, że za te przysługi dobrze nas wynagrodzi. Będziemy cześć odbierali najwyższą, będziemy dla ludzi bogami! Mówił jak obłąkany:

– Bylebyście tylko mnie, Szymonowi, zawsze przyznawali pierwszeństwo! Potrafię czynić znaki i cuda, które umocnią naszą chwałę i wiarę w nas. Mogę na przykład zniknąć ludziom z oczów, gdyby chcieli mnie schwytać – i w każdej chwili znowu się ukazać. Uciekając, przejdę przez sam środek gór i skał jakby z gliny były. Jeśli mnie zwiążą, sznury i kajdany same opadną, a spętają tych, co mi je nałożyli. Wtrąci mnie ktoś do więzienia? Zamki otworzą się same. Gdy zechcę, tchnę życie w martwe posągi, tak że wydadzą się ludźmi z krwi i kości. Na mój rozkaz drzewa i krzewy wyrastają w mgnieniu oka. Wchodzę w ogień, a płomień nawet mnie nie liźnie. Zmieniam swoją twarz tak, że nikt nie zdoła ranie poznać. Ukazuję się ludziom z dwoma obliczami naraz. Powiem słowo, a małym chłopcom brody wyrosną. Latam w powietrzu, mamie chciwców stosami złota, wynoszę królów na trony albo z nich strącam. Ludy całe będą modliły się do mnie jak do boga i w miastach staną moje posągi. Ale po co

tyle słów? Wystarczy rzecz krótko: mogę dokonać wszystkiego, co tylko zechcę. Dla próby sporo już zrobiłem. Kiedyś moja matka Rachela rozkazała mi pójść w pole i kosić. Patrząc, a tu sierp leży. Powiedziałem: Wstań i zrób to za mnie! Posłuchał natychmiast. Sam skosił więcej zboża niż dziesięciu chłopów razem. Popatrzcie na tamte zarośla i na to drzewo wysokie! To ja wyprowadziłem je z ziemi, i to w jednej chwili. A tamtą górę przebiłem na wylot.

Słuchając tych bredni, zdumiewaliśmy się jego bezczelności. Niby to ufał nam całkowicie, a przecież nie potrafił się powstrzymać i wciąż próbował nas oszukać. Wiedzieliśmy przecież, że tamte zarośla, i drzewo, i pieczara w górze istniały już za dziadów i pradziadów!

A jednak patrzyliśmy obojętnie na jego występki! Pozwalaliśmy też, by innych zwodził i mamił. Co więcej, samiśmy kłamali w jego interesie, choć wciąż niczego nie pokazywał z owych rzeczy, które tak brutalnie przyrzekał uczynić, aby świat zadziwić.

Wreszcie został w swoim czasie jednym z trzydziestu uczniów Dozyteusza. Ledwie się znalazł w ich gronie, od razu zaczął podkopywać jego autorytet. Powiadał, że mistrz naucza w sposób niedoskonały; i to nie dlatego, aby zazdrośnie nie chciał objawić ludziom wszystkiego, co wie, lecz po prostu z tej przyczyny, że sam nie wie wszystkiego! Dozyteusz w końcu zmiarkował, co się dzieje i kto przeciw niemu intryguje. Jak doszło do ostatecznej rozprawy pomiędzy tymi dwoma, wiem tylko z opowiadań; świadkiem tej sceny oczywiście być nie mogłem, jako że nie należałem do trzydziestu wybranych. Podobno było tak:

Pewnego razu, gdy wszyscy jak zazwyczaj zebrali się w swoim przybytku, Dozyteusz zniecka porwał różgę i zaczął okładać nią Szymona. Lecz różga przeszła przez Szymonowe ciało, jakby było ono tylko dymem i mgłą! Oślupiał Dozyteusz, różgę z rąk wypuścił i pyta głosem drżącym;

– Powiedz mi, czy to ty jesteś Hestos, a pokłon ci złożę!

Na co Szymon:

– Jam jest!

Padł więc Dozyteusz na ziemię i bił czołem pokornie. Natychmiast ustąpił z przywództwa gminy, godność swoją złożył i rozkazał owym trzydziestu, aby tylko Szymonowi byli posłuszni. Sam zajął jego miejsce jako jeden z uczniów; zmarł zresztą wkrótce po tym wydarzeniu. Wtedy dopiero Szymon wziął sobie Selene, zwaną też Heleną, i od tego czasu wszędzie się z nią wodzi.

KLEMENS, SYN FAUSTUSA

Akcja powieści, z której zaczerpnięto tę wypowiedź Akwili, rozpoczyna się w Rzymie. Głównym bohaterem, a zarazem narratorem, jest Klemens. Jak sam podaje, urodził się w domu zamożnym i znakomitym, jako syn Faustusa i Matydii, trzeci z kolei; bracia starsi byli bliźniakami. Jednakże wkrótce po przyjściu na świat Klemensa matkę nawiedził dziwny sen; otrzymała w nim ostrzeżenie, że musi opuścić Rzym wraz ze starszymi synami, i to na długo, w przeciwnym bowiem wypadku wszyscy troje wkrótce umrą. Ojciec, bardzo kochający rodzinę, ale i przesądny, ustąpił i zgodził się, by Matydia i bliźniacy wyjechali do Aten: chłopcy mieli uczęszczać do sławnych szkół tamtejszych; jednakże małego Klemensa pozostawił przy sobie w Rzymie. Mijały miesiące i lata, a z Aten nie przychodziła żadna wiadomość, choć Faustus wyprawiał tam ludzi z pieniędzmi. Dopiero po czterech latach stwierdzono, że Matydia i jej synowie w ogóle nie przyjechali do tego miasta; wszelki ślad po nich zaginął. Wydawało się oczywiste, że zatonęli w czasie żeglugi; mimo to zrozpaczony ojciec postanowił sam wyruszyć na poszukiwanie. Wsiadł na okręt i odplynął; odtąd nikt o nim nic już nie usłyszał.

Minęło wiele lat. Klemens, wciąż mieszkający w Rzymie, wyrósł na młodzieńca pasjonującego się wielkimi i zasadniczymi problemami filozofii. Rozmyślał o śmierci: czym ona jest w istocie – kresem czy początkiem nowego życia? Dumał nad powstaniem świata: jeśli ziemia i niebo zrodziły się w jakimś momencie, co było przedtem? Jeśli przyjdzie ich koniec, co będzie potem? Gotów byłby dać wszystko, byle znaleźć odpowiedź na te dręczące pytania. Studiował filozofię u różnych mistrzów, jednakże to przyniosło mu tylko rozczarowanie. Każdy z mędrców zajmował się głównie zbijaniem poglądów swych uczonych kolegów, kładąc cały wysiłek w konstruowanie uczonych sofizmatów i sylogizmów; chodziło bowiem nie o wykrycie prawdy, lecz o popisywanie się zręcznością argumentacji. Nawet sprawy tak doniosłe i drażliwe dla Klemensa, jak zagadnienie nieśmiertelności duszy, były tylko tematem deklamacji – za i przeciw; bolało go to i przygnębiało.

Pewnego dnia dojrzał zbiegowisko na jednym z placów miasta. Podszedł bliżej; dosłyszał, że jakiś cudzoziemiec prawi o sprawach wielkich; był też świadkiem, jak zebrani szydzą z mówcy niby z obłąkanego. Jednakże pewne słowa kazania zastanowiły Klemensa. Toteż nie tylko wziął cudzoziemca w obronę, lecz nawet zaprosił go do swego domu i gościł przez dni kilka, pilnie wypytyjąc o treść jego wysłannictwa. Lecz człowiek ów – zwał się Barnaba – nie wszystko chciał wyjaśnić do końca; zasłaniał się także tym, że względy religijne każą mu jak najspieszniej wracać do ojczyzny. Klemens najchętniej popłynąłby z nim razem, musiał jednak wpierw ściągnąć pieniądze od swych dłużników. Odprowadził więc Barnabę na okręt, wywiedziało się, gdzie ma go szukać, i po serdecznym pożegnaniu powrócił jeszcze do Rzymu na czas jakiś.

Wyruszył w drogę natychmiast po załatwieniu spraw najpilniejszych. Po piętnastu dniach żeglugi okręt jego przybił do portu Cezarei nadmorskiej. Szukając po mieście gospody, Klemens dowiedział się z zasłyszanych przypadkowo rozmów, że dnia następnego odbędzie się wielka dysputa pomiędzy dwoma sławnymi mężami: z jednej strony wystąpi Szymon, urodzony w Samarii, we wsi Gitta, z drugiej zaś Piotr, uczeń człowieka, który swego czasu czynił wielkie znaki i cuda w różnych miejscowościach Palestyny. Podróżny zaczął wypytywać, gdzie też ów Piotr mieszka. Wskazano mu dom, a kiedy stanął u jego drzwi i tłumaczył odźwiernemu, kim jest i skąd przybywa, wyszedł Barnaba i płacząc z radości, rzucił się mu w objęcia. Zaprosił gościa do środka. Piotr już wiele słyszał o Klemensie, toteż powitał gościa z Rzymu jak najserdeczniej. Odtąd wszyscy stale przebywali razem; do otoczenia Piotra należało kilkunastu mężczyzn, a wśród nich także dwaj bracia, bardzo podobni do siebie, Akwila i Niketas.

Taka jest treść pierwszej księgi powieści. Rzecz dochowała się do naszych czasów w dwóch wersjach: greckiej noszącej tytuł „Homilie”, oraz w łacińskiej zwanej „Recognitiones”, czyli „Rozpoznania”.⁷ Obie one pochodzą już ze schyłku starożytności i obie są przeróbkami wspólnego pierwowzoru, który powstał zapewne z początkiem wieku trzeciego, a więc za panowania dynastii Sewerów, w języku greckim. Lecz i ten pierwowzór ma jeszcze swoją prehistorię! Niektóre bowiem jego wątki i motywy ponad wszelką wątpliwość sięgają czasów mrocznych i dawnych, kiedy to chrześcijaństwo dopiero się kształtowało w Palestynie i musiało walczyć również z takimi przeciwnikami, jak Szymon Mag i jego wyznawcy.

⁷ Wydania *Pseudoklementyn: Homilien*, herausgegeben von B. Rehm, Berlin 1969; *Recognitionen*, herausgegeben von B. Rehm, Berlin 1965.

HELENA I SELENE

Dzięki opowiadaniu Akwili umocniło się przypuszczenie, że Szymon związany był ze świątynią Kore w Samarii-Sebaste. Sprawując godność kapłana, odbierał zarazem cześć od członków gminy jako uosobienie Mocy Najwyższej; nosił przydomek „Stały”, a miał przy sobie kobietę uchodzącą za wcielenie boskiej Ennoi. Jego poprzednikiem – a może nawet założycielem kultu? – był Dozyteusz. Odsłaniają się również organizacyjne zarysy gminy. Jej przywództwo składało się z trzydziestu tak zwanych uczniów; powoływano ich spośród najgorliwszych, wypróbowanych wyznawców, a urząd swój sprawowali dożywotnio. Nie ulega również wątpliwości, że szczególną wagę przywiązywano w tym środowisku do uprawiania magii. Z całym rozmysłem szerzono fantastyczne wieści o cudotwórczej władzy każdorazowego kapłana; uważano widocznie – podobnie zresztą mniemały i czyniły wszystkie ówczesne ruchy religijne – że to najskuteczniejszy sposób zjednywania sobie wyznawców.

Pozostaje jeszcze jedna sprawa do wyjaśnienia, a mianowicie podwójne imię Ennoi. W świadectwach z tamtych czasów zwie się ją raz Helene, to znowu Selene. Jakaż przyczyna owych wahań?

Należy przypomnieć, że Grecy często łączyli te dwie nazwy – imię osoby i określenie księżyca. Nie ma w tym wypadku żadnego znaczenia, czy jest to etymologia trafna; ważne jest tylko to, że za taką ówczesznie ją uważano. Rychło też zrodził się mit wywodzący Helene, bohaterkę wojny trojańskiej, właśnie z księżyca.

Według pewnej opowieści, często powtarzanej, Helena zrodziła się nie z Ledy, lecz z wielkiego jaja. Skądże jednak się wzięło samo jajo? Odpowiadano różnie, zwykle wszakże tak, że zniosła je właśnie Leda – bo przecież Zeus zbliżył się do niej pod postacią łabędzia. Jednakże krążyła też inna, znacznie ciekawsza, niemal surrealistyczna wersja mitu:

Jajo spadło z księżyca. Tamtejsze bowiem kobiety wydają na świat nie dzieci, lecz właśnie jaja, i z nich to dopiero wykluwają się księżycowi mieszkańcy. Są oni dużo wyżsi od ziemian, nawet piętnastokrotnie. Bo księżyc jest jak ziemia: ma góry i morza, lasy i pola, ludzi, zwierzęta, rośliny; wszystko jednak rozwija się tam bez porównania okazalej i bujniej niż u nas, a to z tej oczywistej przyczyny, że księżyc znajduje się już w pierwszej sferze niebiańskiej.

W starożytności wierzono powszechnie, że istnieje kilka kręgów niebiańskich wokół ziemi, będącej wprawdzie ośrodkiem, ale też i najniższym punktem wszechświata. Pierwszy z nich – licząc od ziemi – to właśnie ten, po którym porusza się księżyc. Następny należy do słońca. Potem idą niebiosa poszczególnych planet, a wreszcie niebo gwiazd stałych. Jeśli więc, jak nauczał Szymon, Ennoja spadała z niebios wyższych ku coraz niższemu, ostatnim stopniem przed przybyciem jej na ziemię był właśnie księżyc. Jako jego mieszkanka musiała oczywiście wyjść z jaja; jednakże nim się to stało, jajo spadło na ziemię! W ten sposób, dzięki cudownemu przypadkowi, dokonano się wszystko: i zupełne poniżenie Ennoi, i późniejsze zbawienie całej ludzkości!

Z drugiej wszakże strony w starożytności utrzymywano także, że dusze wybranych po śmierci ciała ulatują ku księżycowi i tam bytują w wiecznej szczęśliwości; albowiem – tak głosili niektórzy – Pola Elizejskie znajdują się nie w podziemiach, mrocznych i chłodnych, i nie gdzieś za Oceanem, lecz właśnie na księżycu, gdzie blask niebiański i przejrzyistość.

W wielu zaś krajach Wschodu bogini księżyca uchodziła za siostrę boga słońca. Było bowiem oczywiste, że niebem włada wspólnie to miłujące się rodzeństwo.

TRZECI MAŻ BERENIKI

Miłujące się rodzeństwo, Berenika i Agryppa II, było prawie nierozłączne, odkąd tylko król powrócił z Rzymu. Właśnie wtedy zaczęto opowiadać, że owdowiała królowa żyje ze swym bratem jak żona z mężem. Ona twierdziła z oburzeniem, że to oszczerstwo; wreszcie jednak postanowiła przeciwdziałać obmowom. Doszła do wniosku, że najskuteczniej je zdławi, jeśli wstąpi w związki małżeńskie – już trzecie z kolei. O kandydata wszakże nie było tak łatwo, jako że musiał on odpowiadać królowej nie tylko urodzeniem i majątkiem, lecz także obrządkiem religijnym. Berenika bowiem, tak uporczywie i niebezpiecznie pomawiana o rozpustę, odznaczała się zarazem przykładną pobożnością, a nawet szczerym zainteresowaniem dla spraw wiary. Rzecz to powszechnie znana, że erotyzm i dewocja, cechy pozornie przeciwstawne, mogą nie tylko zgodnie współistnieć, lecz nawet ściśle spleść się ze sobą i wzajem warunkować swój piękny rozkwit. Ponieważ Zakon wyraźnie zakazywał małżeństw z obcymi, mąż poganin absolutnie nie wchodził w rachubę. Z jaką pogardą piętnowała Berenika swoją młodszą siostrę Druzyllę, która ośmieliła się na krok tak występny!

Wreszcie znalazł się ktoś odpowiedni, pochodzący wszakże ze stron dalszych. Król Polemon władał Cylicją w Azji Mniejszej, poprzednio zaś częścią Pontu nad Morzem Czarnym, a nawet Krymem. Oczywiście panował tak samo tylko i jedynie z łaski Rzymian, jak i król Agryppa. Spotkał się z Bereniką zapewne w którymś z miast Syrii lub Fenicji. Uległ jej namowom, czy też urokom, i zgodził się nawet na obrzezanie, byle móc ją poślubić. Co prawda rozkazał zarazem głosić na swym dworze, że czyni to wyłącznie dla ogromnego majątku królowej. Tak czy owak Berenika odniosła mały triumf kobiecy w wojnie, którą od lat toczyła z Druzyllą; ta, choć tak sławna z piękności, nie zdołała wymóc na swym Rzymianinie, by zastosował się do wszystkich wymogów Zakonu!

O Polemonie jako o człowieku właściwie nic nie wiadomo. Chyba to tylko godne jest uwagi, że dla rozrywki pisywał wiersze. Dwa, a może nawet trzy epigramy zachowały się pod jego imieniem w starożytnej antologii poetyckiej; najnowsi bowiem wydawcy przypisują je właśnie mężowi Bereniki, a nie jego ojcu, też Polemonowi. Jeden z owych epigramów, chyba najudatniejszy, objaśnia symboliczną wymowę płaskorzeźby przedstawiającej martwą naturę: czaszka ludzka leży obok wieńca, chleba i butelki na wino:

„Oto wdzięczny rynsztunek żebraczy, chleb i butelka. Oto wieniec z płatków rosą skropionych. A oto martwa kość, przedmurze martwego już mózgu, najwyższy zamek duszy. Rzeźba mówi: Pij, jedz, wieńcz się kwieciem, bo wnet tym oto się staniesz!”⁸

Małżonkowie wnet się rozczarowali do siebie. Jeśli Berenika przeniosła się do Cylicji – co nie jest pewne – było jej chyba źle z dala od miast i ludzi, do których przywykła. Ale czy przebywała tam, czy też w Palestynie, zachowywała się bardzo swobodnie, jak kazał jej temperament. Może nawet tym swobodniej, że nie miała przy sobie ukochanego brata – jedyne go człowieka, na którym zależało jej prawdziwie. W każdym razie skończyło się na tym, że po krótkim czasie powróciła do Agryppy – dobrowolnie lub z rozkazu męża.

A więc nie powiodła się próba zwalczania gorszących plotek przez zawarcie nowego małżeństwa. Przeciwnie. Nazbyt krótkotrwałe pożycie z Polemonem i rychłe pojawienie się królowej w pałacu Agryppy utwierdziły wszystkich w przekonaniu, że Berenika kocha swego brata tak namiętnie, iż nie zniesie żadnej rozłąki. Rodzeństwo zaś odtąd niewiele sobie robiło z ludzkiego gadania. Występowało zawsze razem – oficjalnie, publicznie, jawnie.

A Polemon? Po rozstaniu z Bereniką, lub może nawet wcześniej, król-poeta porzucił żydowskie obrządki i obyczaje.

⁸ *Anthologia Palatina*, II 38, zob. uwagi do tego miejsca w wydaniu: A. S. F. Gow – D. L. Page, *The Greek Anthology, The Garland of Philip*, Cambridge 1968.

BÓG APOLONIUSZA

Jeśli Polemon pragnął rzeczywiście wrócić do pogańskich bogów i kultów, miał w swojej Cylicji pod dostatkiem miejsc świętych. Do najslawniejszych należało Ajgaj, a więc to miasto, w którym swego czasu uczył się młody Apoloniusz. Do tamtejszej świątyni Asklepiosa napływały rzesze pielgrzymów nawet ze stron odległych. Również Apoloniusz przez całe swoje życie darzył boga-lekarza czcią szczególną. Ilekroć przebywał w Ajgaj, mieszkał w okręgu świątynnym. Łaskawy bóg objawił jednemu z kapłanów, że cieszy się, mając Apoloniusza za świadka cudownych uzdrowień, które tu się dokonują.

Pewnego razu – było to jeszcze przed pięcioleciem Apoloniuszowego milczenia, ale już w okresie praktykowania ascezy – przyjechał do świątyni młody człowiek aż z Asyrii. Cierpiał na puchlinę wodną i prosił boga o pomoc. Modlił się i składał ofiary, ale jednocześnie po barbarzyńsku korzystał ze swych ogromnych bogactw; żył w przepychu, całe dni i noce spędzał zamoczony winem. Dlatego też wzgardził nim Asklepios i nie ukazał się mu nawet we śnie. Asyryjczyk oburzał się z tego powodu i wyklinał, aż wreszcie któreś nocy bóg stanął przy jego łożu i powiedział:

– Odczujesz ulgę, kiedy porozmawiasz z Apoloniuszem. Rankiem więc młody pielgrzym podszedł doń i zapytał dumnie:

– Sam Asklepios rozkazał mi spotkać się z tobą. W jaki sposób mógłbym skorzystać z twojej wiedzy? Na co Apoloniusz:

– Owszem, mogę udzielić ci rady bardzo przydatnej. Chcesz wyzdrowieć, prawda?

– Oczywiście. Ale Asklepios tylko zwiastuje zdrowie. W rzeczywistości nigdy go nie daje. Apoloniusz oburzył się:

– Zamilcz! Bóg daje zdrowie, ale tylko tym, którzy naprawdę chcą wyzdrowieć. A ty jeszcze wzmagasz swoją chorobę. Prowadzisz rozpustny tryb życia i napychasz jedzeniem swoje wnętrzności, wodniste i osłabione. Zupełnie jakbyś błoto rzucał do wody.

Innym znów razem Apoloniusz ujrzał, że z ołtarza spływają strugi krwi. Leżały tam całe stada zwierząt ofiarnych, woły egipskie i tłuste wieprze, jedne dopiero zarzynane, inne zaś już obdzierane ze skóry. Nie dość na tym. Ktoś ofiarował skarbcowi świątyni dwa złote puchary, wysadzone najwspanialszymi kamieniami, jakie tylko można było sprowadzić z Indii. Apoloniusz podszedł do kapłana i zapytał:

– Kto to jest ofiarodawcą? Kapłan odrzekł:

– Właściwie to dziwię się temu człowiekowi. Nie modlił się do boga, nie mieszkał w świątyni, nie został uzdrowiony. Zdaje mi się, że przyjechał dopiero wczoraj – i już składa ofiary królewskie. A zapowiada, że to dopiero początek. Co będzie, gdy wysłucha go Asklepios? To bogacz. Ma w Cylicji większy majątek niż wszyscy pozostali mieszkańcy naszego kraju razem wzięci. Prosi boga, żeby przywrócił mu utracone oko.

Apoloniusz, jak to było jego zwyczajem od lat młodzieńczych do późnej starości, stał w czasie rozmowy nieruchomo, a wzrok miał utkwiony w ziemię. Zapytał jeszcze o imię bogacza, a potem zauważył:

– Wydaje mi się, że tego człowieka lepiej byłoby nie przyjmować w ogóle w naszej świątyni. To ktoś przeklęty. A cierpienie, które go dotknęło, nie posłuży mu ku niczemu dobremu. Jeśli składa takie ofiary już teraz, nim cokolwiek uzyskał od boga, to widocznie pragnie prosić o wybaczenie za jakieś wstrętne i ciężkie zbrodnie.

Tejże nocy Asklepios objawił się kapłanowi i powiedział:

– Bogacz musi opuścić świątynię razem z wszystkim, co mi ofiarował. Niegodzien jest nawet tego oka, które mu pozostało.

Dowiedziano się potem, że swego czasu ożenił się on z kobietą, która miała dorastającą córkę z pierwszego małżeństwa. Dziewczyna tak mu się spodobała, że ją uwiódł i żył z nią niemal jawnie. Żona wreszcie przyłapała ich w łóżku; szpilką od włosów wyklęła córce oba oczy, mężowi zaś jedno.

Apoloniusz głosił zresztą z zasady zawsze i wszędzie, że ofiary i dary nie powinny przekraczać pewnej miary. Było to odwieczną nauką pitagorejczyków: nie wolno plamić ołtarzy krwią, albowiem ciastko z miodem, kadzidło i hymn pochwalny miłsze są bogom od stu zwierząt tłustych, nożem zarżniętych; sam Pitagoras złożył Zeusowi w Olimpii woła – lecz ulepionego z ciasta.

Nauczał też Apoloniusz, że każdy, kto wchodzi do świątyni, powinien tak się modlić:

– Bogowie, dajcie mi to, na co zasługuję!

Człowiek zły nie ma czego szukać u ołtarzy bogów, choćby nawet przyniósł ze sobą całe złoto Indii. Składa on skarby powodowany nie czcią dla bogów, lecz pragnąc wykupić się od sprawiedliwego wyroku; oni zaś, istoty najsprawiedliwsze, nigdy nie przystaną na taki handel.

Wielbiąc bowiem Asklepiosa w sposób szczególny, Apoloniusz czcił też i wyznawał wszelkie inne bóstwa, greckie i barbarzyńskie. Gdziekolwiek przebywał, interesował się głównie miejscowymi kultami. Jego codzienny tryb życia w czasie wędrówek był taki:

Mieszkał w budynkach przyświątynnych. O wschodzie słońca dokonywał osobiście tajemnych obrządków. Ich treść i formę wyjawiał tylko wybranym uczniom – tym mianowicie, którzy zwycięsko przeszli próbę przynajmniej czterech lat milczenia. Następnie, jeśli było to miasto greckie, zwoływał kapłanów różnych przybytków, rozprawiał z nimi o bogach, wskazywał, w czym uchybiono uświęconym tradycją sposobom nabożeństw. Jeśli natomiast miejscowe kultury były obce, barbarzyńskie, dziwaczne – jak na przykład kult Afrodyty na Pafos – wypytywał, kto je ustanowił, z jakiej przyczyny, jak się je odprawia, a przy sposobności wypowiadał własne zdanie co do możliwości głębszego ich rozumienia. Potem spotykał się ze swymi uczniami; ci stawiali mu najrozmaitsze pytania. Zawsze bowiem, jak mawiał, należy trzymać się takiego porządku: o brzasku dnia rozmawiać z bogami, rankiem o bogach, a w ciągu dnia z ludźmi o wszystkim, co ich interesuje. Po dyskusji z najbliższymi przez resztę dnia – nigdy jednak przed południem – miały do niego dostęp rzesze miejscowej ludności. Pod wieczór nacierał ciało oliwą i masował oraz zażywał kąpieli; w wodzie zimnej, albowiem, jak się już rzekło, ciepłej nie uznawał.

Czasem dokonywał też rzeczy niezwykłych, świadczących o jego darze jasnowidzenia.

PTAKI I DEMON W EFEZIE

Pożegnawszy świątynię Afrodyty w cypryjskim Pafos, Apoloniusz popłynął, o czym była już mowa, ku wybrzeżom Azji Mniejszej. Witają go pochwalne słowa z ust wróżów tamtejszych wyroczni oraz uroczyste deputacje miast. Najpierw zatrzymał się w Efezie, słynącym z wielkiego przybytku Artemidy. Stojąc na wysokim murze, biegnącym wokół dziedzińca świątynnego, wygłosił mowę, a raczej kazanie. Zachęcał słuchaczy do studium filozofii i do poważnego trybu życia, ostro ganiąc mieszkańców miasta za oddawanie się lenistwu, zabawom, przyjemnościom. Wołał, że tutaj myśli się tylko o tańcach i pantomimach i wszędzie słyszeć piskliwe dźwięki fletów i głucho dudnienie bębnow.

Następnym razem przemawiał w gaju obok portyku. Wspominał wówczas o potrzebie wspólnoty majątkowej w ludzkiej społeczności; bo i to należało do zaleceń Pitagorasa. Nauczał więc Apoloniusz, że wszyscy powinni sobie nawzajem pomagać. Na gałęziach drzew nad mówcą siedziała gromada wróbli. Nagle podleciał ku nim jakiś wróbel i zaćwierkał; czyniło to wrażenie, że przyzywa je dokądś. I rzeczywiście. Wszystkie ptaki odleciały natychmiast z rozgłośnym świergotem i trzepotem skrzydeł. Apoloniusz pozornie nie zwrócił na to uwagi i dalej rozwijał swe myśli. Gdy jednak spostrzegł, że słuchacze patrzą w kierunku, w którym odleciały ptaki, przerwał tok wywodów i powiedział:

– W tamtej alejce – nie widać jej stąd, bo drzewa zasłaniają – przed chwilą pośliznął się chłopiec niosący ziarna pszenicy w koszu. Podniósł się i zebrał, co rozsypał, ale niezbyt starannie. Wróbel, który to zauważył, natychmiast poleciał ku obcym mu ptakom, siedzącym na drzewach nade mną, i przyzywał je, aby razem się pożywiły.

Niektórzy ze słuchających zaraz pobiegli, aby sprawdzić, czy rzeczywiście wszystko to tak się stało. Apoloniusz zaś powrócił do swej mowy o zaletach wspólnoty majątkowej:

– Patrzcie, jak ptaki niebieskie dbają o siebie i cieszą się, jeśli wzajem mogą okazać sobie pomoc. My jednak, ludzie, nie pochwalamy takiego sposobu życia. Jeśli ktoś bardzo bogaty dzieli swoje pożywienie z innymi, nazywamy go rozrzutnikiem, a jego gości pieczeniarczami. Skoro tak, to powinniśmy chyba zamykać się w klatkach, jak ptaki na tucz przeznaczone; trzyma się je w ciemności i siłą napycha ich żołądki, tak że niemal pękają z nadmiaru tłuszczu.

Z Efezu Apoloniusz przeniósł się do niezbyt odległej Smyrny. Tymczasem zaczęły nadchodzić wieści, że w Efezie wybuchła zaraza – co zresztą Apoloniusz przepowiedział wcześniej – pochłaniająca setki i tysiące ofiar. Wreszcie przyjechała do Smyrny delegacja efezyjska. Błagała Apoloniusza, aby raczył powrócić jako lekarz epidemii. On zaś uznał, że istotnie nie wolno zwlekać ani chwili. Powiedział krótko:

– Pójdziemy tam natychmiast!

Mówiąc te słowa znikł słuchaczom z oczu, a jednocześnie pojawił się w Efezie, przeniesiony tam w sposób cudowny. Wnet zgromadził się wokół niego tłum ludzi proszących o ratunek. Na czele tej ogromnej rzeszy ruszył w kierunku teatru. Tam u wejścia siedział starzec o martwych oczach niewidomego; twarz miał szpetną i zniszczoną, odzież w łachmanach, a żebraczą torbę rozpychały kawałki zeschniętego chleba. Apoloniusz ruchem ręki zatrzymał pochód i wskazał, wciąż milcząc, by wszyscy ustawili się szerokim kręgiem wokół żebraka. A gdy to się stało, nagle krzyknął wielkim głosem:

– Zbierajcie kamienie i walcie nimi w tego wroga bogów!

Tłum jednak zawahał się, nieskory do zabójstwa. Podniosły się głosy:

– Dlaczego mamy uśmiercać tego nędzarza? On i tak tylko litość budzi!

Żebrak ze swej strony także uderzył w płacz i jęki. Żałośnie prosił, by okazano mu miłosierdzie i nie zabijano bez przyczyny kogoś, kto w niczym nie zawinił, nikogo nie skrzywdził.

Mimo to znalazło się kilku śmiazków, bez zastrzeżeń ufających słowom Apoloniusza. Ci podnieśli kamienie i zaczęli nimi ciskać w starca, niezbyt zresztą silnie, raczej dla postrachu. Ale w tejże chwili stało się coś zdumiewającego. Rzekomy ślepiec przejrzał. Spojrzał na tłum wzrokiem wściekłym i pełnym nienawiści; wydawało się, że z jego oczu tryska żywy ogień. Zrozumieli wówczas Efezyjczycy, że w postaci nędznego żebraka ukrywał się groźny demon, prawdziwy sprawca zarazy. Posypał się grad kamieni. Wnet powstał mały pagórek nad ciałem starca. Po chwili Apoloniusz poprosił, by stos rozgarnięto. Powiedział:

– Zobaczycie na własne oczy, kogoście zabili!

Ku zdumieniu wszystkich pod kamieniami ujrzano martwego psa. Był ogromny, wielkości niemal lwa, a wokół pyska miał pianę, jak zazwyczaj zwierzęta dotknięte wścieklizną.

PAWEŁ PRZED AGRYPPĄ I BERENIKĄ

Lecz po tej dygresji o Apoloniuszowych cudach pora wrócić do Bereniki. Rozstawszy się z Polemonem, towarzyszyła ona swemu bratu, jak się rzekło, wszędzie, wiernie i jawnie, może nawet ostentacyjnie. Razem więc przybyli oboje pewnej wiosny do Cezarei nadmorskiej, aby powitać nowego prokuratora rzymskiego. Był nim Porcjusz Festus, obejmujący urząd po Feliksie. Berenika oczywiście cieszyła się z tej zmiany. Wreszcie pozbywała się z Palestyny swej serdecznie znienawidzonej siostry, Druzylli, odjeżdżającej do Italii wraz z mężem!

Rodzeństwo zatrzymało się w Cezarei na czas dłuższy. Któregoś dnia Festus opowiedział im o sprawie następującej:

– Jest tu w więzieniu pewien człowiek imieniem Paweł. Pozostał mi w spadku po Feliksie. Kiedy przed kilkunastu dniami byłem w Jerozolimie, wyżsi kapłani i starszyzna zażądali ode mnie, abym go skazał na śmierć. Odpowiedziałem im, że my Rzymianie nie wydajemy wyroku, póki oskarżony nie stanie w obliczu oskarżyciela i póki nie będzie miał możliwości obrony przed zarzutami. Powróciłem do Cezarei i bezzwłocznie dnia następnego, kiedym tylko zasiadł na trybunale, rozkazałem przyprowadzić więźnia. Stawili się także tamci. Myślałem, że oskarżą go o jakieś poważne przestępstwa. A tymczasem wszystko dotyczyło spornych kwestii ich religii i jakiegoś Jezusa, który już zmarł, ale Paweł twierdzi, że on żyje. Nie znam się na tym zupełnie, zapytałem więc Pawła, czy nie chciałby, aby sędzono go w Jerozolimie. A wtedy on zażądał, aby go zatrzymać, póki sprawy nie rozpatrzy cesarz. Jest rzymskim obywatelem, ma prawo apelować. Siedzi więc tu pod strażą. Potem odeślę go do Rzymu.

Agrypa wyraził chęć wysłuchania Pawła. Berenika, niewiasta wielkiej pobożności, również zainteresowała się ogromnie owym człowiekiem; zapewne zresztą już o nim słyszała. Prokurator, który bardzo pragnął poznać ich opinię w tej materii, tak egzotycznej i dziwacznej dla niego, z radością pochwycił okazję. Przyrzekł, że już jutro więzień stanie przed nimi.

Dnia następnego prokurator zasiadł w sali audiencjonalnej pałacu namiestnikowskiego; był to dawny pałac Heroda Wielkiego, pradziada Agryppy i Bereniki. Król i jego siostra weszli jak zawsze razem. Tekst grecki „Dziejów apostoelskich” używa w tym miejscu określenia „meta polles phantasias”, co można by oddać, swobodnie zarazem i wiernie, słowami: „weszli z wielką fantazją”. Zjawili się też wyżsi oficerowie rzymscy i co przedniejsi obywatele miasta. Natychmiast wprowadzono Pawła. Festus zwrócił się do króla i wszystkich obecnych:

– Oto człowiek, o którego dopominało się mnóstwo Żydów i w Jerozolimie, i tutaj. Krzyżowali, że niewart jest, by żyć dłużej. Ja jednak doszedłem do wniosku, że nie popełnił niczego, za co groziłaby kara śmierci. Odeślę go do cesarza, bo apelował. Nie mam jednak nic określonego, co dałoby się napisać w tej sprawie. Właśnie dlatego stawiam go przed wami – a przede wszystkim przed tobą, królu Agryppo! – abym po przesłuchaniu mógł złożyć konkretne wyjaśnienia.

Król pozwolił Pawłowi mówić. Ten przedstawił obszernie, w jaki to sposób on, Żyd prawowierny, bezwzględny prześladowca wyznawców Jezusa, doznał w drodze do Damaszku niezwykłego widzenia i stał się odtąd głosicielem Mesjasza, który już przyszedł, zmarł i zmartwychwstał.

Jednakże prokurator nie był w stanie pojąć sensu całej tej opowieści i zgoła się z tym nie krył. Rzekł głośno:

– Szalejesz, Pawle! Wielka nauka przywodzi cię do obłądzenia! Na co więzień odparł pokornie:

– Nie szaleję, najznakomitszy Festusie! Mówię wyłącznie słowa prawdy i rozsądku. Wie przecież o tych sprawach także król, przed którym tak śmiało odpowiadam. Nie myślę, aby

coś z tego, com tu przedstawił, było mu obce. Wszystko to przecież nie działo się w jakimś zaścianku!

I zwracając się wprost do Agryppy zapytał:

– Czy wierzysz, królu, prorokom? Wiem, że wierzysz! Agryppa zaś odrzekł bardzo kurtuazyjnie:

– Niewiele brakuje, a przekonałbyś mnie także i stałbym się wyznawcą Chrystusa!

A Paweł odpowiedział poważnie:

– Prosiłbym Boga, aby prędzej lub później nie tylko ty, królu, lecz także wszyscy, którzy słuchają mnie tutaj, stali się właśnie takimi, jakim ja jestem obecnie – prócz tych oto kajdan!

I podniósł ku górze ręce skute łańcuchem.

Wstał król, namiestnik, Berenika oraz wszyscy wraz z nimi siedzący. Wychodząc z sali mówili do siebie:

– Ten człowiek nie uczynił niczego takiego, czym by zasłużył na śmierć lub więzienie!

Agryppa zaś wprost oświadczył Festusowi:

– Można by puścić go wolno, gdyby nie to, że apelował do cesarza!⁹

A więc w istocie rzeczy było tak, jak na owym obrazie Breugla, przedstawiającym Pawła w drodze do Damaszku. Jeśli wpatrzysz się dobrze, dostrzeżesz gdzieś w głębi postać w szacie niebieskiej, leżącą na kamienistej ścieżce; a także ostry promień, rażący tego człowieka gdzieś zza chmur, z ukosa. Lecz na pierwszym planie są jaskrawożółte i ciemnozielone kurbaki jeźdźców, płowe, siwawe zady końskie, piechurzy objuczeni tobołkami i bronią, wyżej zaś strzelające w górę cyprysy o głębokiej zieleni. Wojska hiszpańskie maszerują przez alpejskie przełęcze – wojska księcia Alby, zmierzające ku ojczyźnie Breugla.

Wojska rzymskie już niedługo miały rozpocząć swój pochód ku Jerozolimie.

⁹ *Dzieje Apostolskie*, 25.

SZYMON I CHRZEŚCIJANIE

O ile wiadomo, Paweł nigdy nie zetknął się osobiście ani z Szymonem, ani też z żadnym z jego uczniów. A jednak to właśnie on sprawił pośrednio, że doszło do konfrontacji, i to w samej Samarii, pomiędzy kapłanem Mocy Najwyższej a chrześcijanami!

Rzecz wydarzyła się, jeśli wierzyć opowieści zawartej w „Dziejach Apostolskich”, na kilkanaście lat przed rozmową Pawła z Agryppą i Bereniką. Paweł zwał się wówczas jeszcze Szawłem i był srogim prześladowcą chrześcijan, widząc w nich bluźnierców i odszczepieńców. Ci, uciekając przed gwałtami, jakich Szaweł dopuszczał się w Jerozolimie, szukali schronienia w różnych miejscowościach Palestyny; także w Samarii. Znalazł się tam również jeden z młodych i szczególnie gorliwych wyznawców Mesjasza imieniem Filip. Nauczał, jak powiadają „Dzieje”, czynił cuda, wypędzał nieczyste duchy z opętanych, uzdrawiał kaleki. Toteż nawróciło się i przyjęło chrzest wielu mieszkańców krainy, a wśród nich nawet Szymon! „Dzieje” tak go charakteryzują:

„Zajmował się magią i zdumiewał lud Samarii, mówiąc o sobie, że jest kimś wielkim. Czcił go wszyscy, od najwybitniejszych do najmniejszych, powiadając: On jest Mocą Boga zwaną Wielką!”¹⁰

Otóż Szymon po przyjęciu chrztu wiernie i wszędzie towarzyszył Filipowi, podziwiając dokonywane przezeń czyny i znaki. Potem przybyli do Samarii apostołowie Piotr i Jan, aby udzielić wiernym daru Ducha Świętego przez włożenie rąk. Również Szymon stanął przed nimi. Przyniósł pieniądze i prosił, aby dali mu taką samą władzę. Lecz usłyszawszy to, Piotr zgromił go surowo:

– Niech przepadną twoje pieniądze wraz z tobą, jeśli myślisz, że można kupić dar boży! Nie masz żadnego udziału w tej sprawie, bo serce twoje nie jest prawe przed Bogiem. Musisz pokutować za tę złość swoją i błagać Pana, a może odpuszczony ci zostanie zamysł serca.

Szymon zaś prosił, aby modlili się za nim. Przytoczona relacja „Dziejów” nasuwa jednak pewne pytania i wątpliwości. Ich treść można by najprościej tak ująć:

Dlaczego Szymon ustąpił tak łatwo i bez żadnego oporu, gdy tylko przybyli do Samarii pierwsi głosiciele Mesjasza?

Przecież tu, w swym kraju ojczystym, właśnie on uchodził za wcielenie Mocy Najwyższej, był podziwiany i wielbiony, tamci zaś mówili o Mesjaszu ze zniechęcenia przez Samarytanów Judei!

Autor „Dziejów” nawet nie próbuje uzasadnić tej nagłej i zdumiewającej przemiany. Trudno więc oprzeć się wrażeniu, że cała opowieść ma przede wszystkim służyć celom apologetycznym. Jej zadaniem jest jak najdobitniej okazać wyższość chrześcijaństwa nad nauką i osobą Szymona. Oto sam mistrz, będący rzekomo Mocą Najwyższą, ugiął się i upokorzył! Oto nawet on, choć rzeczywiście posiadał niezwykle umiejętności czarnoksiężskie, pragnął za pieniądze kupować dary, będące udziałem tylko prawdziwie wierzących chrześcijan!

Szymon i jego wyznawcy stanowili poważną i realną groźbę dla młodego ruchu religijnego. A działo się tak dlatego, że czciciele Mocy Najwyższej i Ennoi potrafili parować wszelkie ataki i podważać najistotniejsze poglądy chrześcijaństwa w sposób wręcz zaskakujący. Twierdzili po prostu:

Szymon pojawił się jako człowiek, lecz naprawdę nie był człowiekiem. W Judei pozornie cierpiał za Poncjusza Piłata i poniósł śmierć na krzyżu. Żydzi poznali go jako Mesjasza, Samarytanie natomiast jako Moc Najwyższą, uosobioną w Szymonie; ludom obcym pozwala nazywać się jeszcze innymi imionami.

¹⁰ *Dzieje Apostolskie*, 8, 9.

Tak więc pierwsi chrześcijanie widzieli w Szymonie wroga najniebezpieczniejszego, bo rywala oraz, jak to określali, praojca wszelkich herezji. Z tego też powodu musieli pokazać, że nawet on schylił głowę przed apostołami Mesjasza. Nie negowali natomiast, że potrafił dokonywać rzeczy niezwykłych; przypisywali to jednak jego zbrodnicy i grozę wzbudzającym praktykom magicznym.

AKWILA: SZYMON I NEKROMANCJA

Szymon zwodził i nadal zwodzi wielu; zarówno przez swoje słowa, jak i zadziwiające rzeczy, których rzeczywiście dokonuje – choć nie są to cuda prawdziwe. Ludzie zdumieni tymi znakami uwierzyli, że jest on istotnie Mocą Najwyższą. Aż wreszcie ja i Niketas zapytaliśmy go wprost pewnego razu:

– W jaki sposób możesz tyle osiągnąć przy pomocy sztuk magicznych? Na czym polega to wszystko?

On zaś w przekonaniu, żeśmy jego najbliżsi, zaczął wyjaśniać szczerze:

– Zawsze stoi mi ku pomocy dusza chłopca, który zginął zamordowany. Zmuszam ją do tego, używając tajemnych zaklęć. Przez nią to dzieje się wszystko, co tylko rozkażę.

Ja zaś na to:

– Czy to możliwe, aby dusza miała moc taką?

Odpowiedział:

– Musicie wiedzieć, że dusza ludzka zajmuje w świecie zaraz następne miejsce po Bogu; ale dopiero wtedy, gdy się wyzwoli z ciemnicy swego ciała. W tym momencie uzyskuje też wiedzę rzeczy przyszłych. Właśnie dlatego można przyzywać ją do nekromancji.

Zapytałem:

– Dlaczego więc dusze zamordowanych nie biorą pomsty na swych zabójcach?

– Nie pamiętasz, co ci powiedziałem, że gdy dusza wyjdzie z ciała, otrzymuje wiedzę przyszłości?

– Pamiętam – odrzekłem.

– Otóż posiadając tę wiedzę, rozumie doskonale, że wszystkich po śmierci czeka sąd i każdy poniesie karę za to, czego dopuścił się, żyjąc. Dlatego też nie chce się mścić za swoje krzywdy, widzi bowiem, że i tamtych złoczyńców nie miną najstraszliwsze męki. A poza tym aniołowie, którzy czuwają nad duszami zmarłych, nie pozwalają im ani wyjść, ani też czynić cokolwiek według swej woli.

– Ale jeśli aniołowie nie pozwalają ani wrócić tu duszom, ani też czynić, co by chciały, jakimże sposobem dusza może okazać posłuszeństwo temu, kto ją przyzywa?

– To proste – odrzekł. – Jeśli zaklnie się anioły przez moc od nich potężniejszą, mogą się usprawiedliwiać, że przymuszono je siłą i dlatego dały duszom swobodę działania.

Ale usłyszawszy to, Niketas już nie zdzierzył. Odślonił zbyt spieszenie to, co i ja bym powiedział, choć wprawdzie chciałem głębiej wy badać Szymona. Otóż uprzedzając mnie, Niketas zapytał:

– A ty sam nie lękasz się dnia sądu? Zniewalasz anioły, wywołujesz dusze zmarłych, ludzi zwodzisz, boską cześć każesz sobie oddawać! A w jaki sposób nas przekonasz, że nie będzie sądu, jak uważają niektórzy Żydzi, i że dusze nie są nieśmiertelne? Przecież na własne oczy widzisz owe dusze i otrzymujesz od nich przestrogi!

Zbladł Szymon, gdy Niketas to powiedział, ale opanował się i natychmiast odparł:

– Nie sądzicie, że jestem człowiekiem! Bom ja ani czarnoksiężnik, ani miłośnik Heleny, ani syn Antoniusza. Jeszcze nim moja matka Rachel z nim się zesłała, już mnie poczęła jako dziewica. Tylko w mojej było mocy objawić się jako człowiek wśród ludzi! Dla próby was pierwszych wzięłem jako przyjaciół, abyście potem wy pierwsi zasiedli przy mnie w niebie. Com wam powiedział, wszystko zmyśliłem, aby wy badać, czy szczerze mnie miłujecie.

Co słysząc, pojąłem, że biedny to człowiek. Zdumiewała mnie wszakże jego beczelność i sam się za niego rumieniłem ze wstydu. Ale bałem się zarazem, żeby coś złego nam nie wyrządził. Dałem więc znak Niketasowi i tak mówię:

– Nie gniewaj się na nas, ludzi ułomnych, Boże Niezniszczalny. Przyjmij łaskawie nasze uczucia i uczciwy zamiar wywiedzenia się, kim jest Bóg prawdziwy. Jeszcześmy bowiem nie pojęli, że ty jesteś tym, którego szukamy!

Takie to i tym podobne wygadywaliśmy brednie, z obliczem odpowiednio dostosowanym do słów obłudnych. On zaś, człek najpróżniejszy w świecie, uwierzył, że nas oszukał! Zadowolony więc, odpowiedział od razu:

– Życzliwie patrzę na wasze pocziwe starania. Miłowaliście mnie, aleście mnie nie znali. Szukaliście mnie, aleście nie wiedzieli, że tu jestem. Nie wolno wam wątpić, że boskość może się wcielić w każdą istotę, nawet najskromniejszą, gdy tylko zechce. A w jakież inny sposób ja mogłem. objawić się ludziom? Wracając zaś do tego chłopca, rzekomo zamordowanego, odsłonię wam całą prawdę. Stało się raz, że mą mocą swoją powietrze obróciłem w wodę, tę zaś w ciało i krew. Tym sposobem ukształtowałem nowego człowieka, chłopca. Wykonałem dzieło bez porównania wspanialsze od tego, którym chlubi się stwórca świata. On bowiem człowieka ulepił z gliny, a ja, co znacznie trudniejsze, uformowałem z powietrza. Potem znowu rzekłem słowo i rozpląnął się z powiewem wiatru. Tylko jego podobiznę przechowuję w najskrytszej komórce domu, aby zachował się trwały dowód i pamiątka mego czynu.

Spojrzeliśmy po sobie, dobrze rozumiejąc, co znaczą te słowa. Zamordował chłopca i szczątki jego przetrzymuje u siebie, posługując się nimi przy straszliwych praktykach nekromantycznych. A o jakiejś podobiznie prawi na wszelki wypadek, gdybyśmy natrafili na ślady zbrodni.

W gruncie rzeczy oszukiwaliśmy się wzajemnie. Mimo całego swego zaślepienia i chorobliwej ambicji Szymon był zbyt sprytny, by nie rozumieć, że my domyślamy się wszystkiego i tylko udajemy łatwowiernych. Udawał jednak, że za takich nas uważa; więc i myśmy udawali, że się nie domyślamy, iż on się domyśla. Ale na dłużej taka sytuacja była nie do zniesienia. Uciekliśmy z Samarii i udaliśmy się do Cezarei nadmorskiej.

ŻĄDANIA FLORUSA I PROCESJA ŚWIĄTYNNA

Paweł wyjechał z Cezarei nadmorskiej wkrótce po owej rozmowie z Agryppą i Bereniką; apelował bowiem do cesarza. Zabrano go do Rzymu. Natomiast prokurator Festus zmarł w Palestynie, nim jeszcze dobiegło kresu jego urzędowanie, w dwa lata później. Po nim prokuratorem Judei, również przez dwa lata, był Albinus, następnie zaś Gesjusz Florus, mąż Kleopatry, właściwy sprawca krwawych wypadków w dniu 16 miesiąca Ijjar roku 66.

Dnia następnego w całym mieście rozległy się zarówno lamenty i jęki, jak też okrzyki wrogości przeciw Florusowi. Doszłoby zapewne do zamieszek, gdyby nie wyżsi kapłani i co przedniejsi obywatele; ci, rozrywając szaty na piersiach, z płaczem padali do nóg przywódców ludu, błagając, by zachowali spokój i nie prowokowali Florusa. Prokurator ze swej strony wezwał starszyznę miasta na odprawę. Oznajmił bez ogródek, co uzna za dowód, że lud nie dopuści się w przyszłości nieprzyjaznych wystąpień: mieszkańcy Jerozolimy muszą wyjść przed mury i manifestacyjnie, jak się godzi, powitać dwie kohorty, przybywające z Cezarei do Jerozolimy. Twierdzono wszakże później, że prokurator zawczasu pchnął gońca do oficerów owych kohort z surowym przykazaniem, by żołnierze nie odpowiadali na powitania; gdyby zaś z tłumu padły jakieś ubliżające słowa, mieli natychmiast czynić użytek z broni.

Kiedy oznajmiono ludowi, zebranemu na dziedzińcu świątyni, czego życzy sobie prokurator, zewsząd podniosły się głosy oburzenia, wciąż przybierając na sile. Przywódcy ekstremistów, czyli tak zwanych Żarliwych, sprzeciwiali się bezwzględnie Florusowym żądaniom. Zyskali sobie posłuch i poparcie zwłaszcza wśród młodzieży i mas uboższego ludu, czemu trudno się dziwić, skoro wszyscy mieli jeszcze przed oczyma zwłoki wczoraj pomordowanych. Bogacze natomiast i wyżsi kapłani, którzy wiele by stracili w wypadku nowych zamieszek i rzymskich represji, przerażeni się widmem katastrofy. Czym prędzej więc przygotowali widowisko niezwykle:

Kapłani odziani w swe drogocenne, barwne szaty liturgiczne procesjonalnie wyszli z Przybytku, niosąc święte naczynia i sprzęty; towarzyszyła im służba świątynna oraz kitarzyści i śpiewacy. Uklękli na bruku dziedzińca i płacząc prosili lud, aby zmiłował się nad sobą samym i nad świątynią; bo Rzymianie niechybnie obrabują ją ze wszystkich skarbów i nawet z największych świętości. Członkowie Sanhedrynu posypywali swoje brody prochem, rozrywali szaty, po imieniu zwracali się do wszystkich znanych sobie osób nawet z pospólstwa. Wołali, że powitanie kohort to sprawa żałobna wprawdzie, lecz błaha; w istocie chodzi przecież tylko o to, by nie dać Florusowi pretekstu do dokonania nowej rzezi!

W końcu zdołali nakłonić, błaganiem i groźbami, zarówno lud, jak nawet część Żarliwych. Mieszkańcy Jerozolimy z dostojnikami na czele wyszli przed bramy murów, aby witać wkraczające oddziały – jak niedawno witali samego Florusa.

WALKI W MIEŚCIE NOWYM I GÓRNYM

Żołnierze rzymscy miarowym krokiem maszerowali w milczeniu, ni słowem nie odpowiadając na zwyczajowe pozdrowienia. Zapewne właśnie to wzgardliwe milczenie spowodowało, że tu i ówdzie podniosły się wrogie okrzyki. Kohorty natychmiast uderzyły na tłum zwartym szeregiem. Żołnierze bili tylko drzewcami swych włóczni, ale i tak ofiar w ludziach było sporo. Kiedy bowiem tłum zaczął się cofać w popłochu, rzymscy zaś jeźdźcy napierali nań końmi, wiele osób zostało zduszonych i stratowanych. Najstraszliwsze sceny rozgrywały się oczywiście w ciasnocie bramy. Gdy dnia następnego zbierano zwłoki, niektóre z nich były tak zmiażdżone i zniekształcone, że nie mogli rozpoznać ich nawet najbliżsi.

Obie kohorty wkroczyły do miasta, bezlitośnie bijąc i siekając cizbę, zalegającą ciasne uliczki Nowego Miasta; rozciągało się ono na północ od świątyni, pomiędzy tak zwanym Trzecim a Drugim Murem. Rzymianie chcieli za wszelką cenę przedrzeć się ku twierdzy noszącej imię Antonia; wznosiła się ona w północno-zachodnim narożu świątynnego obwodu i całkowicie nad nim panowała. Na wieść o tym wyruszył z pałacu Heroda również prokurator Florus. Wiodąc swoją kohortę przebijał sobie drogę do Antonii przez uliczki Górnego Miasta. Jednakże ludność w obu dzielnicach atakowała żołnierzy, ciskając z dachów co popadło, ulice zaś były zamknięte barykadami i zatłoczone ludźmi. W tej sytuacji Florus rozkazał swoim zawrócić. Również nowe kohorty nie przedarły się do Antonii.

Powstańcy obawiali się jednak, że wkrótce Rzymianie ponowią atak. Na wszelki więc wypadek zburzyli portyki świątynne, przytykające do Antonii od północy i od zachodu; w ten sposób twierdza została oddzielona od zabudowań i dziedzińców świątynnych, toteż nawet jej opanowanie przez Rzymian nie mogło być groźne.

Po tych starciach przyszło opamiętanie. Florus zawezwał do swego pałacu Sanhedryn. Oświadczył, że obecnie musi opuścić miasto, ale pozostawi tu taką załogę, jaką oni sami, członkowie Rady, uznają za odpowiednią. Wiedział dobrze, że ludzie, do których mówi, obawiają się Żarliwych, a więc ugrupowania najbardziej ekstremistycznego, nie mniej niż on sam.

Przywódcy Sanhedrynu odpowiedzieli, że uczynią wszystko, co w ich mocy, by nie doszło do nowych rozruchów. Stwierdzili, że wystarczy pozostawić w Jerozolimie jedną kohortę; żądali wszakże, aby nie była to ta kohorta, która dokonała rzezi w Górnym Mieście. Florus, bardzo zgodliwy, przystał na wszystko. Wyruszył do Cezarei nadmorskiej z dwiema kohortami, z których jedna dopiero co stamtąd przybyła. Obiecywał sobie, że jeszcze tu wróci.

POWRÓT KRÓLA

Nadzór nad Judeą i jej prokuratorem sprawował namiestnik sąsiedniej prowincji, Syrii, noszący tytuł legata cesarskiego. Był nim wówczas Cestiusz Gallus. Do niego więc zaczęły napływać doniesienia o zajściach w Jerozolimie. Wysyłał je z jednej strony Florus, z drugiej zaś Sanhedryn i Berenika. Królowa bowiem pisała listy łącznie ze starszyzną, oskarżając prokuratora o haniebną napaść na miasto; solidaryzowała się w pełni ze sprawą swych współwyznawców.

Wobec zasadniczej sprzeczności relacji nie sposób było dojść prawdy i wytworzyć sobie obraz sytuacji. Cestiusz odbył naradę w Antiochii z wyższymi urzędnikami i oficerami. Odezwały się głosy, że powinien jak najszybciej osobiście udać się do Palestyny, prowadząc znaczne siły. Argumentowano tak: jeśli Żydzi rzeczywiście dopuścili się wykroczeń, należy ukarać ich bezzwłocznie i przykładowo; jeśli natomiast zachowywali i wciąż zachowują spokój, umocni się ich lojalność przez samo okazanie rzymskiej potęgi. Namiestnik wszakże, niezbyt energiczny, zdecydował, że w pierw wyśle jednego z oficerów, aby na miejscu zbadał położenie i nastroje ludności. Wyjechał trybun imieniem Neapolitanus.

Tymczasem król Agryppa, wezwany przez Berenikę, opuścił Aleksandrię i spieszył do Jerozolimy wzdłuż wybrzeży, przez Gazę, Aszkalon, Jamnię. Tutaj spotkał się z trybunem, który specjalnie w tym celu zboczył z drogi. Przybyli też do Jamni przedstawiciele żydowskiej starszyzny, aby złożyć pokłon i opowiedzieć swe żale. Agryppa uważnie wysłuchał skarg i biadań – a potem publicznie skarcił ich w ostrych słowach za niełojalność wobec prokuratora. Uczynił to nie tyle ze względu na obecność trybuna, ile po to, by odwieść swych rodaków od myśli o walce zbrojnej. Członkowie delegacji, ludzie bardzo zamożni i miłujący pokój, zrozumieli w lot życzliwą intencję królewskiej nagany. Inaczej było z ludem Jerozolimy.

Witając monarchę i oficera rzymskiego, tłum wyszedł aż sześćdziesiąt stadiów przed mury miasta. Zony wymordowanych w ostatnich zajściach biegły przodem, przeraźliwie jęcząc i zawodząc, cały zaś lud wielkim głosem błagał o pomoc. Zewsząd rozbrzmiewały krzyki i lamenty, wszyscy usiłowali wyrazić ogrom swych cierpień wrzaskiem i beżładną, urywaną opowieścią. Kiedy zaś wjechało w mury miasta, najpierw pokazano gościom wymarłą dzielnicę i domy do cna obrabowane.

Później uproszono trybuna, aby zwiedził całe miasto – i to w towarzystwie tylko jednego sługi! – aż po sadzawkę Syloam u południowych krańców Jerozolimy. Chciano w ten sposób udowodnić, że mieszkańcy zachowują całkowitą lojalność wobec wszystkich Rzymian, nienawidzą zaś tylko i jedynie Florusa. Odbywając tę przechadzkę po ulicach, oficer oczywiście stwierdził, że wszędzie panuje przykładowy spokój i porządek.

Potem odbyło się zebranie ludu na pierwszym, zewnętrznym dziedzińcu świątyni, a więc na tym, który rozciągał się pomiędzy portykiem Salomona a królewskim. Neapolitanus wychwalał dotychczasową wierność obywateli jerozolimskich wobec Imperium i wzywał ich do przestrzegania ładu; aby zjednać sobie słuchaczy, ostentacyjnie oddał pokłon Przybytkowi. Następnie wyruszył w drogę powrotną do Syrii, do legata Cestiusza. Natomiast Agryppa i Berenika uznali za stosowne pozostać w mieście, by czuwać nad dalszym biegiem spraw.

Najistotniejsze było obecnie pytanie, kto rozpoczął walki. Jeśli, jak to utrzymywał Florus, zaczepnie wystąpili Żydzi, mogła ich spotkać bardzo surowa kara z rozkazu cesarza. Dlatego też podniosły się w Jerozolimie głosy, że należy natychmiast wyprawić posłów do Nerona, którzy by przedstawili przebieg zajść z żydowskiego punktu widzenia i w ten sposób uprzedzili lub odparli meldunki prokuratora. Agryppa znalazł się w sytuacji kłopotliwej. Pójść za żądaniami mieszkańców i zwrócić się wprost do cesarza? To z góry oznaczało zajęcie wrogiego stanowiska wobec Florusa, a więc narażenie się na nieprzejednaną nienawiść i jego

samego, i jego żony Kleopatry; wprawdzie jej przyjaciółka, cesarzowa Poppea Sabina, już nie żyła, z pewnością jednak pozostało wiele dawnych znajomości i kontaktów. A więc przeciwstawić się żądaniom ludu? To groziło podsyceniem burzliwych nastrojów i mogło doprowadzić do nowych rozruchów; Żarliwi, choć ostatnio przycichli, nie zamierzali się wycofać i nie rezygnowali ze swych haseł.

Król postanowił próbować perswazji. Zwołał wiec na placu przylegającym do pałacu Hasmonejczyków, w którym zamieszkiwał wraz z siostrą. W zgromadzeniu mogli brać udział tylko mężczyźni. Wyjątek uczyniono dla jednej kobiety, dla Bereniki. Wprawdzie i jej nie wypadało stanąć w dole obok brata, znalazła wszakże sposób, by obserwować przebieg wydarzenia. Wyszła na płaski dach pałacu: stamtąd słyszała każde słowo króla.

AGRYPPA O POTĘDZE IMPERIUM

Mówca stwierdził przede wszystkim, że tylko część ludu pragnie wojny. Bo i któż do niej dąży? Niedoświadczona, zapalna młodzież. Dalej ci, którzy – jakże nierozumnie – wierzą, że wywalczą krajowi niepodległość. Nie brak wreszcie zbrodniczych chciwców, zamierzających w czasie zawieruchy wzbogacić się kosztem słabych i niezaradnych.

Dla usprawiedliwienia zbrojnego powstania stronnictwo wojenne wysuwa dwa hasła. Pierwszym z nich jest pomsta za krzywdy doznane z winy prokuratorów. Owszem, te się zdarzają. Należy wszakże znosić je z pokorą, pamiętając, że nie wszyscy Rzymianie są okrutnikami. W każdym zaś razie nie jest nim cesarz, który przecież nie może dokładnie wiedzieć o tym, co się tu dzieje. A podniesienie broni przeciw prokuratorowi to wypowiedzenie wojny nie tylko jemu samemu, lecz całemu Imperium. Hasłem drugim jest odzyskanie całkowitej niezależności. Jakże spóźnione dążenie! Można było bronić niepodległości przed stu dwudziestu laty, gdy rzymski wódz Pompejusz po raz pierwszy stanął w Judei. Jednakże ówcześni władcy i mieszkańcy tej krainy nie zdołali przeciwstawić się jego armii, stosunkowo niewielkiej.

Zresztą nie tylko Judea musiała przyjąć rzymskie jarzmo. Taki sam los spotkał państwa sławne niegdyś i możne: Ateny, Spartę, Macedonię. Potężne Imperium poddało sobie ogromną rzeszę różnych narodów. Czyż więc Żydzi uważają się za bogatszych od Gallów, za dzielniejszych od Germanów, za liczniejszych od wszystkich ludów świata razem wziętych?

A jakże nikłymi siłami trzymają Rzymianie w ryzach poddane sobie krainy! W Grecji w ogóle nie ma wojsk; jej namiestnik dysponuje tylko kilku woźnymi. Tak samo w Macedonii. Podobnie w zachodnich połaciach Azji Mniejszej, choć samych miast liczy się tam do pięciuset. Pokoju krain wokół Morza Czarnego strzeże trzy tysiące żołnierzy i czterdzieści okrętów. W Tracji, rozległej i górzystej, rzymski garnizon liczy zaledwie dwa tysiące zbrojnych. W Ilirii stoją nad środkowym Dunajem dwa legiony, w Dalmacji zaś jeden. Galia jest krainą olbrzymią, bogatą, ludną; na jej ziemiach siedzi trzysta pięćdziesiąt różnych szczepów; porządku pilnuje tam tysiąc dwustu żołnierzy! W Hiszpanii stacjonuje jeden legion. Granicy nad Renem strzeże od Germanów – dzikich, bitnych, grozę budzących – tylko osiem legionów. Brytanię podbito niedawno, lecz wystarczą cztery legiony, by utrzymać ją w poddaństwie. Afryka Północna obejmuje niezmierzone obszary od Atlantyku po Libię; zamieszkują ją ludy liczne i waleczne, a ziemie te są tak bogate, że dostarczają żywności miastu Rzymowi przez osiem miesięcy każdego roku. A tylko jeden legion ma tam swoje obozy! W Egipcie, poza Aleksandrią, żyje siedem i pół miliona ludzi, wojskową zaś załogę stanowią dwa legiony!

A może powstańcy spodziewają się jakiejś pomocy z zewnątrz? Mrzonki i złudzenia. Jedyne większe skupisko Żydów znajduje się poza granicami Imperium w Mezopotamii, w państwie Partów. Lecz gdyby nawet tamtejsi Żydzi zdecydowali się uczestniczyć w wojnie – która cóż ich obchodzi? – nie zezwolą im na to Partowie; musieliby bowiem w takim wypadku zerwać układ pokojowy, łączący ich z Rzymem.

A więc tylko Bóg mógłby przyjść z pomocą. Lecz Bóg jest po stronie Rzymian! W jakim bowiem inny sposób zdołaliby oni stworzyć Imperium tak wielkie i wspaniałe? Co gorsze, w razie rozpętania się wojny właśnie wierzenia religijne stanowiłyby dla Żydów groźną przeszkodę. Chodzi zwłaszcza o zakaz pracy, a więc i walki w dniu szabatu; okazał się on zgubny już raz, gdy przed stu dwudziestu laty Pompejusz oblegał świątynię i zdobył ją właśnie dlatego, że obrońcy zachowywali całkowitą bezczynność każdego szabatu. Złamanie zaś przykazania o święceniu szabatu byłoby zerwaniem przymierza z Bogiem! Więcej, byłoby rezygnacją z celu i sensu walki, boć przecież toczyć się ma ona dlatego, by można w pełni i swobodnie żyć według praw ojców.

Tak więc, pozostawieni sami sobie, pozbawieni wsparcia zarówno ze strony ludzi, jak i Boga, powstańcy nieuchronnie skazani będą na katastrofę. Równie dobrze mogliby od razu własnymi rękami wymordować swe żony i dzieci, a tę przepiękną ziemię obrócić w zgliszcza. Taki czyn, choć szaleńczy, oszczędziłby im przynajmniej hańby, jaką jest klęska. Rzymianie zniszczą cały kraj, wytepią jego mieszkańców, nie oszczędzą nikogo. A równie straszny los spotka tych Żydów, którzy żyją w rozproszeniu w różnych prowincjach cesarstwa. W gruzach legnie świątynia, jedyny Przybytek, w którym składa się ofiary Bogu. Nigdy już i nigdzie ofiary nie zostaną wznowione!

Mówiąc te słowa, Agryppa rozplakał się w głos. Płakała także Berenika.

REFLEKSJE NAD MOWĄ AGRYPPY

Król przedstawił rozmieszczenie rzymskich sił zbrojnych stosunkowo dokładnie i zgodnie z ówczesnym stanem rzeczy. Można to wykazać, konfrontując dane zawarte w jego mowie z informacjami z wielu innych źródeł. Z drugiej wszakże strony należy pamiętać, że Agryppa nie zamierzał dać pełnej listy wszystkich sił zbrojnych Imperium. Nie wymienił nawet wszystkich dwudziestu siedmiu legionów, które broniły wtedy granic. Chodziło mu jedynie o uświadomienie mieszkańcom Jerozolimy, na jaką porywają się potęgę; pominął więc milczeniem pewne fakty mniej istotne lub dobrze znane. I tak nie wspomniął o dwóch legionach stacjonujących nad dolnym Dunajem; nie uczynił też nawet wzmianki o potężnej armii czterech legionów nad Eufratem górnym, a to dlatego, że skoncentrowano ją dla osiągnięcia doraźnych celów politycznych i na krótki okrąg. W Syrii, a więc tuż u granic Palestyny, stały trzy legiony; o tym wiadano w Jerozolimie aż nazbyt dobrze, nie było więc potrzeby wskazywania tej okoliczności.

Zarazem jednak Agryppa pragnął pokazać – sam stwierdził to otwarcie! – jak szczupłe siły zbrojne wystarczają Rzymianom, by trzymać w posłuszeństwie ludy wielkie, waleczne, bogate. Sprawa to rzeczywiście godna najbaczniejszej uwagi. Godna nawet bardziej niż mniemał to sam król; albowiem po dzień dzisiejszy wielu uczonych historyków podziela w tej materii beztroskę, by nie rzec bezmyślność jego słuchaczy. W księgach poświęconych dziejom Rzymu omawia się wciąż i przede wszystkim ogrom oraz świetną organizację rzymskich wojsk; przedstawia szczegółowo wojny prowadzone przez różnych wodzów; rozwodzi się nad krwawym tłumieniem prób oporu. Co wszystko jest słuszne, prawdziwe, ważne – a zarazem niesprawiedliwe, jednostronne, tradycyjnie powierzchowne. Oczywiście nikt nie neguje, że Rzymianie dokonując podbojów, porażali strachem swych nieprzyjaciół przez samo demonstrowanie znakomitej maszyny wojskowości. Nikt też nie przeczy, że w razie potrzeby przeprowadzali z całą bezwzględnością okrutne rzezie wśród ludności wielu krain. Ale faktem jest również, że w kilka pokoleń później, kiedy pamięć o tamtych wojnach wygasła już całkowicie, istniały więc warunki dla odrodzenia się ducha walki, w większości krajów Imperium panował błogi, głęboki spokój i pełne zadowolenie z aktualnego stanu rzeczy. Byli tacy namiestnicy prowincji rozległych i ludnych, którzy bardzo sprawnie wywiązywali się ze swych zadań mając do dyspozycji dosłownie tylko kilku woźnych! Tak działo się w Grecji, Macedonii, Azji Mniejszej. Dzisiejszą Francję, czyli ówczesne Cztery Galie, zamieszkiwało w starożytności przynajmniej pięć, a kto wie, czy nawet nie dziesięć milionów ludzi; ale straż nad spokojem i bezpieczeństwem trzymało tam – co Agryppa przypomniał jak najsluszniej – zaledwie tysiąc dwustu zbrojnych, stojących załogą w Lyonie! Oczywiście w ostateczności można było przyzwać na pomoc legiony nadreńskie; te jednak miały inne zadania, czujnie zwracając ostrza swych włóczni przeciw wojowniczym Germanom. A więc tak nieliczna garstka żołnierzy stanowiła całą siłę wojskową i policyjną w ogromnej Galii! I to siłę zupełnie wystarczającą. Ludność zachowywała przez całe pokolenia spokój i lojalność w stosunku do władz; przyczyny takiego stanu rzeczy łatwo przejrzeć. Mieszkańcy prowincji mieli sporo do powiedzenia w najistotniejszych dla nich sprawach lokalnych; wielką polityką niezbyt się przejmowali, chętnie pozostawiając ją cesarzowi i senatorom; korzystali na każdym kroku swego życia z dobrodziejstw ładu i praworządności oraz z błogiego poczucia stabilizacji. I na tym właśnie polegała wielkość, trwałość i moc Rzymu. Fundamentem Imperium był nie żelazny kordon legionów u granic – ten bronił głównie przed barbarzyńcami – lecz niezachwiana, bo w praktyce codziennego życia wciąż się potwierdzająca, ufność milionów zwykłych, szarych ludzi, że władza nimi prawo i rozsądek.

SZKOŁY TYTUSA

Lecz tego, jak się rządzi, Rzymianin musiał się uczyć, odbywając praktykę w twardej szkole życia i w różnych krajach. Oczywiście obowiązek ten spadał przede wszystkim na młodych ludzi z rodzin znamienitych i zamożnych, oni to bowiem byli predestynowani do zajmowania wyższych stanowisk. Jakie były sposoby, drogi i stopnie owej nauki rządzenia? Za odpowiedź mogłaby posłużyć relacja o losach któregośkolwiek z chłopców rodu senatorskiego lub rycerskiego. Jest wszakże zrozumiałe i usprawiedliwione, że wybór nasz padnie na człowieka, którego imię miało nierozzerwalnie spleść się z dziejami Palestyny i z przygodami Bereniki.

Tytus Flawiusz Wespazjan rozpoczął w roku 57 służbę wojskową w jednym z owych ośmiu, czy też siedmiu legionów nadreńskich, o których wspominał w swej mowie król Agryppa. Wstępując do armii, otrzymał od razu wysoki stopień trybuna, choć liczył zaledwie lat osiemnaście; urodził się bowiem w dniu 30 grudnia roku 39, gdy ojciec jego, Wespazjan, wkraczał w trzydziesty pierwszy rok życia. Ponieważ Tytus był synem senatora, przysługiwał mu przywilej przekraczania niższych stopni. Z drugiej wszakże strony roczna służba wojskowa była dla synów senatorskich obowiązkiem, jeśli zamierzali następnie piastować wyższe urzędy i wejść w skład senatu. Takie zasady wprowadził już cesarz August.

Armia zapewne skromną miała pociechę z owych paniczyków, przywykłych do wygod i luksusu życia wielkomięjskiego. Stawiali się w obozach legionowych co roku i zwykle przebywali w nich tylko rok. Pod względem rangi należeli do najwyższych oficerów, a więc do sztabu dowódcy, noszącego tytuł legata, nie posiadali jednak rzecz prosta żadnego doświadczenia. W praktyce życiem obozu, musztrą i operacjami bojowymi kierowali wyłącznie oficerowie zawodowi, czyli centurionowie różnych stopni. Młodzi synowie senatorów paradowali w swych tunikach bramowanych szerokim pasem purpurowym – dla odróżnienia od trybunów ze stanu ekwitów, rycerzy, którym przysługiwał tylko pas wąski – reprezentowali legata, sprawowali wyznaczone im funkcje, głównie administracyjne; wszystkie bowiem formacje armii miały rozbudowaną biurowość i służby pomocnicze. Ale i tak była to znakomita szkoła wojskowości i życia. Przy dobrej woli trybuni mogli nauczyć się bardzo wiele, zarówno w sprawach armii, jak też tego kraju, w którym stał ich legion. Tytus nie zmarnował okresu swej służby wojskowej. Był dobrym żołnierzem – wtedy i później.

Przybywając nad Ren, Tytus miał już za sobą kursy różnych umiejętności, i to u najlepszych nauczycieli. Zawdzięczał to nie tylko temu, że pochodził z rodziny mającej, lecz również innej okoliczności. Oto jako chłopca spotkała go łaska nadzwyczajna: został przydany do towarzystwa synowi cesarza Klaudiusza, Brytannikowi; wespół z nim wychowywał się i uczył. Można nawet odgadnąć, kto sprawił, że spłynął nań ów zaszczyt: przyjaciółką Wespazjana była Antonia Cenida, wyzwolenica nie żyjącej już wtedy matki Klaudiusza, kobieta bardzo wpływowa na dworze dzięki swym powiązaniom z innymi wyzwolencami. Gdyby Brytannik został następcą swego ojca, czekałaby Tytusa kariera olśniewająca. Stało się wszakże inaczej. Po zgonie Klaudiusza w roku 54 obwołano cesarzem jego pasierba, Nerona; zdecydowały o tym zabiegi matki Nerona, Agryppiny. W kilka miesięcy potem, już w roku 54, Brytannik nagle zmarł w czasie uczyty, na oczach całego dworu i rodziny cesarskiej. Z kuchni przyniesiono mu jakiś napój; był za gorący, chłopiec odsunął go, niewolnik zaś, kosztujący jedzenia, dołał kubek zimnej wody; wtedy dopiero Brytannik przełknął nieco płynu. Tytus, leżący tuż obok, już przykładał do ust tę samą wazę. Odsunął ją w ostatniej chwili, gdy spojrzął na leżącego bezwładnie przyjaciela. Poniektórzy zresztą opowiadali później, że wypił mały łyk napoju i przypłacił to ciężką, długotrwałą chorobą. O nieszczęsnym Brytanniku nigdy nie zapomniał. Po wielu, wielu latach wystawił mu złocisty posąg na Palatynie; roz-

kazał również, by statuę, przedstawiającą Brytannika na koniu, obnoszono wokół stadionu cyrkowego w czasie uroczystej procesji, otwierającej wyścigi rydwanów.

Bezpośrednio po śmierci księcia Tytus i jego rodzina mogli marzyć tylko o jednym: by zostawiono ich w spokoju. Dla nikogo przecież nie było tajemnicą, co jest prawdziwą przyczyną zgonu Brytannika i kogo należy uważać za sprawcę tragedii. Także ojciec Tytusa miał poważne powody do obaw, Agryppina bowiem darzyła go szczerą nienawiścią. Tak więc rodzina Flawiuszów żyła przez kilka lat z dala od dworu, a zapewne też z dala od Rzymu, w swych dobrach wiejskich. Liczyła ona wówczas pięcioro osób; prócz rodziców, Wespazjana i Domitilli, troje dzieci: Tytusa, urodzonego w roku 51 Domicjana, oraz Flawię Domitillę, może najstarszą z rodzeństwa.

Po pewnym czasie sytuacja o tyle zmieniła się na korzyść, że Neron popadł w ostry i jawny zatarg z matką. Osoby więc dotychczas prześladowane przez Agryppinę mogły liczyć na życzliwość cesarza. O sprawie Brytannika oczywiście nikt już nie pamiętał. Ponieważ Tytus właśnie kończył lat siedemnaście, ojciec zdecydował, że powinien on dopełnić warunku służby wojskowej i w ten sposób otworzyć sobie drogę do dalszej kariery politycznej. Wyznaczono mu, jak się rzekło, jeden z legionów nadreńskich.

Młody człowiek fizycznie prezentował się doskonale. Choć niezbyt wysoki, był świetnie zbudowany, przystojny, silny, zręczny. Znakomicie władał bronią i jeździł konno. W wojsku to liczyło się przede wszystkim. Jednakże jego wykształcenie ogólne także nie pozostawiało nic do życzenia. Znał literaturę piękną, nie tylko rzymską, lecz i grecką; oboma tymi językami posługiwał się swobodnie, układając nie tylko mowy, lecz i wiersze; potrafił nawet improwizować. Interesował się muzyką, ładnie śpiewał i grał na kitarze. Sztukę stenografii tak opanował, że później dla żartu rywalizował ze swymi sekretarzami.

Zachowała się wzmianka w źródłach, że Tytus służył również w Brytanii. A więc albo przeniósł się w ciągu roku z jednej prowincji do drugiej – żadnego bowiem legionu wtedy nie translokowano – albo też staż swój przedłużył, czy też nawet powtórzył, ale w innym kraju i w innym legionie; takie wypadki, choć raczej rzadkie, zdarzały się wówczas. Dlaczego jednak wybrał Brytanię? Odpowiedź zdaje się dość łatwa. Oto przed kilkunastu laty w prowincji tej walczył jego ojciec, Wespazjan, sprawując dowództwo legionu II z przydomkiem „Augusta”; stoczył trzy zwycięskie bitwy i zdobył wyspę Vectis, czyli dzisiejszą Weight. Jest więc wysoce prawdopodobne, że Tytus, dla odnowienia dawnych związków, odbył służbę właśnie w legionie ojcowym; stał on wówczas obozem w miejscowości Glevum, to jest w dzisiejszym Gloucester.

Powiadano później, że trybun Tytus zapisał się doskonale i trwale w pamięci zarówno mieszkańców nadreńskich, jak i ludności Brytanii. Miało o tym świadczyć mnóstwo posągów i napisów honorowych ku jego czci w różnych miejscowościach owych krain. Jest jednak rzeczą oczywistą, że te zaszczytne pomniki wystawiono znacznie później, kiedy Tytus władał już jako cesarz; wówczas każda miejscina, w której Tytus bawił jako trybun, choćby tylko przejazdem, pragnęła fakt jego bytności i odwiedzin upamiętnić na wieki.

Najdalej w roku 59 Tytus znalazł się z powrotem w Rzymie. Był to właśnie ów nieszczęsny rok, w którym Neron zgładził Agryppinę, senat zaś i lud rzymski składali mu z tego powodu gratulacje; ba, manifestacyjnie objawiali radość, że cesarz zdołał w sposób niemal cudowny ocalić swe cenne życie, ubiegając zbrodnicze plany matki! Ojciec Tytusa musiał z obowiązku uczestniczyć w posiedzeniu senatu, w czasie którego uchwalano wnioski, wyrażające szczerą wdzięczność bogom nieśmiertelnym za uratowanie ukochanego władcy. Co więcej, Wespazjan z pewnością głosował, a kto wie, czy i nie przemawiał za tymi wnioskami! Wiadomo bowiem, że milczał wówczas tylko jeden senator, Trazea Petus, w pewnym zaś momencie demonstracyjnie wyszedł z sali. Sam Tytus formalnie jeszcze nie wchodził w skład dostojnego zgromadzenia, miał jednak prawo przysłuchiwania się obradom; cesarz August przyznał ten przywilej synom senatorów, aby nabywali doświadczenia i oswajali się, najpierw

biernie, z wielką problematyką polityczną. Jeśli Tytus był już w Rzymie, musiał wziąć udział w innej ceremonii: wraz z całym ludem stolicy wyszedł przed miasto i entuzjastycznie witał cesarza, powracającego z Zatoki Neapolitańskiej, gdzie zabił matkę.

Życie biegło normalnie. O Agryppinie powoli zapomniano. Przyszły nowe sprawy, radości i kłopoty. Tytus, jak wypadało młodemu człowiekowi jego stanu, mającemu już za sobą służbę wojskową, poświęcił się studium prawa. Łączył, jak zwykle wówczas, teorię z praktyką. Korzystał więc z wykładów, rad i wskazówek któregoś z ówczesnych luminarzy prawoznawstwa, a jednocześnie występował osobiście w pewnych procesach przed trybunałami, głównie jako obrońca. Oczywiście początkowo były to sprawy drobne. Jeśli klienci zwracali się z nimi właśnie do Tytusa, to całkiem nie dlatego, by wierzyli w jego niezwykłą znajomość ustaw i zdolności krasomówcze. Inne kierowały nimi względy. Wychodzili po prostu ze słusznego założenia, że na postawę sędziów znaczny wpływ wywrze nazwisko syna senatorskiego i przyszłego senatora. Prawdopodobnie Tytus uczestniczył też w procesach wielkich, głośnych, poważnych; w takich wszakże wypadkach był tylko jednym z mówców, sprawą zaś kierował któryś ze starszych, ogólnie znanych prawników. Nie wygłaszał natomiast, nie miał bowiem ani sposobności, ani możliwości po temu, żadnych mów o charakterze publicznym – takich, jaką była na przykład mowa króla Agryppy na jerozolimskim placu Ksystos. Nie było wówczas w Rzymie autentycznego życia politycznego, nie istniała potrzeba przekonywania i poskramiania wzburzonych mas ludu; wystarczyło pochlebiać jednostce.

POŻEGNANIE Z JEROZOLIMĄ

Mowa króla wzruszyła nie tylko jego samego i Berenikę, lecz także wielu słuchaczy. Wśród tłumu zgromadzonego na placu Ksystos rozległy się okrzyki:

– Walczymy nie z Rzymianami, lecz tylko z Florusem! Na co król odpowiedział:

– A jak wytłumaczyć to, że odmawiacie płacenia daniny? A to, że zburzyliście portyki przy twierdzy Antonia? Jakież mogą być jaskrawsze dowody wrogości właśnie wobec rzymskiej władzy? Jeśli naprawdę pragniecie, aby pokój powrócił, musicie zebrać zaległe podatki i odbudować to, co zostało zniszczone! Bo i twierdza Antonia, i te pieniądze stanowią własność nie Florusa, lecz cesarza!

Wnet potem część zebranych udała się z Agryppą i Bereniką na czele ku okręgowi świątynnemu – z placu przechodziło się tam przez most nad doliną – i przystąpiła do symbolicznych prac nad uporządkowaniem rozwalonych budowli. Natomiast członkowie Sanhedrynu rozjechali się po okolicy i osobiście ściągali podatki dotychczas nie wypłacone; wkrótce znalazła się w skarbcu cała należna suma, to jest czterdzieści talentów.

Wydawało się, że groźba powstania i wojny została zażegnana. Było to wszakże tylko złudzenie; rozwiało się po kilku dniach, gdy Agryppa bez żadnych obłonek wyjawiał swój pogląd na sytuację: ludność powinna z całkowitym posłuszeństwem zastosować się do rozkazów Florusa i cierpliwie czekać, póki cesarz w swej łaskawości nie mianuje nowego namiestnika!

Żarliwi zaprotestowali przeciw takiemu stanowisku z niesłychaną gwałtownością. Doszło do ostrych kłótni i zatargów pomiędzy królem a ich przywódcami. Ci nie przebierali w słowach. Zasypywali władcę wszelkimi wyzwiskami. Domagali się, by natychmiast opuścić miasto. Wreszcie tłum przez nich podjudzony obrzucił go kamieniami.

Agryppa, rozgniewany i głęboko urażony, wreszcie zdał sobie sprawę, że nie jest już w stanie kierować biegiem wydarzeń; postanowił rzeczywiście wyjechać z Jerozolimy. Przedstawiciele starszyny skierował wprost do Florusa; nie chciał mieć już nic wspólnego z dalszym zbieraniem podatków i oświadczył wprost:

– Niech prokurator zadecyduje, kto i w jaki sposób ma ściągnąć daninę z reszty kraju!

Kraj był ubogi. Nie posiadał żadnych bogactw naturalnych, ziemie zaś tylko w niektórych okolicach dawały plon obfity. Ludność utrzymywała się głównie z pracy na roli i w małych warsztatach rzemieślniczych. Sytuację pogarszała niezdrowa struktura gospodarcza i społeczna. Nieliczna warstwa wysokich kapłanów, wielkich posiadaczy ziemskich i bankierów miała w swym ręku ogromne bogactwa, podczas gdy masy chłopów dzierżawiły małe kawałki roli i żyły w skrajnej nędzy. Wciąż się tłły właśnie pomiędzy różnojęzycznymi grupami etnicznymi. W tym niewielkim kraju mieszkali obok siebie Żydzi i Samarytanie, Grecy i Syryjczycy, Fenicjanie i Arabowie. Wszystko to podsycało fanatyzm religijny, zwłaszcza żydowski. Swój najjaskrawszy wyraz znalazł on w oczekiwaniu na Mesjasza, który przyjdzie – tak nauczano i wołano – lada dzień; rozgromi i upokorzy nieprzyjaciół Pana, a ludowi wybranemu da wolność, panowanie nad światem, wieczne używanie wszelkich dóbr i rozkoszy.

Toteż trudno się dziwić, że choć rzymska część Palestyny liczyła około pół miliona mieszkańców, a więc dziesięć, a może i dwadzieścia razy mniej niż Galia, jej namiestnik miał siły większe od tych, które stacjonowały nad Rodanem. Było mianowicie pod jego rozkazami pięć kohort piechoty i szwadron jazdy, czyli łącznie trzy tysiące zbrojnych. Oddziały te miały wciąż wiele do roboty – między innymi dlatego, że poszczególne okręgi administracyjne rzymskiej Judei – było ich jedenaście – z reguły zalegały z wpłatami podatkowymi. A tymczasem Rzymianie twardo egzekwowali należności. Rokrocznie miało wpływać do skarbu z całego kraju przynajmniej sześćset talentów, prócz dochodu z ceł. Na jeden talent, jednostkę tylko obrachunkową, liczone sześć tysięcy rzymskich denarów, ważących prawie po cztery

gramy srebra. Dla porównania: robotnik najęty do pracy na roli otrzymywał przeciętnie denara za dniówkę.

Normalne obciążenia byłyby może jeszcze do zniesienia, gdyby nie przeróżne wymuszenia, grabieże i nadużycia ze strony oficerów, żołnierzy, urzędników. Niektórzy z nich sami poczuli się do winy. Czego ilustracją może być znane opowiadanie ewangeliczne o Janie zwanym Chrzycielem; jeśli nawet nie jest ono dosłownie prawdziwe, to w każdym razie oddaje atmosferę tamtych czasów, lęki i nadzieje ludności. Otóż gdy Jan wzywał wszystkie stany do poprawy i pokuty, przybyli do niego także celnicy, pytając:

– Nauczycielu, a my cóż mamy czynić? Odpowiedział im:

– Nie ściągajcie nic więcej ponad to, co wam nakazano!

Podobnie mówił żołnierzom:

– Nikomu gwałtu nie czyńcie, przestańcie na waszym żołdzie!

Czegóż jednak można było wymagać od prostych żołnierzy i zwykłych poborców, skoro nawet ich zwierzchnicy, prokuratorzy, nie gardzili mętnymi źródłami dochodu? Tak na przykład Feliks, mąż Druzylli, przetrzymywał Pawła w więzieniu nie bez cichej nadziei, że wyciągnie niezły okup; dlatego też traktował go stosunkowo łagodnie.

Cesarze zdawali sobie sprawę, jak postępują urzędnicy. Przyjmowali to wszakże z dużą wyrozumiałością. Tyberiusz stwierdzał otwarcie, że podatność na korupcję stanowi przyrodzoną cechę urzędniczego stanu. Dlatego też – wywodził – nie należy zmieniać tych ludzi zbyt często, bo przecież każdy nowy dopuszcza się zdzierstw ze zdwojoną gorliwością; natomiast ten, który się obłowił, zachowuje niejaką powściągliwość. Ilustrował to twierdzenie taką przypowieścią:

Człowiek raniony leżał przy drodze, a roje much obsiadły go gęsto. Któryś z podróżnych, wiedziony litością, zbliżył się, aby muchy odpędzić – sądził bowiem, że tamtemu sił już nie staje. Jednakże ranny prosił, by zostawić go w spokoju:

– Jeśli odpędzisz muchy, będę jeszcze bardziej cierpiał. Te już się nasyciły, więc nie są tak dokuczliwe. Ale jeśli przylecą inne, całą krew ze mnie wytoczą i zginę marnie!

Tak brzmiała opowieść o miłosiernym Samarytaninie w rzymskim ujęciu.

Król Agryppa umył ręce od przykrych spraw podatkowych i od wszystkiego, co działo się w Judei. Pożegnał Jerozolimę i powrócił wraz z Bereniką do stolicy swych ziem, do Cezarei Filipowej na stokach gór Hermon, niedaleko źródeł Jordanu. Odtąd ani on, ani jego umiłowana siostra nie byli naocznymi świadkami wydarzeń w mieście. Pilnie wszakże śledzili rozwój wypadków. Niemalże też czynili, by ratować dzieło swego pradziada, króla Heroda Wielkiego, od ostatecznej zagłady. Nigdy jednak nie mieli już ujrzeć ani Jerozolimy, ani Przybytku w ich dawnym, wspaniałym kształcie.

POŻAR PAŁACU BERENIKI

Wkrótce po wyjeździe królewskiej pary rodzeństwa z Jerozolimy doszło tam do wydarzenia bezkrwawego i pozornie mało znaczącego, które jednak stało się formalnym początkiem wojny z Rzymem – a raczej jej wypowiedzeniem.

Eleazar, syn arcykapłana Ananiasza, młody dowódca straży świątynnej, zdołał przekonać niższych kapłanów, aby nie przyjmowali żadnych ofiar od osób pochodzenia nieżydowskiego. W praktyce oznaczało to, że zaniecha się ofiar za pomyślność cesarza i ludu rzymskiego. Dotychczas składano je w świątyni dwa razy dziennie, za każdym razem zabijając przy ołtarzu byka i dwa barany. Wprowadzono ten zwyczaj przed wielu laty na życzenie Augusta. Koszty zakupu zwierząt, bardzo znaczne, pokrywał cesarz – prawdopodobnie w ten sposób, że odtrącano odpowiednia kwotę z podatków należnych skarbowi państwa; ofiarującym był więc obcy.

Zaprzestanie ofiar równało się jawnej deklaracji wrogości wobec Rzymu i jego władcy. Dlatego też przywódcy stronnictwa pokojowego – członkowie Sanhedrynu, wybitni faryzeusze, bogacze – dokładali wszelkich wysiłków, aby skłonić tamtych do cofnięcia prowokującej decyzji. Zwołali zgromadzenie ludu. Odbyło się ono na dziedzińcu zewnętrznym, pomiędzy portykiem Salomona a wspaniałą bramą z brązu, przez który wchodziło się na dziedzińce wewnętrzne Przybytku. Wystąpiło wielu mówców. Wskazywali kolejno, że rozpętywanie wojny to szaleństwo; że przyjmowanie darów i ofiar od obcych było praktykowane w świątyni od pokoleń; że przerywając je obecnie, obraża się Rzym i cesarza. Wzywali do opamiętania i jak najrychlejszego wznowienia ofiar. Przyzwano nawet najuczeńszych kapłanów, którzy publicznie oświadczyli, że przodkowie nigdy nie bronili obcym ofiarowywać Panu.

Wszystko to wszakże nie zdało się na nic – tym bardziej że przywódcy powstańców nawet nie raczyli wziąć udziału w zgromadzeniu przed spiżową bramą. Byli zresztą wtedy szczególnie pewni siebie: właśnie niedawno zdołali nagłym wypadem opanować potężną twierdzę Masadę. Leżała ona u wybrzeży Morza Martwego, w okolicy pustynnej, ustronnej, dzikiej; rozbudował ją i umocnił jeszcze Herod Wielki. Rzymską załogę twierdzy powstańcy wymordowali i sami objęli tam straż.

Członkowie Sanhedrynu i ich sprzymierzeńcy zdali sobie sprawę, że perswazją nie zdołają opanować sytuacji. Przewidywali, że jeśli rzeczy toczyć się będą nadal z tym samym impetem, sami padną w najbliższej przyszłości ofiarą nienawiści mas jako sprzymierzeńcy Rzymian – albo też zostaną ukarani przez tychże Rzymian jako odpowiedzialni za zaburzenia w Jerozolimie. Wysłali więc dwa poselstwa: jedno do Florusa w Cezarei nadmorskiej, a drugie do Agryppy i Bereniki w Cezarei Filipowej. Delegaci tu i tam błagali o przysłanie wojsk, które by siłą przywróciły porządek. Prokurator nie zareagował w ogóle na prośby – może istotnie chciał pogorszenia sytuacji? – król natomiast wyprawił dwa tysiące jeźdźców pod dowództwem Dariusza i Filipa; ten drugi był namiestnikiem twierdzy Gamala.

Dzięki tej pomocy stronnictwo pokojowe zdołało utrzymać się w Mieście Górnym; powstańcy mieli w swym ręku okręg świątynny i Miasto Dolne. Bez przerwy dochodziło do walk ulicznych. Walczono orężem z bliska, ale też strzelano do siebie z proc i łuków. Padło wielu zabitych. Przez kilka dni siły obu stron zdawały się równe; żadna nie zdołała wyprzeć drugiej z zajmowanych pozycji. Zmieniło się to dopiero w dniu 14 miesiąca Ab, a więc w sierpniu, kiedy to obchodzono święto Przynoszenia Drewna; wierni składali szczapy drewna przed ołtarzem, aby ich nie zabrakło przy paleniu ofiar. Do świątyni napłynęli pielgrzymi z różnych stron kraju. Nie brakło wśród nich najbardziej fanatycznych Żarliwych; byli to tak zwani Sykariusze, czyli Sztyletnicy, nosili bowiem noże ukryte pod odzieżą i skrytobójczo, znieacka rozprawiali się z wszystkimi, których uważali za wrogów ludu i świętej sprawy.

Górując nad przeciwnikami liczbą i odwagą, powstańcy zdołali opanować całe Górne Miasto. Zajęli dom arcykapłana Ananiasza oraz pałac Agryppy i Bereniki, czyli dawny pałac Hasmonejczyków. Spalili oba te budynki, tak samo jak i gmach archiwum, gdzie przechowywano wszelkie skrypty dłużne, umowy, spisy podatników. Pożar wzniecono umyślnie, nie tylko ze ślepej nienawiści ku bogaczom; powstańcom chodziło o to, by zyskać sobie poparcie i zaufanie wszystkich zadłużonych – a tych były w ubogiej Judei rzesze ogromne.

Żołnierze Agryppy wycofali się do pałacu Heroda, gdzie przed kilku miesiącami rezydował prokurator Gesjusz Florus. Zamknęli się w jego potężnych murach wraz z rzymską kohortą oraz z kilku przywódcami stronnictwa pokojowego; był wśród nich arcykapłan Ananiasz i jego brat Ezechiasz. Inni członkowie Sanhedrynu i wielmoże, którzy nie zdołali tam się przedostać, szukali ratunku w kanałach i lochach Miasta Górnego.

MESJASZ MENAHEM

Jakkolwiek dzieje wojny zwanej żydowską nie stanowią tematu tej książki – przedstawia ona tylko niektóre jej momenty, łączące się z losami Tytusa i Bereniki – wypada przypomnieć pewne sprawy zarówno ze względu na ich doniosłość historyczną, jak i z tej racji, że charakteryzują atmosferę czasów i psychikę tamtych ludzi. Oto na przykład co wydarzyło się w Jerozolimie już po spaleniu pałacu Agryppy i Bereniki:

Dnia następnego, a więc 15 miesiąca Ab, powstańcy uderzyli na twierdzę Antonia. Stanowiła ona jedyny punkt oporu poza pałacem Heroda, a ważna była dlatego, że – jak się już rzekło – górowała nad dziedzińcami i budynkami świątyni. Garstka rzymskich żołnierzy broniła się przez dwie doby. Wyrżnięto ich w pień, a twierdzę częściowo spalono. Dopiero potem uderzono wszystkimi siłami na pałac Heroda. Atakowano go bez przerwy z czterech stron naraz, z niesłychaną zaciekłością, nie zważając na żadne straty. Obrońcy wszakże stawiali dzielny opór zza potężnych murów.

Podczas tych krwawych walk drużyna powstańców chyłkiem opuściła miasto i szybko połączyła się na południe. Celem wyprawy była niedawno zdobyta twierdza Masada. Dowodził Menahem z Galilei, syn lub wnuk Judy; tego Judy, który uchodził za twórcę ruchu Żarliwych i kierował nim przez wiele lat. Ludzie Judy dokonywali ze swych kryjówek nagłych napadów na rzymskich żołnierzy i urzędników, na bogaczy, obcych i niewiernych. Prowadzili tę małą wojnę podjazdową głównie na ziemiach pogranicznych: w Galilei, za Jordanem, w Idumei. Nieuchwytni i groźni fanatycy działali od czasów Judy nieprzerwanie, choć nie zawsze z tą samą gwałtownością. Byli znienawidzeni i prześladowani przez Rzymian, przez wyższych kapłanów i możnowładców; ci wszyscy nazywali ich bandytami, schwytanych zaś więzili i karali śmiercią na krzyżu. Natomiast ubodzy chłopci, pasterze, rzemieślnicy, a nawet niżsi kapłani darzyli Żarliwych bezgranicznym podziwem i świadczyli im wszelką pomoc, widząc w nich nieustraszonych obrońców wiary, którzy w imieniu Pana karzą obcych najeźdźców oraz niegodnie żyjących bogaczy.

Tak więc już samo pochodzenie czyniło z młodego Menahema jedną z czołowych postaci w ówczesnej Judei. A wyprawiając się do Masady, dowiódł, że odziedziczył po Judzie także jego energię, odwagę, pomysłowość. Wtargnąwszy bowiem samowolnie do twierdzy, włamał się do tamtejszej zbrojowni Herodowej i zagarnął cały oręż wraz z drogocennymi szatami wielkiego władcy. Wracał ze swoją drużyną do Jerozolimy niby król. Odziany w purpurę, jaśniejący srebrem i klejnotami, wiódł orszak rycerzy w świetnych zbrojach, rwący oczy jaskrawymi barwami płaszczów. Nieprzejrzone tłumy wyległy na ulice miasta i nawet przed bramy, witając Menahema nie tylko jako zwycięzcę, lecz wręcz jako prawdziwego i prawowitego króla. Więcej! Pozdrowiały go entuzjastycznie i z uniesieniem jako z dawna oczekiwanego Mesjasza; tego, którego przyście głosili i zapowiadali prorocy już przed wiekami. Oto wreszcie przybywa w tej wielkiej chwili dziejowej, aby wyprowadzić swój lud z domu niewoli, położyć kres jego cierpieniom, dać mu zwycięstwo, pokój, panowanie, niebiańską błogość na ziemi!

Chyba niewielu było ludzi w całej ówczesnej Jerozolimie, którzy mieliby tyle niezależności myślowej, tyle rozeznania i odwagi, by traktować te mesjańskie nadzieje tak, jak na to zasługiwały: jako rodzaj zbiorowego obłędu. Biorąc pod uwagę, że historia ludzkości jest przede wszystkim historią jej schorzeń psychicznych i szaleństw, można by oczywiście i to zjawisko zrozumieć, zanalizować, usprawiedliwić. Wypada wszakże dodać, że jak każda choroba, tak i ta miała w swej istocie tendencje do rozprzestrzeniania się i pojawiania w krajach i czasach bardzo odległych od Menahemowej Palestyny.

JULIAN: SPÓR O MESJANIZM

Zawsze byłem tego zdania, a nie wahałem się powiedzieć tego Krasińskiemu w oczy. Pamiętam jedną rozmowę, jaką z nim miałem na ten temat. Było to w Paryżu, w roku 1858. Mieszkalem przy Quai d'Orléans, nie tam gdzie Biblioteka Polska, ale nieco bliżej Notre Dame. Krasiński bywał u mnie... Otóż raz zgadało się o mesjanizmie w ogóle, a jego mesjanizmie w szczególności. Nie chcąc prawdy obwijać w bawełnę, oświadczyłem mu po prostu, gdy mię w tej materii zagadnął, że o ile go wielbię jako poetę, o tyle jestem przeciwny jego przedświtowym teoriom i utopiom:

– Co tu wmawiać w ludzi nieszczęśliwych, rozbitych, skołatanych, zdemoralizowanych, tracących grunt pod nogami, osaczonych ze wszystkich stron, pozbawionych bytu politycznego, że są narodem wybranym, że są Chrystusem narodów, że w nich jest zbawienie ludzkości! Tylko się ich tym bałamuci, bo zamiast pracować, zamiast myśleć o poprawie swego losu, zamiast uczyć się i wyrabiać na dzielnych obywateli, starać się o to, ażeby byli lepsi, niż byli ich ojcowie, którzy przetrwonili ojczyznę i niepodległość polityczną, będą stali z założonymi rękami i jeszcze się będą pysznili swą Chrystusowością, swoją rolą boskich wybrańców, swoją moralną wyższością nad innymi narodami, swoją „nadeuropejską” cnotą. Dlatego uważam, że jest to teoria demoralizująca po prostu, bo jest wmawianiem rzeczy, których się ludziom w ogóle, a nam Polakom w szczególności wmawiać nie powinno. Powinno się im mówić prawdę nagą, rzetelną, szczerą prawdę, która niech boli, jak chce, ale zawsze jest najskuteczniejszym lekarstwem na wszelkie wady i ułomności. Powinno się im wskazywać ich wady, żeby się ich pozbyć starali, bo tylko znając swoje ułomności, można się poprawić moralnie, można im przeciwdziałać.

Słowa te, wypowiedziane z całą szczerością i siłą przekonania, zrobiły większe wrażenie na Krasińskim, niż mogłem przypuszczać. Słuchał ich, siedząc, ale gdy skończył, powstał, a widać było, jak był głęboko poruszony, zaczął się nerwowym krokiem przechadzać po pokoju, jakby walczył sam z sobą, aż w końcu podszedł do mnie, ujął mię za rękę i rzekł głosem, zdradzającym silne wzruszenie:

– Mylisz się! Tak nie jest. Jeśli kobiecie upadłej, występnej, zdemoralizowanej, zepsutej i lekkomyślnej, ale nie zepsutej doszczętnie, nie zdemoralizowanej zupełnie, często bolejącej z powodu swej lekkomyślności, żałującej swych grzechów, z których byłaby skłonną poprawić się, zaczniesz prawić o jej upadku, zaczniesz wyliczać jej grzechy i występki, rozwodząc się nad jej życiem zdrożnym, i niemoralnym, to jaki skutek osiągniesz, jaki wpływ na nią takim mówieniem jej nagiej i bezwzględnej prawdy wywrzesz? Oto zdemoralizujesz ją do reszty, znieprawisz całkowicie i zamiast ją ratować z przepaści, jeszcze ją zepchniesz na samo dno upadku i niesławy. Bo kiedy jej odsłonisz całą grozę położenia, całą ohydę brudu i błota, w które zabrnęła, całą niesławę, którą się okryła, wtedy ona zwątpi o sobie, uwierzy, że upadłszy tak nisko, może tylko staczać się jeszcze głębiej, że znalazłszy się na tej pochyłości już nie ma możliwości cofnięcia się, i będzie straconą na zawsze, już się nie poprawi, bo zwątpi o możliwości ekspiacji, stanie się niezdolną do skruchy. Inaczej się stanie, gdy w taką kobietę upadłą, ale nie pozbawioną instynktów szlachetnych, zaczniesz wmawiać, że w niej jest świętość, którą ona tylko zbrukała swym lekkomyślnym i występnyim prowadzeniem, że jest aniołem, tylko z zabłoconymi skrzydłami, że jeśli upadła, to tylko dlatego, że ją do upadku popchnęły gorsze od niej, występniejsze, nie mające tej świętości i cnoty, które jeszcze i teraz nie wygasły w jej łonie, jeszcze się tlą pod popiołem zepsucia, ale rozdmuchane skruchą i opamiętaniem, jeszcze są zdolne buchnąć najczystszyim płomieniem świętości... Gdy jej tak prawić będziesz, wtedy ja wprowadzisz na drogę poprawy, wtedy w niej nie zbudzisz zwątpienia o sobie, wtedy oddziałasz na jej szlachetniejsze instynkty: uwierzy w swą cnotę, uwie-

rzy, że jeszcze może być uczciwą kobietą, że jeszcze może wybielić swe anielskie skrzydła, i będzie uratowana.¹¹

Tymi to słowy opowiadał Julian Klaczko swoją paryską rozmowę z Zygmuntem Krasieńskim. Opowiadał ją popołudniem 27 lutego roku 1897 – dzień był słoneczny, bezchmurny, niebo błękitne, czuło się już dech wiosny – w swym domu krakowskim; pałacyk ów stoi do dziś dnia, służąc po odnowieniu za Pałac Ślubów, na rogu ulicy Smoleńsk i Straszewskiego, nieco cofnięty, otoczony mizernym ogródkiem. Gościem Klaczki był Ferdynand Hoesick; co od starca usłyszał, wiernie spisał i po latach ogłosił w jego biografii.

¹¹ F. Hoesick, *Julian Klaczko*, Warszawa 1934, s. 345 – 346.

EMIGRACJA DO PELLI

A jak patrzyli na Mesjasza Menahema ci, którzy wierzyli i głosili, że prawdziwy Mesjasz już się objawił, i to dawno, bo za życia poprzedniego pokolenia? Urodził się mianowicie – tak opowiadali wyznawcy Jezusa, zwanego też z grecka Chrystusem – kiedy w Judei panował jeszcze Herod Wielki, pradziad Agryppy II i Bereniki, a cesarzem rzymskim był August; został zaś ukrzyżowany przed przeszło trzydziestu laty, gdy namiestnictwo Judei sprawował Poncjusz Piłat, a w Imperium wadał cesarz Tyberiusz. W ciągu trzydziestu lat od śmierci Mesjasza Jezusa liczba wierzących weń rosła stale, głównie jednak poza Judeą, dzięki ofiarnej działalności misyjnej jego uczniów. W samej natomiast Jerozolimie położenie młodej gminy przedstawiało się źle. Członkowie jej cierpieli częste prześladowania, i zarówno ze strony wyższych kapłanów, jak i prostego ludu. A przecież właśnie tu, w Jerozolimie, chrześcijanie przestrzegali z przykłądną gorliwością wszystkich przykazań Zakonu! Mimo to uważano ich za odszczepieńców. Twierdzono nieustępliwie, że należy się im surowa kara i wykluczenie ze społeczności.

Była już mowa o tym, że Jakuba, syna Zebedeuszowego, ścięto na rozkaz króla Agryppy I, ojca Bereniki. Stało się to zapewne w roku 42. W jakieś dwadzieścia lat później spadł na kościół jerozolimski cios jeszcze sroższy. Jego ówczesny przywódca, Jakub zwany Sprawiedliwym, brat Pański, został ujęty przez arcykapłana Annasza. Był to zapewne rok 62. Prokurator Festus – ten, który swego czasu przesłuchiwał w Cezarei nadmorskiej Pawła w obecności Agryppy i Bereniki – właśnie zmarł, a nowy namiestnik jeszcze nie przyjechał. Ten to moment wyzyskał arcykapłan, aby skutecznie rozprawić się z głową schizmatyckiego ruchu. Dążył do tego tym bardziej, że Jakub cieszył się w całym mieście opinią człowieka wielkiej świętobliwości. Starzec żył od lat jakby złożył wieczny ślub nazyrejski, i to w jego najostrzejszej formie. Nie pił wina; nie jadał mięsa; nie postrzygał się, nie namaszczał oliwą, nie obmywał; nosił tylko lniane szaty, a całe dni spędzał na klęczkach w świątyni; powiadano, że od ustawicznych modłów kolana zgrubiały mu jak wielbłądowi.

Postawiony przed arcykapłanem Jakub nie zaparł się swego Mesjasza, mimo wszelakich namów i mimo gróźb coraz ostrzejszych. Zaprowadzono go wreszcie na balkon nad portykiem Salomona, u południowego naroża, i stamtąd zepchnięto w dół, w przepaściste urwisko Cedronu. Nie zginął jednak od razu. Jeszcze usiłował się podnieść. Posypały się nań kamienie, a potem ktoś z tłumu podbiegł i dobił starca ciężkim wałkiem foluszniczym.

Annasz postąpił nie tylko okrutnie, lecz także wbrew prawu ustanowionemu przez Rzymian; zakazywało ono karać śmiercią kogokolwiek bez zgody namiestnika. Oczywiście arcykapłan ufał, że śmierć Jakuba pójdzie w niepamięć, nim zjawi się nowy prokurator; gdyby zaś rzecz się wydała, zamierzał tłumaczyć się po prostu tym, że w danym momencie nie miał się do kogo odwołać, a działać musiał szybko i skutecznie, by uniknąć groźnych rozruchów. Pomylił się jednak w swych rachubach. Prokurator – zwał się Albinus – był już w drodze z Aleksandrii. Wrogowie arcykapłana, których nie brakowało w Jerozolimie, dołożyli starań, by Rzymianin dowiedział się jak najrychlej o okolicznościach zgładzenia Jakuba; równocześnie wysłali potajemną skargę do króla Agryppy. Albinus bardzo surowo zgromił Annasza w liście, król zaś złożył go z arcykapłaństwa, choć godność tę sprawował zaledwie trzy miesiące.

Nieliczna gmina żydowsko-chrześcijańska – bo taką była ona w istocie, w odróżnieniu od gmin powstających poza Palestyną, które odrzuciły ciężar Zakonu – nie powróciła już do sił po szoku wywołanym męczeństwem Jakuba. Tymczasem już w roku 66 przyszedł szok nowy: zaburzenia polityczne i krew na ulicach Jerozolimy, walki z Rzymianami, widmo wielkiej wojny, groza powszechnej katastrofy. Równocześnie zaś do świętego miasta napływały tłumy fanatyków z całego kraju, witając Mesjasza w osobie Menahema! To prawda, że jego rządy i

światność miały trwać bardzo krótko. Jednakże dla wyznawców Mesjasza Jezusa było to napomnieniem i wskazówką, by nie wiązać żadnych nadziei z tą Jerozolimą, która ich odpycha. Nadszedł więc czas – jeszcze w tym samym roku lub w następnym – kiedy starsi gminy ogłosili, że jest wolą bożą, aby wszyscy prawdziwie wierzący jak najrychlej opuścili miasto skazane na zagładę i przenieśli się do Pelli, greckiej osady za Jordanem. Tak się też stało.

BITWA O PAŁAC HERODA

Wracając wszakże do Menahema:

Natychmiast po swym triumfalnym powrocie z Masady król-Mesjasz stał się faktycznym przywódcą powstania, usuwając w cień wszystkich innych – nawet Eleazara, który dotychczas kierował walkami. Miał za to wkrótce drogo zapłacić; budził bowiem nienawiść ambitnych rywali w tym samym stopniu, w jakim wywoływał bałwochwalczy podziw wśród mas.

Ustawiczne szturmowanie na pałac Heroda nie dawało żadnych rezultatów; potężne mury kruszyć by można tylko machinami, a tych w Jerozolimie nie było. Menahem wpadł jednak na pomysł, by dostać się do środka przez podkopy. Poprowadzono więc długi korytarz aż pod fundamenty jednej z wież; wsparło je belkami, które następnie podpalamo. Wieża zachwiała się i runęła – ale ku zdumieniu i wściekłości oblegających tuż za jej gruzami ukazał się, gdy tylko opadła chmura pyłu, mur nowy! Obrońcy zbudowali go z gorączkowym pośpiechem właśnie wtedy, gdy ludzie Menahema ryli podkopy; wstrząsy bowiem, odgłosy pracy i drżenie murów, nieuniknione przy takich robotach, wnet zdradziły, co się dzieje pod ziemią.

Tak więc ku rozpaczy powstańców wszystko wypadało zaczynać od nowa! Na szczęście dla nich żołnierze króla Agryppy byli równie wyczerpani walkami; nie wierzyli w skuteczność dalszego oporu, cierpieli dotkliwie braki w zaopatrzeniu, a wielu z nich będąc Żydami, całym sercem sprzyjało przeciwnikom. Rozpoczęły się rozmowy. Menahem przyrzekł uroczyście, że pozwoli im bezpiecznie opuścić pałac, jako że są Żydami i krajanami. Zastrzegł się wszakże, iż układ obejmie tylko ich samych. I rzeczywiście: gdy żołnierze Agryppy wychodzili zza murów, nikt nie podniósł na nich ręki.

Pozostawieni sami sobie Rzymianie znaleźli się w wielkim niebezpieczeństwie. Było ich tylko kilkuset, nie mogli więc nawet myśleć o obronie dotychczasowych kwater i długich murów pałacowych. Pospiesznie wycofali się z zajmowanych pozycji i obsadzili trzy najpotężniejsze wieże, zwane, jak była już mowa, Hippikos, Fazael, Mariamme. Wszystko to działo się tak szybko i bezładnie, w obliczu już wdzierających się nieprzyjaciół, że wielu żołnierzy nie zdołało się wycofać; tych powstańcy wyrznęli na miejscu. Zrabowali też składy zaopatrzenia i podpalili dawne kwatery Rzymian.

Nazajutrz ludzie Menahema przystąpili do jak najdokładniejszego przeszukiwania całego terenu pałacowego. Zaglądali nawet do podziemnych kanałów, doprowadzających wodę do ogrodowych basenów i fontann. Stamtąd to wyciągnęli arcykapłana Ananiasza. Poniósł śmierć wraz ze swym bratem Hezekiaszem.

Był to dzień 7 Elul, a więc według naszego kalendarza koniec sierpnia lub początek września.

TYRAN MENAHEM

Zasługę i chwałę zwycięstwa Menahem przypisywał wyłącznie sobie. Zachowywał się jak srogi tyran; twardą ręką sprawował rządy w mieście, bezlitośnie prześladowając wszystkich podejrzanych o ustępliwość wobec Rzymian. Do podejrzanych o to należał również Józef syn Matiasza, późniejszy historyk wojny, znany jako Józef Flawiusz; przydomek ten miał przybrać dopiero po kilku latach.

Józef pochodził ze znakomitej rodziny kapłańskiej, a przez matkę nawet z królewskiej dynastii Hasmoneuszów, tej, która panowała nad Judeą przez cały wiek, aż do czasów Heroda Wielkiego. Był jeszcze stosunkowo młody, dopiero dobiegał trzydziestki, lecz już położył pewne zasługi. W roku 64 wyjechał z własnej inicjatywy do Rzymu; tam znalazł dostęp do Poppei Sabiny i dzięki niej uzyskał od Nerona uwolnienie kilku kapłanów, których uwięził i z jakiejś tam przyczyny wysłał do Italii jeszcze Feliks, szwagier Bereniki; cesarzowa, zawsze przychylna Żydom i wielce bogobojna, hojnie go również obdarowała. Gdy powrócił do Jerozolimy wiosną roku 66, stał się naocznym świadkiem wydarzeń, które przedstawiliśmy powyżej głównie w oparciu o jego relację. O tym, czego sam wtedy doświadczył, Józef tak pisał w swej autobiografii:

„Natrafiłem na początki rebelii, kiedy to mnóstwo ludzi pragnęło oderwać nasz kraj od Imperium. Usiłowałem powściągnąć buntowników. Nawoływałem, by dobrze sobie uzmysłowili, z kim chcą wojować. Nie mogą przecież równać się z Rzymianami ani pod względem umiejętności wojskowych, ani też łask przychylnego losu. Nie mają więc prawa tak pochopnie i lekkomyślnie narażać swych miast, rodzin, siebie samych na śmiertelne niebezpieczeństwo! Niczego jednak nie osiągnąłem. Ludzi tych, zupełnych desperatów, ogarnęło istne szaleństwo.

Ponieważ wciąż powtarzałem swe poglądy, zacząłem się obawiać, że ściagnę na siebie nienawiść i podejrzenie o zdradę. Gdyby schwytali mnie powstańcy, groziłaby mi śmierć niechybna. Ukryłem się więc, i to w samym środku świątyni; bo twierdzą Antonie powstańcy opanowali już wcześniej.”¹²

Głównym oparciem Menahema byli prości wieśniacy i pasterze, napływający do Jerozolimy nawet z bardzo odległych okolic. Jednakże butne zachowanie się tych nieokrzesanych fanatyków, skłonnych do zwad, bójek i rabunków, wywoływało niechęć i tajony gniew ludności miejskiej oraz kapłanów. Witano entuzjastycznie Mesjasza Menahema, triumfalnie powracającego z Masady; ale już po kilkunastu dniach nastroje zaczęły się zmieniać, a w niektórych środowiskach stały się wręcz wrogie. Nienawidził Menahema przede wszystkim Eleazar, usunięty przezeń ze stanowiska przywódcy ruchu.

Eleazar nie uczynił nic, aby bronić swego ojca, arcykapłana Ananiasza, i stryja Hezekiasza. Milczał, gdy ich wyciągano z kanałów wodociagowych w dawnym pałacu Heroda. Z kamiennym wyrazem twarzy przyglądał się egzekucji. Uratować ich i tak by nie zdołał, okazał zaś przez tę pozorną obojętność na los najbliższych, że gotów poświęcić wszystko dla dobra świętej sprawy. Zacząto więc głosić po mieście, że bojownik to równie nieustępliwy, co i najgorliwsi spośród Żarliwych – a przy tym człowiek swój, z Jerozolimy. Stali za Eleazarem prawie wszyscy kapłani i niemal cała ludność stolicy. Nawet wielcy panowie, z gruntu przeciwni wojnie, byli zdania, że jest on mniej groźny od Menahema.

Na tajnych zebraniach wołano, że nie po to podniesiono broń przeciw Rzymianom, aby obecnie niewolniczo uginać karku przed tyranem, człowiekiem z pospólstwa. Niektórzy oświadczaali wprost:

¹² Józef Flawiusz, *Żywot własny*, 17 – 19.

– Jeśli dobro sprawy wymaga, by jeden tylko stał na czele, niechże przewodzi ktokolwiek, byle nie Menahem!

Postanowiono dokonać zamachu w momencie, kiedy tyran najmniej będzie się tego spodziewał.

Było to w kilka dni po zdobyciu pałacu Heroda, a w każdym razie jeszcze przed połową miesiąca Elul. Menahem, przyodziany w królewskie szaty, udawał się w otoczeniu swej drużyny do świątyni na modły. Gdy orszak znalazł się na dziedzińcu zewnętrznym przed wejściem do Przybytku, a więc przed portykiem Salomona, pośrodku ogromnej cizby ciekawych, zniemacka uderzyli z mieczami w rękę ludzie Eleazara. Drużynnicy usiłowali stawiać opór. Kiedy jednak tłum przybrał wrogą postawę i zaczął ciskać kamieniami, rozpierzchli się natychmiast. Schwytanych zabijano bez sądu. Na ukrywających się polowano, jakby byli zwierzyną. Tylko nieliczni zdołali zbiec do Masady. Tym przewodził Eleazar, syn Jaira, krewny Menahema.

On zaś, król i Mesjasz, przez jakiś czas tchórzliwie siedział w rozpadlinach wzgórza świątynnego. Gdy go odnaleziono, zginął po straszliwych torturach. Natomiast Józef, syn Matiasza, mógł wreszcie opuścić świątynię; znowu zaczął przestawać z wysokimi kapłanami i przywódcami stronnictwa faryzeuszów.

TRZY WIEŻE

Jeśli niektórzy z atakujących Menahema i jego drużynę żywili cichą nadzieję, że obalając tyranię samozwańczego króla doprowadzą do stłumienia rebelii, srodze się zawiedli. Zwycięskie ugrupowanie Eleazara wzywało do jeszcze bezwzględniejszej walki przeciw Rzymianom, chciało bowiem okazać, że potrafi przewyższyć sukcesy fałszywego Mesjasza. Toteż choć w mieście tu i ówdzie odzywały się głosy, by przerwać oblężenie trzech wież pałacowych i puścić ich załogi wolno, powstańcy, głusi na wszelkie słowa rozsądku, szturmowali tym zacieklej. Po kilku dniach obrońcy wież, nie mając już żywności i wody, zrozumieli, że kres oporu bliski. Rozpoczęli pertraktacje. Prosilili tylko o to, by pozwolono im odejść żywym i całym; godzili się pozostawić broń i wszystko, co posiadają. Pełnomocnicy powstańców udali się do obleganych i zaprzysięgli układ, podając ręce rzymskiemu dowódcy, Metiliusowi.

Rzymianie wyszli ze swych wież. Dopóki trzymali broń w rękę, zgromadzone wokół zastępy powstańców stały spokojnie i w głuchym milczeniu. Żołnierze odłożyli swe miecze i tarcze w miejscu wskazanym i już się rozglądali, którzydy by jak najspieszniej opuścić miasto. Ale w tejże chwili na dany znak ludzie Eleazara runęli na nich z wszystkich stron naraz. Tamci, bezbronni i zaskoczeni, krzyczeli rozpaczliwie do tchu ostatniego:

– Układ! Przysięga!

Wyrżnięto kilkuset ludzi w pień. Uratował się tylko jeden – Metilius. Poniżył się do nędznych próśb i błagań. Wołał wielkim głosem, że chce być Żydem i da się obrzezać. Ale nie dlatego darowano mu życie. Powód łaski był inny: przecież to właśnie jemu pełnomocnicy podali rękę, utwierdzając przysięgę! Formalnie więc można było wywodzić, że układ został dotrzymany, skoro ten, któremu rękę uściśnięto, jest żywy i cały.

Wszelako ten śmieszny wybieg nie przekonał nikogo nawet w Jerozolimie. W istocie stało się coś straszliwego i nieodwracalnego. Nie było chyba człowieka w mieście, który nie zdałby sobie sprawy, że nie ma już odwrotu. Wymordowano zdradziecko bezbronnych żołnierzy rzymskich – i to właśnie nie tych, którzy przed kilku miesiącami, w maju, pacyfikowali Górne Miasto! Rzucono wyzwanie Imperium panującemu nad światem! Było wręcz nie do pomyślenia, aby nie wzięło ono pomsty.

Wojna jest nieunikniona; to rozumieli teraz wszyscy. W wielu domach, zwłaszcza zamożniejszych, panował nastrój nie radości i triumfu, lecz żalobnego przygnębienia. Ludzie zaś pobożni biadali głośno, że dopuszczono się rozlewu krwi w sobotę, kiedy to wolno tylko się modlić, zakazana zaś jest wszelka praca i jakkolwiek wysiłek; grzechem jest także walka, chyba że chodzi o obronę własnego życia przed bezpośrednim zagrożeniem. Czymże jednak można było usprawiedliwić użycie broni w tym wypadku, skoro Rzymianie odłożyli swe miecze? Prorokowano więc, że to bezbożne pogwałcenie szabatu grozi straszliwym nieszczęściem dla całego miasta i ludu.

OD SYRII PO EGIPT

Rzezi Rzymian dokonano w dniu 17 miesiąca Elul, a więc już we wrześniu. Odtąd wypadki zaczęły się toczyć prawdziwie jak lawina.

W miastach Palestyny, Syrii, Fenicji, a nawet w egipskiej Aleksandrii wybuchły krwawe rozruchy. Początek dała Cezarea nadmorska. Podobno już w dniu 17 Elul tamtejsza ludność syryjska i grecka ruszyła na dzielnicę żydowską, wymordowując w krótkim czasie wiele tysięcy osób. Komu udało się ująć z życiem z masakry, wpadał w ręce żołnierzy Florusa; zakuty w kajdany szedł do więzienia w dokach okrętowych. Aby pomścić rzeź cezarejską, Żydzi rzucili się w Palestynie i w krajach pogranicznych na miasta i wsie, zamieszkałe częściowo przez Greków i Syryjczyków. Palili domy, całe dzielnice i osiedla, ludność wyrzynali. Tak działo się w niektórych miastach na wschód od Jordanu, tak też na zachód od tej rzeki, tak wreszcie na równinie nadmorskiej, w Gazie, Antedonie i Aszkalonie, oraz w okolicach fenickiego Tyru. Tam jednak, gdzie ludność grecka i syryjska przeważała, ofiarą jej padali właśnie Żydzi. Przy sposobności tu i ówdzie wyrównywano sąsiedzkie porachunki, napadając na sąsiadów, zagarniając ich ziemie i dobytek. Każda osada była podzielona na dwa obozy, zarazem dyszące nienawiścią ku sobie i drżące ze strachu, a jedyny ratunek dla siebie upatrujące w uprzedzeniu napaści strony przeciwnej.

Józef syn Matiasza pisze:

„Miasta pełne były ciał nieopogrzebionych. Trupy starców i dzieci leżały rzucone obok siebie; także i zwłoki niewieście, z odkrytą sromotą. W całej prowincji działy się rzeczy potworne i nie do opowiedzenia a jeszcze gorszy od tego, na co już się ośmielano, był lęk przed tym, co może się zdarzyć w przyszłości.”¹³

Tylko nieliczne duże ośrodki miejskie nie dopuściły do rozruchów; w Syrii należała do nich Antiochia i Apamea, w Fenicji Sydon, a na wschód od Jordanu Geraza. Natomiast do bardzo groźnych zaburzeń doszło w Aleksandrii.

Tamtejsza kolonia żydowska była ogromna, liczyła z pewnością dużo ponad sto tysięcy osób. Utarczki z Grekami zdarzały się często i od dawna, nie sposób zaś było ustalić, którą ze stron obciąża większa odpowiedzialność za wrogość obopólną i wciąż narastającą. Wieści o wypadkach w Palestynie i Syrii oczywiście wpłynęły podsycająco na wzajemne podejrzania i obawy. I oto właśnie w dniach tego napięcia Grecy zwołali wielki wiec w amfiteatrze miejskim!

Celem zgromadzenia było powzięcie uroczystej uchwały o wyprawieniu posłów do cesarza Nerona. Wiedzano już o jego podróży do Grecji; nie było też tajemnicą, że pragnąłby on następnie odwiedzić Egipt; delegacja więc miała oficjalnie zaprosić władcę do Aleksandrii. Żydzi wszakże podejrzewali, że sprawa poselstwa do Nerona to tylko pretekst, prawdziwym zaś przedmiotem obrad będzie coś zupełnie innego, a mianowicie przygotowanie napaści na ich dzielnicę. Z tego to powodu wśliznęło się do amfiteatru – choć zapowiedziano urzędowo, że jest to zebranie ludności wyłącznie greckiej! – sporo młodych Żydów. Gdy ich rozpoznano, podniosły się wrogie krzyki, że to szpiedzy. Tłum rzucił się na intruzów. Większości udało się uciec, trzech jednak Grecy schwytali i chcieli na miejscu spalić żywcem. Ruszyła im wówczas na ratunek cała ludność żydowska, wrzeszcząc i wyjąc, wymachując płonącymi żagwiami i miotając kamienie. Gdyby rzeczywiście udało się podpalić amfiteatr – budowany co prawda z kamienia, lecz mający sporo części drewnianych – doszłoby do niesłychanej katastrofy, która w konsekwencji musiałaby doprowadzić do wzajemnej rzezi i ogromnych zniszczeń w całym mieście.

¹³ Józef Flawiusz, *Wojna żydowska*, II 465.

Urząd prefekta Egiptu sprawował wówczas Tyberiusz Juliusz Aleksander. Był to rodzony brat owego Marka Juliusza Aleksandra, który przed laty poślubił Berenikę, młodzieńką wówczas dziewczynę, jako jej pierwszy mąż, zmarł jednak tuż po zawarciu małżeństwa, pozostawiając wdowę-dziewicę. Podobnie jak Marek, Tyberiusz był Żydem z pochodzenia, Grekiem z wykształcenia, Rzymianinem z obywatelstwa i przekonań. Służył w armii rzymskiej, piastował różne godności i funkcje, za Klaudiusza przez pewien czas nawet namiestnictwo Palestyny. Prefektem Egiptu został przed kilku miesiącami, w maju; gratulacje składał mu wówczas osobiście sam król Agryppa, który wyjechał w tym celu do Aleksandrii, pozostawiając Berenikę w Jerozolimie, gdzie pragnęła spełnić swój ślub nazyrejski.

Z rozkazu tego to prefekta drogę tłumowi Żydów zastąpiło kilku wysokich urzędników, wzywając atakujących, by się opamiętali i nie ściągali na siebie straszliwych nieszczęść. Jednakże słowa te powitano kpinami i szyderstwami, nie szczędząc nawet osoby samego namiestnika.

Aleksander wprowadził wówczas do akcji dwa legiony, stojące w pobliżu miasta, a także dwa tysiące żołnierzy, niedawno przybyłych z Libii. Oddziały te ruszyły do szturmu na wielką dzielnicę żydowską; otrzymały wyraźny rozkaz zabijania opornych, a także grabienia i palenia domów – wszystko po to, by rzucić postrach. Żydzi początkowo usiłowali się bronić na ulicach i po obu stronach padło sporo zabitych. Jednakże świetnie uzbrojonym i wyćwiczonym żołnierzom nie tak trudno przyszło przełamać desperacki opór bezładnej cizmy, walczącej tylko kamieniami i drągami. Rzymianie przystąpili do pacyfikacji, nie szczędząc nikogo po drodze. Ofiarą rzezi padło tysiące ludzi, w większości całkowicie niewinnych. Dopiero wtedy udało się przebłagać prefekta, aby rozkazał żołnierzom powrócić do obozów. Karni legionieści natychmiast otarli miecze z krwi, lecz motłoch grecki jeszcze długo szalał wśród rozwalonych domostw i po ulicach pokrytych trupami, rabując co tylko się dało i pastwiąc się nad rannymi.

PRZYGODY FILIPA

A co się działo w tym czasie z Agryppą i Bereniką? Jakim echem odbiły się owe wydarzenia na ziemiach, którymi władali? Ich kraje leżały przecież na pograniczu syryjskim, zamieszkałe zaś były przez ludność mieszaną, różnojęzyczną, o odmiennych wierzeniach!

Praca we wszystkich kierunkach fala rozruchów wdarła się i w te strony. Wiadomości o tym są skąpe, lecz interesujące; zachowała się bowiem opowieść o przygodach człowieka, który skutkiem niezwyklego zbiegu okoliczności odegrał ważną rolę w wypadkach tamtejszych. Był nim Filip. Ten sam, który przywiódł do Jerozolimy żołnierzy Agryppy, aby pomóc żywiolom umiarkowanym w walce z powstańcami; potem bronił się przez czas jakiś w pałacu Heroda, ale zawarł układ z Menahemem i opuścił jego mury wraz ze swymi ludźmi; Rzymianie, pozostawieni sami sobie, zamknęli się wówczas w trzech najpotężniejszych wieżach. Mimo układu Filip rychło znalazł się w niebezpieczeństwie, jako że powstańcy jawnie dybali na jego życie. Uratował się tylko dzięki pomocy swych krewnych, mieszkających stale w Babilonii, a przybyłych do Jerozolimy w nabożnej pielgrzymce. Piątego dnia po wyjściu z pałacu zdołał uciec z miasta, w przebraniu jednak i z przyprawionymi włosami. Zmierzał prosto na północ, w górę Jordanu; tam, na wschód od jeziora Genezaret, w krainie Batanea, stała twierdza Gamala, której był komendantem; podlegały mu również ziemie okoliczne.

Jednakże do Gamali nie doszedł. Wstrząśnięty wydarzeniami, których był świadkiem, utrudzony drogą i niewygodami, osłabiony atakiem febry, zatrzymał się w małej wiosce – co prawda już w granicach swego okręgu. Sądził, że tutaj może bezpiecznie odpoczywać. Wysłał więc przez zaufanych dwa listy: jeden wprost do Gamali, aby go tam przewieziono, drugi zaś do Cezarei Filipowej, do Agryppy i Bereniki.

Jednakże ci już opuścili swoją rezydencję. Król i jego siostra wyjechali najpierw do fenickiego Berylu, stamtąd zaś dalej, do Antiochii; chcieli porozumieć się z namiestnikiem Syrii. Zarząd nad swymi ziemiami Agryppa powierzył niejakiemu Warusowi. Był to Syryjczyk znakomitego rodu, spokrewniony nawet z pewną dynastią książęcą. Ambicji mu nie brakowało, obecny zaś zamęt w całej Palestynie pozwalał żywić najśmielsze nadzieje. Warus więc roił sobie, że zdoła wykroić nawet udzielne księstwo – oczywiście kosztem Agryppy i Bereniki, których nienawidził skrycie od dawna.

Wicekról – bo tak by go trzeba nazwać – był przekonany, że Filip i jego ludzie zginęli w Jerozolimie lub też poszli tam do niewoli. Niespodziewane przybycie posłańca z listem groziło zniweczeniem pięknych planów; Filip, wysoki dostojnik, komendant ważnej twierdzy, zaufany króla, umiałby przeszkodzić zdradzie. Jednakże Warus nie stracił głowy. Postawił oddawcę listu przed wiecem ludu Cezarei. Wołał wielkim głosem i z najświętszym oburzeniem, że oto udało się schwytać sprzedawczyka i fałszerza:

– Ten bezczelny kłamca opowiada, że Filip przystał w Jerozolimie do Żydów i razem z nimi walczy teraz przeciw Rzymianom!

W ten sposób Warus za jednym zamachem osiągnął dwa cele: rzekomo dementując oszczerczą plotkę, wzbudzał podejrzenie, że Filip sprzeniewierzył się królowi, a równocześnie czynił go osobą nienawistną cezarejczykom, bo stojącą po stronie Żydów. Posłańca rozkazał natychmiast zabić. Ziarno fałszywych pogłosek, umiejętnie rzucone na dobrą glebę, pięknie wykiełkowało; wkrótce nikt już nie wiedział, co jest prawdą, a co kłamstwem. Tym bardziej że z Jerozolimy przychodziły wiadomości mocno spóźnione, niepełne, zniekształcone. Filip, wciąż słabujący w małej wiosce, niecierpliwił się i kłopotał. Pchnął do Cezarei następnego gońca z listem; również ten wpadł w ręce Warusa i przepadł bez wieści. Wicekról wszedł już w porozumienie z syryjskimi obywatelami miasta. Ci, niechętni Agryppie, jeszcze go podtrzymywali w śmiałych zamysłach; zapewniali, że jakkolwiek będzie obrót spraw,

Agryppa musi upaść i straci swe ziemie, bo albo Rzymianie obalą go jako Żyda, albo powstąnczy jako sojusznika Rzymian!

Zamknięto bramy Cezarei i przerwano wszelkie kontakty z Antiochią. Zabito wiele wiernych królowi osób. Próbowano opanować jedno z miast w Batanei, co jednak się nie powiodło; ludność ostrzeżona w porę uciekła do Gamali.

Do twierdzy tej przybył też wreszcie Filip; gdyby pozostawał w wiosce dłużej, pewnie nasłano by nań skrytobójców.

Niektórzy chcieli, by natychmiast ruszył na Cezareę i wyrznął ludzi głoszących tam, że król Agryppa nie żyje. Filip wszakże oparł się tym zapędom. Tymczasem wieści o wszystkich tych wydarzeniach dotarły do Antiochii, do Agryppy i Bereniki. Warusa natychmiast złożono z urzędu, a jego następcą mianowano niejakiego Modiusa, Rzymianina.

WYPRAWA AGRYPPI I CESTIUSZA GALLUSA

Przez cały ten czas, jak się już powiedziało, król Agryppa i Berenika przebywali najpierw w fenickim Berycie, potem zaś w syryjskiej Antiochii. Dopiero tam, po gorączkowych naradach z namiestnikiem Cestiuszem Gallusem, zapadła decyzja, że zbrojna interwencja w Palestynie, i to jak najszybsza, jest absolutnie konieczna. Do walk i wzajemnych rzezi dochodziło już niemal w każdej miejscowości tego kraju. Prokurator Gesjusz Florus, skompromitowany i nieudolny, zupełnie nie panował nad sytuacją, a siły miał zbyt szczupłe, bo tylko pięć kohort.

Jesienią roku 66 namiestnik ruszył na południe. Wiódł armię, której trzon stanowiły cały legion XII i dwa tysiące żołnierzy wybranych z trzech pozostałych legionów syryjskich oraz sześć samodzielnych kohort piechoty i cztery szwadrony jazdy. Przyłączyły się oddziały wystawione przez sprzymierzonych królów okolicznych państweczek; sam król Agryppa dał trzy tysiące piechurów i prawie dwa tysiące jeźdźców. Kiedy zaś Cestiusz stanął w mieście Ptolemais w południowej Fenicji, przybyły oddziały złożone z okolicznej ludności; wprawdzie nie były one wyćwiczone w rzemiośle wojennym, ale rwały się do walki ze szczerym zapałem, a to zarówno z nienawiści do swych sąsiadów, jak i z żądzy grabieży.

Król Agryppa uczestniczył w wyprawie osobiście. Ponieważ doskonale znał kraj i jego mieszkańców, służył cennymi radami i wskazówkami; powierzono mu pieczę nad dostawami żywności dla armii.

Pierwszą operację przeprowadziły wydzielone formacje pod rozkazami samego Cestiusza. Weszły na ziemię Galilei graniczącą z południową Fenicją. Główne miasto tego rejonu zwało się Chabulon. Jego ludność zdołała wprawdzie ująć w porę i schronić się w górach, pozostawiła jednak cały dobytek. A było to miasto piękne i bogate, o domach wysokich, na wzór tyryjskich i sydońskich. Miejscowość tę złupiono i spalono. Taki sam los spotkał okoliczne wioski. Potem namiestnik powrócił do Ptolemais. Natomiast oddziały syryjskie pozostały w tyle dla grabieży; niespodziewanie zaatakowała je ludność miejscowa, wyszedłszy ze swych kryjówek, i zadała im ciężkie straty.

Cestiusz przeniósł swoją kwaterę dalej na południe, do Cezarei nadmorskiej. Jej obywatele witali go entuzjastycznie. Równocześnie wojska wysłane przodem zaatakowały od strony lądu i morza Joppę, położoną o kilka godzin drogi dalej na południe. Uderzenie było tak nagłe i nieoczekiwane, że mieszkańcy nawet nie próbowali stanąć do walki. Rzymianie wymordowali tam osiem tysięcy osób – mężczyzn, kobiet i dzieci. Miasto złupili i spalili. Ograbili też i spacyfikowali wsie sąsiedniego okręgu Nabata.

Jednocześnie inny korpus prowadził działania w Galilei. Główne miasto tej krainy Seforis przyjęło Rzymian życzliwie; za nim poszło kilka innych. Powstańcy schronili się w górach. Gdy dopadł ich pościg, bronili się dzielnie, musieli jednak ustąpić przed druzgocącą przewagą, pozostawiając dwa tysiące zabitych; tylko garstka walczących zdołała zbiec, kryjąc się wśród skał i wąwozów.

Maszerując wciąż dalej na południe namiestnik zajął miasto Antypatris na równinie nadmorskiej oraz sąsiednią Lyddę, leżącą przy ważnym szlaku ku Jerozolimie. Obie miejscowości i ich okolice były całkowicie wyludnione, jako że mieszkańcy udali się do stolicy, aby tam, w pobliżu świątyni, uroczyście obchodzić święto Szalasów. Schwytano i zabito tylko pięćdziesiąt osób. Lyddę i pobliskie wsie spalono.

Droga do Jerozolimy prowadziła z równiny pod górę, przez wąwóz zwany Bethoron. Pejzaż i sam pochód przypominały ów obraz Breugla, przedstawiający Pawła w drodze do Damaszku, czyli wojska hiszpańskie wstępujące na alpejskie przełęcz. Płowe skały, strzelające wysoko w górę ciemnozielone cyprysy, piechurzy w hełmach, objuczeni tobołkami i dzierżący dzidy, jeźdźcy w zbrojach i barwnych szatach.

Sforsowano niebezpieczne przejście, nie napotykając nawet śladu przeciwnika. Zajęto miejscowość Gabaon, skąd do Jerozolimy było co najwyżej dwie godziny drogi. Była sobota, toteż Rzymianie, znający już żydowskie obyczaje, nie zachowywali czujności. I oto zupełnie niespodziewanie wielotysięczne tłumy Żydów runęły na kolumnę wojsk, dopiero przystępujących do wytyczania obozu! Masy młodych ludzi biegły, wyjąc i wrzeszcząc, wymachując byle jaką bronią, bez żadnego porządku i dyscypliny, prąc jednak naprzód jak potężna rzeka. Wyzyskując pierwszy moment zaskoczenia i niepewności, zdołali wedrzeć się głęboko w rzymskie szeregi. Położyli trupem kilkuset żołnierzy. Dopiero szarża jazdy zmusiła ich do odwrotu.

W tymże czasie oddział powstańców pod wodzą Szymona, syna Goriasa, uderzył na rzymskie straże tylne i tabory, jeszcze przechodzące przez wąwóz Bethoron; zagarnął wiele mułów jucznych i zapędził je do miasta.

O KROK OD ZWYCIĘSTWA

W dziewięć lat później Józef, syn Matiasza, zwany obecnie Józefem Flawiuszem, stał w Rzymie przed Bereniką i królem Agryppą. Po raz któryś z rzędu powtarzał z uporem:

– Byłem wtedy w Jerozolimie i dobrze wiem, co mówię. Cestiuszowi wystarczyłoby tylko krok zrobić i miałby zwycięstwo. Ileż to nieszczęść zostałoby nam oszczędzonych!

A król Agryppa, choć przecież był uczestnikiem wyprawy i jednym z jej przywódców, zdawał się przyznawać słusność tym słowom. Mówił tak, jakby pragnął się usprawiedliwić:

– Jeszcze wtedy próbowałem układów z tamtymi. Cestiusz trzy dni stał obozem pod Gabaonem. Wyprawiłem dwóch swoich ludzi pod mury Jerozolimy. Mieli ogłosić, że każdy, kto złoży broń i przejdzie na naszą stronę, zostanie przyjęty jak najżyczliwiej, a namiestnik daruje mu wszystkie przewinienia. Ale z jakąż wrócili odpowiedzią? Jednym w ogóle już nie ujrzałem, bo go ubito. Drugi ledwie się dowlóknął, ciężko ranny.

Józef wszakże, zawsze skłonny do wybielania ludności Jerozolimy, a oskarżenia tylko powstańców, dodał od razu:

– Prawda, sam widziałem tę zbrodnię. Ale widziałem też, że ludzie chętnie słuchali, co mówią posłowie. Cóż z tego, kiedy rozbójnicy rzucili się na tłum z kijami i kamieniami! Gnali wszystkich siłą za mury.

Używał zawsze i konsekwentnie określenia „rozbójnicy”; wyraz „powstańcy” przez usta by mu nie przeszedł.

Agryppa kiwał głową, ale kontynuował swoje wywody. Wyraźnie zmierzał do zrzucenia całej odpowiedzialności za losy wyprawy sprzed dziewięciu lat tylko na Cestiusza. Zapytywał więc:

– Właśnie wtedy namiestnik ruszył spod Gabaonu. Po co? Wszyscy myśleli, że wykorzysta zamieszanie i wdrze się do miasta. A on tylko przeniósł obóz tuż pod samo miasto, na górę Skopos. I znowu stał tam beczynnie przez trzy dni!

– Żołnierze zbierali żywność w okolicy! – wtrącił Józef. Król machnął ręką lekceważąco:

– Z tym można było poczekać. Ostatecznie za dostawy żywności i tak ja odpowiadałem. A on zmarnował sposobność i przypuścił szturm dopiero czwartego dnia!

Józef obserwował przebieg tego ataku, stojąc na wysokim murze świątynnym. Miał przed oczyma obraz pochodu Rzymian ze wzgórza Skopos na miasto, jakby rzecz działa się wczoraj:

– Szli zwartymi szykami na mur trzeci – na ten, co to zbudował go twój ojciec. Wzięli go łatwo, bo jeszcze nie był ukończony. Zajęli dzielnicę pomiędzy tym murem a murem drugim. Tłumy uciekały ku świątyni i za mur pierwszy. Rozbójnicy wołali, żeby pozostać na miejscu i bronić każdego domu, ale nikt ich nie słuchał. Tym bardziej, że wybuchły pożary. W ciągu kilku godzin Cestiusz był już przed pierwszym murem. Tam gdzie pałac Heroda. I wtedy trzeba było śmiało szturmować! Murów nikt nie bronił! Prawie bez walki zdobyłby całe miasto. Wojna byłaby skończona bez wielkich strat i ofiar. Stałaby do dziś świątynia, stałaby Jerozolima. Ale on właśnie wtedy rozkazał wstrzymać działania. Dlaczego?

Agryppa udawał, że zna przyczynę:

– Byłem przy Cestiuszu. Brałem udział w naradzie. Sam namiestnik może by się zdecydował na szturm, ale sprzeciwiali się niektórzy oficerowie. Najgorliwiej prefekt obozu, Tyraniusz Priskus. Podejrzewam, że on i inni wzięli pieniądze od Florusa. A ten, to oczywiste, chciał za wszelką cenę przedłużenia wojny. Tylko po to, żeby móc się usprawiedliwiać: Cóż ja zdołałbym zdziałać, skoro sam namiestnik ze swoją armią musiał tak długo toczyć walki! Tak więc ci przekupieni wywodzili bez końca, że mury potężne, że jeszcze nie podciągnięto machin, że trzeba wojska przegrupować i dać im chwilę wytchnienia.

Król przezornie nie wspominał, jakie stanowisko zajął on sam w czasie narady. Taktowny Józef również nie poruszył tego tematu. Zapytał natomiast, jak to się stało, że Cestiusz wzgardził tajną ofertą tych mieszkańców Jerozolimy, którzy gotowi byli otworzyć mu bramy. Szczegółów tej sprawy Agryppa nie znał:

– Namiestnik chyba obawiał się podstępu. Zresztą gdyby nawet się zgodził, nie miałyby to znaczenia. Rozbójnicy już ochłonęli. Już stali na murach, już przepędzali tych, co chcieli rokować.

Józef potwierdził to:

– Niektórych nawet strącali z murów. Obsadzili blanki i trzeba przyznać, że przez pięć dni dzielnie odpierali Rzymian. Ale szóstego dnia legionieści podeszli w szyku, który oni nazywają żółwiem.

Agryppa ożywił się, wstał z krzesła i jakby właśnie teraz miał tę scenę przed oczyma, mówił, gestykulując z zapalem:

– Pamiętam doskonale! Cóż to był za widok! Kolumna szturmowa przypominała naprawdę monstrualnego żółwia. Szli powoli, w zwartych, głębokich szeregach. Tarcze trzymali nad głowami. Tylko ci z przodu i skrajni mieli je przed sobą lub u boków. Z murów prano w nich czym tylko się dało, ale nawet najcięższe pociski, rzucone z wielkim rozmachem, odbijały się od łusek gigantycznego pancerza niby drobny grad od potężnej skały.

Józef potakiwał:

– Otóż to. Szli jak taran. Byli już pod samymi murami. Wtedy pierwsze szeregi, osłaniane przez towarzyszy, zaczęły walić w podmurówkę łomami i kilofami. Wystarczyłoby chyba jeszcze kilkanaście mocnych uderzeń i wyrąbaliby sobie szerokie przejście, runąłby duży kawał muru. Nikt by ich nie powstrzymał. Ty, królu, nie mogłeś widzieć, co się działo w mieście, ale ja tam byłem. Nawet ci najodważniejsi, którzy dotychczas walczyli jak lwy, teraz uciekali w popłochu. Tłumy wyległy na ulice i miały się w przerażeniu. Sam słyszałem głosy, żeby poddać się natychmiast i otworzyć bramy na oścież. I właśnie w tejże chwili, w tym momencie, kiedy Cestiusz już był zwycięzcą, rozległo się przeciągłe buczenie rzymskich trąb i rogów! Sygnał odwrotu. Nie wierzyliśmy własnym uszom. To był cud chyba. Albo szaleństwo. A może zdrada? Ale czyja? Przecież tylko wódz mógł wydać taki rozkaz!

Król zaś, który lubował się w sentencjach, dodał – może zresztą dlatego, że nie chciał rozodzić się nad sprawą, kto rozkazał szturm przerwać:

– Wyobraź sobie, że za jakieś dwa tysiące lat ktoś będzie rozmyślał i pisał na przykład o tym, jak potoczyłyby się losy nasze i cesarstwa, a nawet świata, gdyby Rzymianie nie cofnęli się w chwili, kiedy już wdzierali się do miasta. A więc gdyby wojna zakończyła się w tym dniu, za cenę niewielkich strat po obu stronach, a nie dopiero po trzech latach, gdyby ocalała Jerozolima, świątynia, i prawie wszystek lud Judei!

WĄWÓZ BETHORON

Słyszając przeciągłe buczenie trąb i rogów, karne szeregi legionistów natychmiast odstąpiły od murów i powróciły do obozu. Powstańcy – Józef rzekłby: rozbójnicy – w tymże momencie znowu poczuli się lwami i ruszyli w pościg przez rumowiska; położyli trupem sporo żołnierzy straży tylnej. Rankiem dnia następnego nowa niespodzianka! Rzymianie zwinęli swój obóz na wzgórzu Skopos i rozpoczęli pełny odwrót. Powstańcy, ośmieleni wczorajszym powodzeniem, atakowali kolumnę jeszcze zuchwalej. Rzucali się przede wszystkim na oddziały legionistów; ci bowiem, dźwigając ciężkie zbroje, niełatwo mogli ścigać zwinnego wroga wśród skał i rozpadlin. Zginęło w tych ustawicznych utarczkach nawet kilku wyższych oficerów; był wśród nich także ów prefekt, którego podejrzewano, że wziął pieniądze od Florusa.

Marsz był tak ciężki, że obóz następny rozbito niedaleko, bo na starym miejscu koło Gabaonu. Rzymianie wypoczywali w jego obwarowaniach przez dwa dni. Jak się wydaje, Cestiusz Gallus jeszcze się wahał i zastanawiał: czy pozostać tutaj i znowu próbować walki, czy też w ogóle odejść spod Jerozolimy.

Czym wytłumaczyć postępowanie Cestiusza? Odwołując swe kohorty spod murów miasta, popełnił oczywiście błąd, zrozumiały wszakże; namiestnik nie orientował się, jak korzystnie dla Rzymian przedstawia się sytuacja w samym mieście. Sądził widocznie, że obrońcy będą nadal stać tak samo nieustraszenie jak dotychczas, wołał więc uniknąć dalszych strat. Odchodząc z obozu na wzgórzu Skopos, zamierzał prawdopodobnie tylko zmienić rejon zaopatrywania wojska w żywność, opał i budulec, jako że okolice najbliższe Jerozolimie ogołocoło już całkowicie z wszystkiego. Jednakże w czasie marszu poniósł tak dotkliwie straty w ludziach i sprzęcie, że obecnie należało się zastanowić, czy w ogóle ma sens pozostawanie tu dłużej. Była już późna jesień, a więc pora deszczów i chłódów. Wypadało liczyć się z coraz groźniejszymi trudnościami aprowizacyjnymi; tym bardziej, że powstańcy mogliby odciąć obóz nawet od głównych baz zaopatrzeniowych na równinie.

Po rozważeniu wszystkich tych spraw Cestiusz postanowił jak najszybciej przejść przez niebezpieczny wąwóz Bethoron i zająć pozycje bliżej morza; stamtąd można by rozpocząć nowe operacje przeciw Jerozolimie z nastaniem wiosny. Pamiętając wszakże, ile ofiar w ludziach i materiale kosztował go niedawny marsz przez ten wąwóz, namiestnik zdecydował, że trzeba pozbyć się wszystkiego, co by utrudniało i opóźniało pochód. Wyróżniono więc na jego rozkaz większość zwierząt jucznych i pociagowych, oszczędzając tylko te, które niosły pociski i maszyny wojenne; inaczej bowiem sprzęt ten nieuchronnie wpadłby w ręce nieprzyjaciół.

Trzeciego dnia Rzymianie zwinęli obóz pod Gabaonem i natychmiast ruszyli w zwykłym porządku ku wąwózowi. Początkowo, na odkrytym płaskowyzu, wojsko posuwało się szybko i sprawnie. Do katastrofy doszło dopiero w samym wąwozie, w miejscu najcięższym do przejścia, gdzie droga wiodła stromym zboczem; z jednej strony ściana skalna wznosiła się niemal prostopadle, z drugiej zaś zionęło przepaściste urwisko. Na rozciągniętą kolumnę spadł nagle grad celnych pocisków z góry i ze zbocza przeciwległego; nieprzyjaciół zamknął też drogę od frontu i atakował z tyłu. Powstał straszliwy zamęt i podniósł się wrzask niby z czeluści potępionych, zwielokrotniony przez echo. Wycie ludzi rannych i rozwścieczonych, bo miotających się bezradnie, mieszało się z okrzykami triumfu i radości ze strony napastników.

Tylko zapadający mrok uratował armię Cestiusza od ostatecznej klęski. Pod osłoną ciemności zdziesiątkowane kohorty dotarły wreszcie do miejscowości tegoż co i wąwóz imienia, leżącej jednak już u jego wylotu ku równinie. Ale jeszcze tej samej nocy namiestnik opuścił wioskę wraz z głównymi siłami. Pozostawił w Bethoron tylko czterystu żołnierzy; ci, rozsta-

wieni na płaskich dachach domów, okrzykiwali się gromko i głośno, jak to zwykli czynić warty nocne; wydawało się więc, że stoi tam cała armia. Powstańcy, obozując przed wioską, odkryli podstęp dopiero o świcie. Uderzyli natychmiast i po krótkiej walce, mając ogromną przewagę, rozgromili owych czterystu. Puścili się w pogoń. Po drodze napotykali ciężkie maszyny wojenne i pociski, porzucone przez uciekających w popłochu Rzymian i ich sojuszników. Tak ścigając Cestiusza, doszli aż do miasta Antypatris; on wszakże był już daleko. Zawrócili więc, zabrali maszyny i broń, odarli z wszystkiego trupy poległych żołnierzy. Wkroczyli do Jerozolimy upojeni zwycięstwem, śpiewając pieśni triumfalne, witani entuzjastycznie. Można wątpić, czy Józef już wtedy głosił to, co później tak uporcezywie powtarzał przed królem Agryppą i Bereniką:

– To zwycięstwo stało się przyczyną naszego nieszczęścia i klęski!

Był koniec listopada 66 roku. Minęło już dwanaście lat Neronowego panowania. Cesarz zwiedzał Grecję.

DRUGIE MAŁŻEŃSTWO TYTUSA

Jednakże nim jeszcze Neron wyjechał do swej umiłowanej Hellady, w Rzymie doszło w tymże roku 66 do dramatycznych wydarzeń; wstrząsnęły one wielu rodami senatorskimi, w szczególności zaś domem Flawiuszów. Obrazowe powiedzenie, że piorun uderzył blisko, nie byłoby w tym wypadku retoryczną przesadą.

Wkrótce po śmierci Arruncji Tytus poślubił Marcję Furnillę. Ojciec jej, Marcjusz Barea, należał do stanu senatorskiego. Ta druga żona powiła Tytusowi córeczkę, która otrzymała imię Julii. Mimo to małżeństwo nie trwało długo; zakończyło się rozwodem zapewne już w roku 66. Jest bardzo prawdopodobne, że o rozejściu się zadecydowały pewne względy polityczne. A raczej, mówiąc prościej i konkretniej, Tytus stchórzył. Lękał się, jak wolno podejrzewać, że powinowactwo z rodziną Marcjuszów Bareów mogłoby ściągnąć nań niebezpieczeństwo lub choćby tylko niechęć cesarza.

Chodziło o to, że stryja Furnilli, Marcjusza Soranusa, oskarżono i skazano właśnie w pierwszych miesiącach tego roku. Sprawa ta ze względu na córkę Soranusa, Serwilię, miała przebieg wręcz wstrząsający i na długo zapisała się w pamięci współczesnych.

Neron nienawidził Soranusa i pragnął jego zguby z dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że senator ten przyjaźnił się owego czasu z Rubeliuszem Plautusem, potem skazanym i zgładzonym za rzekome przygotowywanie zamachu stanu. Po drugie zaś, Soranus naraził się jednemu z wpływowych wyzwoleńców cesarza; zarządzając bowiem prowincją Azją, pośrednio przeszkodził mu w obrabowaniu miasta Pergamonu z cennych posągów i obrazów.

W dniu, w którym senat miał rozpatrywać sprawę Soranusa i kilku innych dostojników, dwie kohorty pretorianów w pełnym uzbrojeniu już wczesnym rankiem obsadziły świątynię Wenus Rodzicielki w pobliżu gmachu posiedzeń. Przy wejściu na salę obrad stały grupki ludzi niby to ubranych po cywilnemu, w togach, lecz umyślnie niezręcznie ukrywających miecze i sztylety. Małe oddziały zbrojnych krążyły po Forum. Każdego z przybywających senatorów odprowadzały groźne spojrzenia oficerów i agentów. W takiej sytuacji wynik rozprawy był z góry do przewidzenia.

Oskarżyciel oczywiście przypomniał przyjaźń Soranusa z Plautusem. Oświadczył również, że jako namiestnik Azji myślał on przede wszystkim o swej chwale, a nie o dobru państwa, podburzając nawet mieszkańców tamtejszych miast przeciw cesarskiej władzy. Potem wszakże wysunął zarzut poważny i nowy, godzący nie tylko w Soranusa, lecz także w jego córkę Serwilię. Stwierdził mianowicie, że dała ona ogromne pieniądze mistrzom tajemnych umiejętności. I nie było to oskarżenie zmyślane! Młoda kobieta, licząca lat dwadzieścia, powodowana miłością ku ojcu i niepokojem o jego los, istotnie zwróciła się do magów i astrologów z zapytaniem, czy dom ich wyjdzie cało z opresji i czy uda się przebłagać Nerona. Zawezwano ją natychmiast przed senat. Ojciec i córka, oddzieleni od siebie, stanęli po przeciwnych stronach trybunału, na którym zasiadali przewodniczący rozprawie konsulowie.

Oskarżyciel – był nim Ostoriusz Sabinus – zapytał, czy ośmieli się zaprzeczyć, że sprzedała swój strój ślubny (jej mąż, Anniusz Pollion, został wygnany poprzednio) oraz naszyjnik, uzyskane zaś pieniądze przekazała na odprawienie tajemnych ofiar. Serwilia rzuciła się z płaczem na ziemię. Przez dłuższą chwilę nie mogła dobyć ni słowa. Potem klęcząc, objęła podium i ołtarz bogini Zwycięstwa. Jakby stąd czerpiąc odwagę i otuchę, zaczęła zapewniać, że nigdy nie stosowała żadnych złych czarów; jeśli o coś prosiła bogów, to tylko o to, by cesarz i senatorzy raczyli zachować jej ojca; owszem, sprzedała swoje klejnoty, suknie, oznaki stanu, ale tak samo oddałaby krew i życie, gdyby tego od niej zażądano; jeśli kiedykolwiek wymieniała imię cesarza, to zawsze wspólnie z najłaskawszymi bóstwami; prawdą jest, że o tym wszystkim nie wiedział jej nieszczęsny ojciec; jeśli popełniła zbrodnię, wina obciąża ją samą.

Soranus wpadł jej w słowa, głośno zapewniając, że córka mu nie towarzyszyła, gdy sprawował namiestnictwo Azji; że Plautus w ogóle jej nie znał, bo wtedy była jeszcze dzieckiem; że nie miała nic wspólnego z czynami swego męża. Dodał:

– Gotów jestem z góry zgodzić się na każdy wyrok, nawet najsurowszy, byle tylko wyłączono sprawę córki, oskarżonej jedynie o to, że nazbyt mnie kochała.

Oboje już szli ku sobie, płacząc, lecz liktorzy stanęli pośrodku. Wprowadzono świadków.

Pierwszym był Publiusz Egnacjusz Celer, pozostający pod opieką Soranusa wyznawca filozofii stoickiej, mężczyzna godnej postawy i zawsze poważnego wyrazu twarzy. Lecz ten wzór wszelkich cnót dał się przekupić; zeznając, bardzo obciążył swego dobrodzieja i jego córkę.

Natomiast drugi świadek, jeden z najmajątniejszych ludzi prowincji Azji, wbrew oczekiwaniom z wielką odwagą cywilną bronił Soranusa. Zapłacił za prawdomówność konfiskatą posiadłości i wygnaniem.

Na Soranusa i jego córkę spadł wyrok surowszy: śmierć. Było dowodem wielkiej łaski, że pozwolono im popełnić samobójstwo, i to w sposób, jaki sami wybiorą.

Wespazjan oczywiście brał udział w tym posiedzeniu senatu. Wysłuchał oskarżeń, widział łączy Serwilię, głosował. Rzecz prosta za skazaniem. Inaczej postąpić nie mógł, już bowiem sam fakt nieuczestniczenia w obradach, nie mówiąc nawet o wstrzymaniu się od głosu, mogłoby ściągnąć nań najsurowszą karę. Donosiciele obserwowali każdy gest senatorów bardzo czujnie.

Tytus zaś, jak się rzekło, uznał za rzecz wskazaną rozwieść się z bratanicą Soranusa, Marcją Furnillą. Był do tego poniekąd zmuszony, wydaje się bowiem, że właśnie w tym roku, to jest w 66, piastował urząd kwestora. Podobnie jak wszystkie dawne urzędy republikańskie była to za cesarstwa godność raczej honorowa, ważna jednak o tyle, że otwierała wstęp do senatu. Trudno więc było wymagać od młodego człowieka, aby podtrzymując powinowactwo z rodziną niemiłą cesarzowi, łamał sobie karierę w samym jej początku.

DZIEWECZKO, WSTAŃ!

A więc córka rzymskiego senatora zasięgała rady magów i astrologów. Traktowała ich umiejętności poważnie, choć oczywiście nie bez lęku. Płaciła wielkie pieniądze za odprawianie tajemnych nabożeństw. Można zrozumieć i usprawiedliwić, że młoda kobieta wierzyła w moc czarnoksięskich zaklęć i pragnęła dowiedzieć się różnymi sposobami, co kryje przyszłość. Nawet dziś jeszcze, po dwudziestu wiekach, Serwilia znajduje rzesze naśladowczyń. Ale senat? Składał się przecież z ludzi inteligentnych i na ogół wykształconych, przede wszystkim zaś z cyników i bezwzględnych karierowiczów, oceniających sprawy tego świata aż nazbyt trzeźwo. I oto dostojne zgromadzenie nie tylko przyjęło, lecz także rozpatrzyło oskarżenie z całkowitą i szczerą powagą! Powie ktoś, że uczyniono to ze względów politycznych, wyrokując tak, jak chciał tego Neron – trzeźwo i cynicznie wyzyskując bzdurną sprawę dla przypodobania się władcy. Ale przecież skazanie Serwili nie było jedynym wypadkiem tego rodzaju! W zachowanych źródłach z tego okresu wyliczyć by ich można dziesiątki. Uznawano bowiem powszechnie, że czary i astrologia stanowią rzeczywiste zagrożenie życia, zdrowia, bezpieczeństwa. Jeśli w Rzymie cesarskim magów wciąż prześladowano i wyganiano, to właśnie dlatego, że przypisywano im prawdziwą moc nad groźnymi i mrocznymi siłami świata podziemi, nocy, śmierci. Nie tylko w Palestynie działali i znajdowali wielu wyznawców ludzie podobni Szymonowi. Nie tylko o Apoloniuszu z małoazjatyckiej Tyany opowiadano rzeczy przedziwne.

A właśnie w tym czasie Apoloniusz, odwiedziwszy różne krainy i miasta Grecji właściwej, przyjechał do Rzymu. Tutaj, jeśli wierzyć jego późniejszemu biografowi, stał się przedmiotem ogromnego zainteresowania, wzbudzając nabożny lęk i szacunek. Nawet wszechwładny prefekt pretorianów Tygellinus, choć czuł się urażony pewnymi wypowiedziami ascety, nie ośmielił się, po rozmowie z nim, na podjęcie żadnych kroków, które by krępowały swobodę jego działania. Powiedział wprawdzie:

– Możesz odejść, ale musisz wskazać poręczycieli! – kiedy jednak Apoloniusz odrzekł:

– A któż poręczy za ciało, którego nikt nie uwięzi? – prefekt przeraził się, że ma do czynienia z boską istotą, przezornie więc cofnął poprzednie zastrzeżenie:

– Chodź sobie, gdzie chcesz! Zbyt jesteś mocny, żebym ja miał tobą rządzić!

Przechadzając się swobodnie, dzięki tchórzliwości i łasce prefekta, po ulicach i placach olbrzymiego miasta, Apoloniusz, jak twierdzi biograf, dokonał pewnego razu jednego z najbardziej zdumiewających czynów w swym życiu; czynu tak niezwykłego, że wielu cud w tym widziało.

Dzień był chłodny, deszczowy. Ulicą, ku bramom miasta, szedł kondukt żałobny, wspaniały i tłumny. Już z daleka słyhać było rozdzierające uszy jęki, skargi i płacze. Apoloniusz przystanął. Gdy orszak pogrzebowy się zbliżył, dostrzegł, że na marach leżą zwłoki młodej dziewczyny. Posłyszał, że pochodzi ona ze znakomitej rodziny i miała nawet konsulów wśród swych przodków; zmarła nagle, tuż przed ślubem; młody człowiek, idący tuż za marami, to jej narzeczony. Przepisnął się bliżej i przez dłuższy czas uważnie przyglądał się zwłokom. Niespodziewanie krzyknął:

– Zatrzymać się! Połóżcie mary na ziemi! Wnet przestaniecie płakać!

Mówił tak rozkazująco i władczo, że posłuchano go natychmiast. Był zresztą osobą już znaną w mieście. On tymczasem wypytywał się, jak zmarła miała na imię. Myślano, że wygłosi mowę pogrzebową, aby pocieszyć rodzinę. Stało się jednak inaczej. Apoloniusz pochylił się nad zwłokami, dotknął je ręką, szeptał jakieś słowa... Po chwili dziewczyna otworzyła oczy.

Zastanawiano się:

Może Apoloniusz dostrzegł jakąś nikłą oznakę życia, która uszła uwagi wszystkich? Kto wie na przykład, czy nad ustami dziewczyny nie unosiła się leciutka mgiełka, opar oddechu (dzień bowiem, jak się rzekło, był chłodny i deszczowy). A może zmarła ona naprawdę, lecz dusza jej powróciła z zaświatów, przywołana tajemnym zaklęciem?

Jednakże wnet po tym wydarzeniu ukazał się groźny edykt cesarski, zabraniający nauczania filozofii w Rzymie, jako że pod jej płaszczkiem uprawia się działalność wywrotową, godzącą w interesy społeczne. Edykt łączył się ze sprawą senatora Trazei Petusa; został on skazany na śmierć w tymże czasie co Soranus i Serwilia, na podstawie równie błahych i zmyślonych oskarżeń; prawdziwą przyczyną nienawiści była jego niezależność ducha, śmiałe wypowiedzi i gesty, skupianie wokół siebie osób nastawionych opozycyjnie. Do ludzi najbliższych Trazei należeli niektórzy filozofowie ze szkoły stoików, a nawet co umiarkowańsi cynicy.

Miało się już pod wieczór, gdy pewien przyjaciel Trazei, przybywający wprost z sali obrad senatu, stanął w jego domu. Gospodarz znajdował się w ogrodzie; tam, w otoczeniu dużego grona kobiet i mężczyzn z najświetniejszych rodzin rzymskich, rozmawiał z cynikiem Demetriuszem. Patrząc na skupione, poważne twarze tamtych i słysząc oderwane słowa, gość idący ścieżką domyślił się, że dyskusja dotyczy spraw ostatecznych: czym jest dusza? w jaki sposób rozstaje się ona z ciałem? A więc Trazea przewidywał z góry, że wyrok senatorskiego trybunału może być tylko jeden. Przyjaciel, ku któremu zwrócili się wszyscy, potwierdził to w krótkich słowach. Dodał wszakże:

– Wolno ci umrzeć z własnej ręki. I w jaki chcesz sposób.

W ogrodzie wybuchł płacz. Tylko Trazea zachował spokój. Poprosił swych gości, aby rozeszli się jak najrychlej, jako że pozostając dłużej w domu skazanego, sami narażają się na niebezpieczeństwo. Żona, Arria, błagała, by pozwolił jej także popełnić samobójstwo. Odmówił stanowczo:

– Musisz żyć, aby opiekować się naszą córką.

Przeszedł do portyku ogrodowego. Tu zastał go kwesor, urzędowy wysłannik senatu. Trazea przyjął go niemal pogodnie; dowiedział się bowiem tymczasem, że zięć, Helwidiusz Priskus, został skazany tylko na wygnanie.

Samobójstwo popełnił w swej sypialni. Wyciągnął oba ramiona i prosił Demetriusza oraz Priskusa, aby przecięli mu żyły.

Demetriusz, świadek ostatnich chwil Trazei, należał do najbliższych przyjaciół Apoloniusza. A więc choćby z tej przyczyny, niezależnie od srogiego edyktu, wypadało przybyszowi z Azji Mniejszej usunąć się z Rzymu. Wyjechał jednak nie do swej ojczyzny, lecz właśnie w przeciwnym kierunku – na zachód, do Hiszpanii. Nie bez głębszego uzasadnienia. Było już wtedy pewne i wiadome, że cesarz uda się wkrótce do Grecji, Apoloniusz więc chciał znaleźć się jak najdalej od dworu i cesarskiego aktora. Możliwe jednak były jeszcze inne, tajne i skryte powody, które kazały mu odwiedzić Hiszpanię?

WYJAZD DO GRECJI I SPRAWY RODU FLAWIUSZÓW

O procesach Soranusa, Serwili i Trazei Petusa zapomniano bardzo szybko. Prawdę mówiąc, ludność Rzymu nie interesowała się zbytnio ani ich przebiegiem, ani wyrokami; doradcy bowiem cesarza z chwalebna roztropnością przeprowadzili wszystko właśnie w tym czasie, gdy do stolicy zawitał władca Armenii Tyrydates. Król ten złożył publicznie hołd Neronowi, w zamian zaś otrzymał diadem, symbol panowania. Wspaniała, starannie wyreżyserowana uroczystość ukazała w niezwykłym blasku potęgę Imperium i majestat cesarza; toteż zupełnie przesłoniła legalny mord, dokonany niemal równocześnie na kilku przedstawicielach stanu senatorskiego. Zresztą zwykły mieszkaniec Rzymu, zdany tylko na urzędowe relacje i przypadkowo zasłyszane plotki, był z pewnością przekonany, że obwinieni rzeczywiście knuli spisek przeciw dobremu władcy. Bo i cóż można było zarzucić Neronowi? Umacniał wielkość państwa, strzegł pokoju, nade wszystko zaś dbał po ojcowsku o najszerze masy prostych, uczciwych ludzi. Zapewniał ludowi chleb i rozrywki, a nawet nie wstydził się zabawiać go osobiście swymi występami w roli woźnicy, aktora, pieśniarza.

Potem mówiono już tylko o podróży do Grecji. Miała ona być rodzajem triumfalnego tournée artystycznego. Przygotowania rozpoczęto już wczesnym latem, ogromny zaś orszak cesarskiego dworu ruszył w drogę zapewne we wrześniu roku 66. Prócz służby i dworzan towarzyszyli Neronowi wybrani senatorzy. Z jednej strony przydawali oni blasku owej imprezie swoją powagą i dostojnością, z drugiej zaś byli jakby zakładnikami lojalności tych, którzy pozostali w Rzymie.

Wśród zaproszonych do uczestnictwa w greckiej wyprawie znalazł się również Wespazjan. Zawdzięczał to wyróżnienie z całą pewnością tylko i wyłącznie jakimś względem politycznym, wiadomo bowiem było, że nie zna się zupełnie ani na poezji, ani też na muzyce. Zaszczycił jednak łącząc się z wielkimi kłopotami. Należało opłacić z własnej szkatuły wszystkie koszty podróży oraz występować z okazałością, jak przystało senatorowi i towarzyszywi cesarza. A właśnie w tym okresie sytuacja rodziny Flawiuszów przedstawiała się nie najlepiej.

To prawda, że przed kilku laty, około roku 60, Wespazjan sprawował namiestnictwo prowincji Afryki, czyli dzisiejszej Tunezji. Opinie o tym, jak wywiązywał się ze swoich zadań, były sprzeczne. Jedni wychwalali jego nienaganną uczciwość i godną senatora postawę, inni natomiast twierdzili, że administrował prowincją w sposób małostkowy, budząc oburzenie ludności; podobno doszło nawet do tego, że w czasie rozruchów w mieście Hadrumetum ktoś z pospółstwa rzucił weń rzepą. Faktem zaś było, że powróciwszy z Afryki, Wespazjan popadł w poważne tarapaty finansowe. Nękanie przez wierzycieli ratował się przed bankructwem i utratą miejsca w senacie, oddając w zastaw swoje posiadłości ziemskie i nawet dom starszemu bratu, Flawiuszowi Sabinusowi. Imał się też interesów niezbyt zaszczytnych, a mianowicie handlu niewolnikami i zwierzętami roboczymi, oczywiście przy pomocy osób podstawionych; zarobił na tym przedsięwzięciu złośliwe przezwisko „mulio”, czyli popędzacz mułów. Posunął się wreszcie do tego, że wziął od pewnego młodego człowieka dwieście tysięcy sesterców, a w zamian wystarał się dla niego o przywilej bramowania togi szerokim, senatorskim pasem purpurowym. Jednakże ojciec młodzieńca całkiem sobie nie życzył takiego honoru, widocznie bowiem nie rokował swej latorośli kariery politycznej; gdy skutkiem jego skargi sprawa wyszła na jaw, Wespazjan otrzymał surową nagane, i to publiczną, zapewne w czasie któregoś z posiedzeń senatu.

Także śmierć nie oszczędzała domu Flawiusza. Właśnie w tych latach zmarła jego żona, Flawia Domitilla. Dała mu troje dzieci: dwóch synów, Tytusa i Domicjana, oraz córkę, noszącą imiona te same, co i matka. Również ta druga Flawia Domitilla zmarła w latach sześćdziesiątych jako młodzianka mężatka, zapewne przy porodzie. Osierociła córeczkę, która odzie-

dziczyła imiona matki i babki; ta trzecia z kolei Flawia Domitilla, wnuczka Wespazjana, odegrała pewną rolę w historii i w legendzie; istnieje mianowicie przypuszczenie, że była chrześcijanką – pierwszą tak wysokiego rodu.

Owdowiały Wespazjan powrócił do swej pierwszej młodzieńczej miłości, do Antonii Cenidy. Co prawda i teraz nie mógł poślubić jej oficjalnie, była bowiem wyzwolenicą, należała więc do stanu znacznie niższego; w istocie jednak żył z nią w zgodnym, a nawet przykładowym małżeństwie. Przed wielu laty, jeszcze jako dziewczynka, niewolnica Cenida służyła wielkiej pani z rodziny cesarskiej; była nią Antonia, matka Klaudiusza, a babka Kaliguli. Ponieważ Antonia zmarła w roku 37, Cenida wchodząc obecnie do domu Wespazjana, musiała liczyć co najmniej czterdzieści lat, on zaś przekroczył już pięćdziesiątkę. Zaradna, gospodarna, inteligentna – pamięć miała tak znakomitą, że potrafiła dosłownie recytować listy, dyktowane jej przez Antonię – była szczerze oddana całej rodzinie. Doskonale odpowiadała człowiekowi, cechującemu się zdrowym rozsądkiem, miłością pieniędzy, prostotą obyczajów, poczuciem humoru.

Wyjeżdżając do Grecji Wespazjan czule pożegnał kobietę tak miłą swemu sercu, bo jako oficjalny uczestnik cesarskiej podróży nie mógł zabierać z sobą konkubiny. Któż mógł się wtedy spodziewać, że rozłąka, mająca trwać zaledwie kilka miesięcy, przedłuży się aż na cztery lata? I kto potrafiłby wyprorokować, że kiedy znowu się zobaczą, on będzie cesarzem?

Lecz nawet jako pan Imperium Wespazjan nie porzucił Cenidy. Wiernie i stale przebywała w jego domu, ciesząc się ogromnymi wpływami. Za jej to pośrednictwem, jak powszechnie mówiono, załatwiano sprawy, o których cesarz oficjalnie nic nie wiedział. Specjalizowała się w wyrabianiu, oczywiście nie za darmo, wysokich godności cywilnych i wojskowych, a nawet kapłańskich. Podobno można też było kupić u niej wyrok ułaskawiający w bardzo poważnych procesach. Powiadano bowiem w Rzymie:

– Wespazjan tym się różni od poprzednich cesarzy, że dla pieniędzy nikogo na śmierć nie skazał, wielu natomiast obwinionym darował życie za pieniądze.

Chwalono takie metody rządów, jako humanitarne i sensowne; nie bez racji.

Cenida zmarła prawdopodobnie w roku 74, w każdym zaś razie niedługo przed przyjazdem Bereniki do Rzymu. Tak więc te dwie kobiety, konkubina ojca i przyjaciółka syna, wyzwolenica i królowa, nigdy się nie ujrzały, choć oczywiście wiele o sobie słyszały. Wolno wątpić, czy zapobiegliwej i sprytnej, lecz w gruncie rzeczy prostodusznej Rzymiance przypadłaby do serca wyrafinowanie zmysłowa i dewocyjnie pobożna władczyni orientalna. O czym mogłyby rozmawiać, przechadzając się po pałacowych ogrodach, w alei ciemnozielonych, wysokich cypriśków? Berenika miałaby suknię złocistą, a na jej ręku lśniłby pierścień ze wspaniałym diamentem; Cenida zaś, patrząc na bezcenny klejnot nie bez zawiści, myślałaby jak cały Rzym:

– Oto dar króla dla bezwstydnego siostry!

NERON I WESPAZJAN W GRECJI

Stanawszy na świętej ziemi Hellenów, cesarz poświęcił się wyłącznie imprezom artystycznym. Odbywały się one w różnych miejscowościach i miały urozmaicone programy – zawody śpiewacze, wyścigi rydwanów, recytacje, przedstawienia teatralne – nieodmiennie wszakże występował w nich najlepszy pieśniarz, najznakomitszy zawodnik, najgenialniejszy aktor – Neron. Zbierał frenetyczne oklaski, wzbudzał powszechny entuzjazm, otrzymywał pierwsze miejsca, wieńce, nagrody. Trudno więc się dziwić, że przepracowanie i nadmiar wrażeń nie pozwalały mu na zaprzątanie sobie głowy błahymi sprawami bieżącej polityki. Nie działa się zresztą nic nadzwyczajnego.

Ten boski spokój życia tylko dla sztuki zakłóciły niespodziewane wiadomości z Judei, zwłaszcza o klęsce Cestiusza Gallusa. Oczywiście zorientowano się od razu, że nie chodzi u poważną klęskę; zryw małego ludu, który zadał nieco strat rzymskiemu korpusowi, nie stwarzał powodu do niepokoju. Siły prowadzone przez Cestiusza stanowiły przecież tylko część armii stacjonującej w Syrii, a w razie potrzeby można by łatwo przesunąć na palestyński teatr działań jeszcze inne legiony i kohorty. Nie należało wszakże powstania lekceważyć. Rzym musiał stłumić je jak najszybciej, aby nie stało się zaraźliwym przykładem dla innych ludów ujarzmionych.

Cesarz i jego doradcy trafnie ocenili sytuację, stwierdzając publicznie, że porażkę w Judei spowodowała przede wszystkim nieudolność dowództwa. Obecnie więc wypadało wysłać tam człowieka energicznego i doświadczonego. Nie wiadomo, jakie kandydatury brano pod uwagę w czasie narad, znany jest natomiast ostateczny wynik deliberacji; można też z dużym prawdopodobieństwem odgadnąć, dlaczego wybór padł właśnie na tego, a nie innego senatora.

Na głównodowodzącego wyznaczono Flawiusza Wespazjana.

Oficjalnie motywowano to tym, że Wespazjan dał się poznać jako dobry oficer w Germanii i w Brytanii, a także jako administrator w Afryce. Jednakże ludzi o takich lub nawet jeszcze lepszych kwalifikacjach w senacie nie brakowało. Zdecydowały więc inne względy. W szczególności chyba to, że Wespazjan nie należał do żadnego ze świetnych rodów arystokratycznych i z żadnym nie był spowinowacony. Wśród swoich przodków nie miał senatorów. A właśnie w ostatnich latach wykryto kilka spisków, rzeczywistych i urojonych; ich przywódcami i członkami byli głównie przedstawiciele starych, znakomitych rodzin. Toteż Neron i jego doradcy żywili zrozumiałą podejrzliwość w stosunku do osób z tej warstwy. Z całą pewnością nie powierzyliby potężnej armii nikomu z arystokratów; a dla stłumienia powstania w Judei trzeba było połączyć siły kilku legionów.

Nie jest wykluczone, że dopomogło Wespazjanowi, nieco paradoksalnie, pewne wydarzenie drobne i zabawne, ale w oczach Nerona mające swoiste znaczenie. Oto niedawno doniesiono cesarzowi, że w czasie jego artystycznych popisów Wespazjan okazuje mało zachwyty; ba, można by nawet rzec, że się w ogóle nimi nie interesuje; a mówiąc brutalnie całą prawdę – po prostu zasypia. Gdy tylko sprawa ta się wykryła, senatora ukarano niełaską. Musiał opuścić cesarskie otoczenie i udać się do któregoś z małych miasteczek greckich. Łatwo sobie wyobrazić, w jakim żył tam niepokoju, najgłębiej przekonany, że przyszedł już kres jego kariery, a może i życia. Gdy szukał ratunku u jednego z wyzwolenców cesarza, usłyszał odpowiedź:

– Idź do ciężkiej zarazy!

Wespazjan mógł się pocieszać tym tylko, że majątek ma raczej niewielki, i do tego zadłużony, w ostatnich zaś czasach cesarz najchętniej wyprawiał na tamten świat ludzi bardzo bogatych.

Jest wielce prawdopodobne, że w trakcie obrad cesarskiego otoczenia, gdy padło nazwisko Wespazjana, ktoś zarekomendował tę kandydaturę pół żartem, pół serio, mówiąc na przykład:

– Ach, jego trzeba wysłać, właśnie jego! Przecież to prostak, nie ma pojęcia o sztuce, tutaj tylko przeszkadza i sam się ośmiesza. Tam, w obozie wojskowym, będzie na swoim miejscu. Niechże jedzie, niech sobie wojuje, byleśmy tylko mogli tutaj zachwycać się spokojnie boskością twojej sztuki, Cezarze!

Ktoś inny dorzucił:

– Ma już dobrze ponad pięćdziesiąt lat, ale jeszcze krzepki i zdrowy.

A jeszcze ktoś inny poparł tę uwagę:

– Bo to chłop zwykły. Niski, krępy, silny w nogach i rękach. Łeb kwadratowy, oczka małe. Poradzi sobie z każdym.

– Choć smutno mu będzie z dala od Cenidy!

I w ten to sposób splot spraw wielkich i małych, poważnych i śmiesznych, zdecydował o przyszłości Jerozolimy i Rzymu.

DROGI LEGIONÓW

Nowo mianowany dowódca otrzymał oficjalny tytuł legata cesarskiego, „legatus Augusti”. Podporządkowano mu trzy legiony. Na szczęście nie trzeba było ściągać ich z odległych stron kosztem innych armii, wszystkie bowiem trzy już się znajdowały na Wschodzie. Do niedawna wchodziły w skład wielkiego korpusu, operującego w Armenii. Jednakże przed kilku miesiącami korpus rozwiązano i owe trzy legiony można było natychmiast skierować na nowy teren działań.

Mimo nieodpowiedniej, bo zimowej pory roku, Wespazjan wyruszył z Grecji bezzwłocznie. Obrął drogę lądową: z Grecji przez Hellespont, a potem wzdłuż wybrzeży Azji Mniejszej do Syrii; tam bowiem, w okolicach Antiochii miały swoje kwatery dwa jego legiony. Jednocześnie zaś Tytus – wezwany zapewne aż z Italii, bo chyba nie towarzyszył cesarzowi w greckiej podróży – śmiało żeglował przez wzburzone wichurami morze do Aleksandrii. Stał tam trzeci legion, mający wejść w skład armii palestyńskiej; właśnie Tytus został jego dowódcą.

Powierzony Tytusowi legion nie należał do stałego garnizonu Egiptu. Przybył do Aleksandrii zaledwie przed kilku miesiącami. Przez lat kilkadziesiąt, aż do roku 62, miał swój główny obóz w miejscowości Karnuntum nad Dunajem, nieco na wschód od dzisiejszego Wiednia. Nosił numer XV, przydomek zaś Apolaris. Dopiero w roku 62 odkomenderowano go na wschodnie rubieże Azji Mniejszej, a to w związku ze wspomnianą kampanią armeńską. Po jej zakończeniu przesunięto go pod Aleksandrię. Prawdopodobnie łączyło się to z planowaną przez Nerona wizytacją Egiptu, która z kolei miała stanowić wstęp do wielkiej wyprawy odkrywczej na południe, ku legendarnym, a wciąż nieznanym źródłom Nilu. Legion XV stanowiłby trzon armii cesarskiej.

Tytus wywiązał się ze swego zadania doskonale. Nadspodziewanie szybko dotarł do Egiptu, objął dowództwo, poczynił wszystkie przygotowania. Forsownymi marszami poprowadził legion wzdłuż wybrzeży na północ. Już w pierwszych miesiącach roku 67 stanął w wyznaczonym punkcie koncentracji, to jest w nadmorskim mieście Ptolemais, leżącym w Fenicji, lecz już u jej granicy z Palestyną.

Również Wespazjan przywiódł tam swoje dwa legiony. Jeden z nich, V Macedoński, poprzednio także wchodził w skład armii Dunaju. Stacjonował nad dolnym biegiem wielkiej rzeki; miał swój obóz w prowincji Mezji Dolnej, w mieście Oeskus, a więc na ziemiach dzisiejszej Bułgarii. Również i ten, podobnie jak legion XV, pomaszerował w roku 62 do Armenii; nim jednak zdołał powrócić na stare leża po rozwiązaniu korpusu, przeszedł pod rozkazy Wespazjana. Jego dowódca, Sekstus Wettulenus Cerialis, pochodził z Italii, z kraju Sabinów, a więc z ojczystych stron Wespazjana; zapowiadało to dobrą współpracę.

Legion następny nosił w tradycyjnej numeracji cyfrę X, a zwany był Fretensis. W przeciwieństwie do obu poprzednich stał już od czasów Augusta nad Eufratem, ostatnio zaś uczestniczył, wraz z obu wymienionymi, w kampanii armeńskiej. Dowódca, Marek Ulpiusz Trajan, urodził się w Hiszpanii. Jego przodkowie, choć zamożni i poważni, nie piastowali dotychczas żadnych wyższych urzędów państwowych. Dopiero on wszedł na drogę kariery wojskowej i politycznej. Komenda nad legionem X stanowiła ważny jej szczebel. W latach późniejszych miał przyjąć konsulat, potem namiestnictwo Syrii, a wreszcie prowincji Azji. Jego syn został cesarzem; tym, który zdobył dla Imperium Dację, czyli dzisiejszą Rumunię.

Gdy z początkiem roku 67 w mieście Ptolemais odbywały się narady wyższych dowódców, któż mógł odgadnąć, że bierze w nich udział dwóch przyszłych cesarzy – Wespazjan i Tytus – oraz ojciec trzeciego?

W skład armii Wespazjana wchodziły nie tylko legiony. Miał on pod swymi rozkazami także dwadzieścia trzy kohorty posiłkowe; dziesięć z nich liczyło po tysiącu pieszych, pozostałe zaś po sześciuset pieszych i po stu dwudziestu jeźdźców. Również sprzymierzeni królowie i książęta z krain Wschodu przysłali znaczne kontyngenty swych wojsk. Sam król Agrypa wystawił dwa tysiące pieszych łuczników i tysiąc jeźdźców. Co więcej, monarcha ten osobiście brał udział w wyprawie.

SPRAWA FILIPA I JUSTUSA

Agryppa spotkał się z Wespazjanem już w Antiochii; przybył tam z całym swym wojskiem. Potem towarzyszył armii rzymskiej w jej marszu na południe, ku Ptolemais, wzdłuż wybrzeży Fenicji; okazywał swoją lojalność i gotowość niesienia wszelkiej pomocy. Jednakże w fenickim Tyrze – tym samym, w którym swego czasu miała przebywać w domu publicznym Helena, nim ją odnalazł i uwolnił Szymon – czekała go przykra sprawa.

Tyryjczycy, mający widocznie dawne porachunki z królem, wystąpili z poważnymi oskarżeniami przeciw niemu. Przekonywali Wespazjana, że Agryppa tylko udaje przyjaciela Rzymian, w rzeczywistości zaś jako Żyd jest całym sercem po stronie powstańców i skrycie ich popiera, dopuszczając się zdrad podłych i przemyślnych. Dowód? Owszem, tyryjczycy powoływali się na pewien fakt. Twierdzili mianowicie, że oficer królewski Filip dopomógł w Jerozolimie do wymordowania rzymskich żołnierzy; broniąc bowiem wraz z nimi pałacu Herodowego, potajemnie wszedł w porozumienie z ludźmi Menahema, niespodziewanie skapitulował i opuścił mury, co w konsekwencji doprowadziło do zupełnej zagłady rzymskiej załogi.

Oskarżenie wydawało się uzasadnione. Wespazjan wiedział już, dzięki informacjom z różnych źródeł, jak przebiegało oblężenie Herodowego pałacu i w jakich okolicznościach doszło do rzezi rzymskich żołnierzy. Musiało go zastanowić, dlaczego to odejście Filipa tak ich zaskoczyło, że nie mieli czasu nawet na przeniesienie zapasu żywności do trzech wież, w których chcieli bronić się dalej; co więcej, wszystko działo się tak szybko, że wchodzący do wnętrza powstańcy dopadli niektórych Rzymian jeszcze na ich dawnych pozycjach, poza wieżami. Czyżby więc Filip nie uprzedził swych towarzyszy broni, że prowadzi rokowania i zamierza kapitulować? Już to samo stanowiłoby zdradę!

Wszelako Wespazjan zachował się roztropnie i nader powściągliwie. Przede wszystkim, ostro skarcił oskarżycieli Agryppy. Jakimże prawem, z jakiego tytułu ośmielają się szkalować człowieka, który nosi miano przyjaciela ludu rzymskiego? Król jest ponad wszelkimi podejrzeniami! Sprawy Filipa przed tyryjczykami już nie poruszał. Obawiał się, że mogłoby to urazić władcę, na którym bardzo mu zależało. Prywatnie wszakże doradził Agryppie, aby wysłał Filipa do Rzymu; niechże osobiście tłumaczy się przed majestatem cesarza i odpiera zarzuty, że winien jest śmierci tylu Rzymian!

Tak więc Filip wyjechał do Italii. Nie od razu jednak. Nie spieszył się i podróżował prawie rok. Stał w Rzymie dopiero wiosną roku 68. Neron miał wtedy poważniejsze sprawy na głowie. A kiedy cesarz zginął samobójczo, Filip spokojnie powrócił do Palestyny. Wobec lawiny wielkich wydarzeń nikt już nie rozpamiętywał, czy Filip zdradził w pałacu Herodowym, czy też nie; wydawało się to czymś prawie obojętnym i odległym. Trzeba przyznać, że człowiek ten miał przedziwne szczęście! Wciąż wpadał w ciężkie tarapaty i o śmierć się ocierał, lecz zawsze cudem wychodził z opresji cało.

Pożegnawszy Tyr, Wespazjan i Agryppa przenieśli się wraz z armią dalej na południe, do Ptolemais. Mieszkańcy tego miasta, nauczeni doświadczeniem tyryjczyków, już, nie szkalowali króla; ale i tak spotkały go tutaj kłopoty. Przybyła mianowicie delegacja greckich miast zza Jordanu. Oskarżyła Justusa z Tyberiady, znajdującego się w orszaku monarchy, że przed kilku miesiącami napadał na ich wsie. Ponieważ Tyberiada należała do Agryppy, Wespazjan uznał, że sprawę on winien rozpatrzyć. Król ukarałby Justusa śmiercią, gdyby nie Berenika; dzięki jej wstawiennictwu Justusa skazano tylko na więzienie, z którego zresztą wkrótce wyszedł. Orędując za Justusem, Berenika okazała nie tylko dobre serce, lecz i rozsądek, ponieważ jego wina nie była całkiem oczywista. Oskarżenie opierało się tylko na tym, że w utarcz-

kach z Grekami zza Jordanu zginął Justusowy służący; ale czy uczestniczył on w wyprawie z rozkazu swego pana?

Wzmianka o roli, jaką odegrała Berenika w tej sprawie, wskazuje jednocześnie, że królowa towarzyszyła bratu i pochodowi armii rzymskiej. Była więc i w Tyrze. W tym mieście fenickim, w którym Ennoja-Helena żyła zamknięta w domu publicznym, póki nie wyzwolił jej Szymon. A trzeba tu dodać, że również Klemens odwiedził Tyr. Przybył tam z Cezarei nadmorskiej wraz z Akwilą i Niketasem. Wszyscy trzej zamieszkali u pewnej pobożnej dziewczyny imieniem Berenika; ona to powiedziała im, że Szymon, pokonany przez Piotra w cezarskiej dyspucie, teraz tu się przeniósł i czyni znaki tak przedziwne, że wielu w mieście oddaje mu cześć boską! Rankiem jednak dowiedziano się, że Szymon już wyjechał do Sydonu, w Tyrze zaś pozostawił tylko swych uczniów. Mimo to Klemens i dwaj bracia korzystali jeszcze z gościny Bereniki przez dni kilka, dysputując z uczniami maga. Kim było owa pobożna dziewczyna, nosząca imię władczyni o gorącym temperamencie, lecz i bardzo religijnej? A może... może chodzi o jedną i tę samą osobę?

W Ptolemais królowa Berenika ujrzała Tytusa po raz pierwszy. Na krótko. Chwila nie sprzyjała rozmowom i spotkaniom. Czas naglił, wojna już się toczyła w Galilei.

JÓZEF: MOJE CZYNY I PRZYGODY W GALILEI

Po klęsce Cestiusza zwołaliśmy zgromadzenie ludu na dziedzińcu świątynnym. Chcieliśmy wybrać starszyznę, która by odtąd kierowała całością spraw wojny. Po tym bowiem, co się stało, wszyscyśmy wiedzieli, że nie ma już odwrotu; wielu zaś marzyło nawet o zwycięstwie! Rzecz jednak znamienne: przy wyborach udało się nam odsunąć dotychczasowe przywództwo Żarliwych, choć przecież wstawili się oni w ostatnich walkach. Zadecydowała jednak powaga starszyny. Co prawda Żarliwi, mając zdobyczną broń rzymską i pieniądze, faktycznie i tak wiele znaczyli. Na stanowisko najwyższe w samej Jerozolimie powołaliśmy Józefa, syna Goriona, oraz byłego arcykapłana Ananosa. Także inne okręgi kraju otrzymały swoich wodzów. Mnie powierzono Galileę, przydając do pomocy dwóch kapłanów.

Udałem się tam natychmiast. Pracując wytrwale, energicznie i przemyślnie, w krótkim czasie dokonałem rzeczy wielkich. Umocniłem murami i fosami wiele miejscowości. Przygotowałem wielotysięczne zastępy wojska. Każde bowiem z miast wystawiało do walki połowę swej młodzieży, druga zaś połowa miała pracować i dbać o dostawy żywności. Mieliśmy prócz tego cztery i pół tysiąca najemników na żołdzie, a z sześciuset zaufanych zorganizowałem straż przyboczną. Tak więc ludzi nie brakowało, mieliśmy natomiast kłopoty z bronią i z wyćwiczeniem. Broń ściągałem skąd tylko się dało, nawet starą; aby zaś wprowadzić ład jakiś, uformowałem oddziały z owej masy pospolitaków, którym przewodzili oficerowie z tytułami dziesiętników, setników, tysięczników. Piechoty było bez liku, jeźdźców zaś trzystu pięćdziesięciu.

Pragnąc wciągnąć miejscową ludność do współpracy, powołałem radę siedemdziesięciu. W otoczeniu rady odbywałem niektóre objazdy kraju, dzieląc się odpowiedzialnością zwłaszcza w rozsądzaniu spraw poważniejszych; w sporach bowiem drobnych wyrokowały w każdej miejscowości siedmioosobowe zespoły sędziowskie, również przeze mnie wprowadzone.

Byłem bez przerwy w ruchu, rzadko dwa razy pod rząd nocując w tym samym domu. Podróżowałem po całej Galilei. Staralem się osobiście wszystkiego doglądać, z każdym porozmawiać, opieszłych zachęcić do wysiłku, nadgorliwców utemperować. Na jakież jednak natrafiłem trudności i kłopoty – i to ze strony rodaków, podwładnych, współpracowników! Nie z Rzymianami walczyć musiałem i nie z ludźmi króla, lecz z wrogiem znacznie bezwzględniejszym i podstępniejszym, bo niby to ze swoimi. Jakie intrygi knuto, jakimi oszczerstwami mnie obrzucano, jakim niebezpieczeństwom musiałem sprostać! Księgi by całe o tym pisać, a i tak nie wiem, czy wszystko bym zdołał dokładnie opowiedzieć; pamięć przecież zawodna, a sprawy zmieniały się wtedy niemal z godziny na godzinę. Wspomnę więc na chybił trafił i tylko dla pokazania przykładowo, co wtedy się działo, choćby takie fakty:

Łajdak, oszust i złodziej Jan z Gischali – oczywiście dopiero poniewczasie stwierdziłem, jaki to szubrawiec – prosił, abym pozwolił mu zabrać zboże kontyngentowe ze wsi Galilei górnej; to, które miało odejść do magazynów cesarskich, ale skutkiem wybuchu powstania zostało na miejscu; obiecywał, że zboże sprzeda, a uzyskane pieniądze obróci na umocnienie murów Gischali. Ja wprawdzie wolałbym mieć to zboże w swojej dyspozycji, on wszakże nalegał uporczywie; doszło wreszcie do tego, że przekupił obu moich towarzyszy i dzięki ich głosom postawił na swoim. Potem zaczął biadać, że nasi rodacy, przetrzymywani w stolicy króla Agryppy, w Cezarei Filipowej, nie mają oleju palestyńskiego i muszą namaszczać się greckim, co jest sprzeczne z obyczajem i prawem. Zgodziłem się na wysłanie tam oleju z Gischali. Ale tu płaciło się cztery drachmy za dwie kwarty! Zarobił na tej transakcji masę pieniędzy. Owszem mury umocnił, ale przede wszystkim najął czterystu drabów, przeważnie zbiegów z ziemi tyryjskiej. Wypuszczał ich na różne miasta i wsie, żeby napadali i rabowali, a równocześnie rozgłaszał, że to moja wina, bo nie umiem ładu utrzymać i szerzy się bandy-

tyzm! Wołał, że trzeba jak najprędzej złożyć mnie z urzędu. Oczywiście chodziło mu o to, aby samemu zająć moje miejsce. Toteż potajemnie słał do Jerozolimy ostrzeżenia i oskarżenia, że w zмовie z Rzymianami i królem, że zdrajca i sprzedawczyk. Nie cofnął się nawet przed próbą zamachu. Przebywał przez czas jakiś – za moją pisemną zgodą! – na kuracji w cieplicach koło Tyberiady; korzystając z okazji, zaczął podburzać tamtejszą ludność. Pospieszyłem do miasta od razu, gdy tylko zmiarkowałem, co się dzieje. Zwołałem więc ludu na placu wyścigowym tuż u wybrzeży jeziora. Stałem na małym wzniesieniu. Zaledwie jednak usta otworzył, poniekąd ze stojących w dole wyciągnęli miecze. Uratowałem się w ostatniej chwili, ostrzeżony okrzykiem jednego z moich ludzi. Zaryzykowałem śmiały skok wprost ku łodziom w przystani. Cudem wyrwałem się ścigającym i popłynąłem do Tarichei.

A oto inna sprawa. Mieszkańcy Tyberiady pod przewodnictwem Justusa chwycili za broń przeciw Rzymianom. Ale działało tam również fanatyczne stronnictwo ludności ubogiej, złożone zwłaszcza z rybaków i wioślarzy; rej wodził wśród nich Jezus, syn Tufy czy też Safiasza, który wkrótce został naczelnikiem całego miasta. Jego to ludzie spalili w mieście pałac króla Agryppy, bo zdobyły go wyobrażenia zwierząt, co jest istotnie sprzeczne z naszym prawem. Naprawdę jednak chodziło im tylko o rabunek, jako że w pałacu nawet sufity były złoczone. Rozgrabili wszystkie co kosztowniejsze sprzęty, ale sporo z nich zdołałem później odebrać i pilnie ich strzegłem, aby w swoim czasie zwrócić prawemu właścicielowi.

Zdarzyło się także, że żona Ptolemajosa – był on włodarzem dóbr Agryppy i Bereniki – jechała przez równinę pomiędzy Galileą a Samarią ku miastom nadmorskim, gdzie stały rzymskie załogi. Miała juczne zwierzęta, a towarzyszyło jej dla obrony tylko kilku jeźdźców. Toteż banda młodych zuchwalców, przybyła ze wsi położonej u stóp góry Tabor, łatwo przepędziła owych pacholków. Kobieta uciekła, a cztery muły, obładowane worami i skrzyniami, zdobywcy popędzili do Tarichei, gdzie wtedy miałem swoją kwaterę. Znaleźliśmy w bagażu kosztowne stroje, srebrne naczynia, kilkaset sztuk ciężkich, złotych monet. Mimo to zganiłem młodych ludzi za dokonanie napadu, bom nie chciałem zadzierać z Agryppą i Bereniką, zwłaszcza że Ptolemajos był mi znajomy. Powiedziałem im jednak, że skoro już się tak stało, zdobywcze zachowam i sprzedam, a pieniądze odeślę do Jerozolimy, żeby w ten sposób przyczynić się do umocnienia jej murów. Tak więc łotrzyki srodze się zawiedli w swoich rachubach; mieli nadzieję, że za swoją fatygę otrzymają przynajmniej część łupu, a odeszli z pustymi rękami! Wprost sprzeciwić się mi nie śmieli, ale jeszcze tej samej nocy zaczęli ganiać po wsiach okolicznych, rozpowiadając, że sprzyjam królowi i Rzymianom i że zdobywcze ukrywam, aby potem zwrócić ją Ptolemajosowi! Wołali, że trzeba natychmiast rozprawić się ze mną. Rankiem zbiegły się do Tarichei tłumy ogromne. Przewodził im Jezus. Jeszcze spałem spokojnie w swoim domu – a było przy mnie tylko kilku ludzi – gdy tamten już pędził ze swoimi, wymachując żagwiami, żeby spalić mnie żywcem. Wymknąłem się jednak i poszedłem określną drogą na stadion, gdzie lud był zebrany. Miałem na sobie czarną szatę, a jeszcze ją rozerwał na piersi, głowę posypałem popiołem, miecz uwiązałem u szyi. Tak stanąłem przed nimi jak żałobnik i pokutnik, bezbronny, z góry się poddając ich wyrokowi. Zaraz podniosły się krzyki:

– Gdzie skarb? Komu go dałeś?

I zginąłbym tam marnie, gdybym nie złożył uroczystego przyrzeczenia, że za własne pieniądze otoczę dobrym murem i Tyberiadę, i Taricheę, i jeszcze kilka innych miasteczek. To uspokoiło tłumy. Ludzie powoli zaczęli się rozchodzić, a ja spokojnie wróciłem do swego domu. Zaledwie jednak odetchnąłem, moja straż doniosła, że zbliża się banda zbrojnych z żagwiami, głośnie pokrzykując. Miałem przy sobie tylko garść żołnierzy, trzeba było ratować się podstępem. Zaraz więc wyszedłem na dach i stamtąd krzyknąłem, że skarb wydam, ale muszą wybrać i przysłać po odbiór kilku swoich. Delegacja wnet stanęła u drzwi. Ale gdy tylko bandyci znaleźli się w środku, rzuciliśmy się na nich kupą, wepchnęliśmy do piwnicy, wychłostaliśmy do krwi batogami, a prowodyrowi, który najbardziej się stawiał, ucieliśmy

rękę. Wyszli półnagzy, krwią umazani, ledwie trzymając się na nogach; wódz kroczył na przedzie, a odcięta ręka dyndała mu na piersi, bośmy mu ją uwiązali u szyi na sznurku. Taki to dźwigał skarb swój najdroższy! Tamci zaś, widząc ów pochód żalony, stali w grobowym milczeniu. Potem jakby się roztopili. Zniknęli nie wiadomo gdzie i kiedy.

Takie to i tym podobne były moje czyny oraz przygody zimą i wiosną roku 67. A tymczasem przychodziły wieści, że wódz rzymski Wespazjan już maszeruje ku nam z Antiochii. Ślepy by odgadł, że najpierw uderzy na Galileę.

PLACYDUS W GALILEI

Walki w Galilei rozpoczęły się, nim jeszcze Tytus przybył do Ptolemais ze swoim legionem. Wespazjan wysłał tam sześć tysięcy pieszych i tysiąc jeźdźców pod wodzą trybuna Placydusa. Prosil go o to wysłannicy miasta Seforis, największego w tej krainie i leżącego w jej sercu. Jak była o tym mowa, w czasie zeszłorocznej kampanii Cestiusza Gallusa Seforis sprzyjało Rzymianom; po jego klęsce prowadziło bardzo dwuznaczną politykę wobec powstańców i ich przywódcy, Józefa; obecnie więc starało się o rzymską pomoc wojskową z obawy przed zemstą rodaków. Wespazjan chętnie przychylił się do prośby. Rozumiał, że mając Seforis w swym ręku, będzie kontrolował całą Galileę, kraj żyzny, bogaty, ludny; liczone tu dwieście czterdzieści wsi i miasteczek.

Wojska Placydusa stanęły na wielkiej równinie w pobliżu miasta. Jeźdźcy strzegli obozu, piesi zaś kwaterowali w samym Seforis. Rzymskie oddziały krążyły po okolicy, grabiąc co tylko się dało i atakując grupy powstańców. Aby kres temu położyć, Józef próbował ataku na miasto. Bez powodzenia. Niedawno sam się przyczynił pośrednio do jego umocnienia – jakże przeklinał to teraz! – a mieszkańcy nawet nie chcieli słyszeć o przejściu na stronę powstańców; dobrze wiedzieli, co by ich czekało za zdradę wspólnej sprawy. Jedynym więc rezultatem nieudanej akcji było to, że Rzymianie poczuli się pewniejsi i srożyli się jeszcze bardziej. Dniem i nocą pustoszyli osiedla i pola, zagarniali wszelki dobytek, zabijali mężczyzn zdolnych do noszenia broni, resztę zaś ludności gnali do niewoli. Mieszkańcy chronili się w miejscach ufortyfikowanych.

Placydus nie bez racji sądził, że jeżeli zdobędzie najsilniejszą z tych twierdz, porazi pozostałe takim strachem, że skapitulują same; w ten sposób wojna w Galilei zakończyłaby się rychło; kiedy zaś padłaby ta kraina, ugięłyby się też wszystkie ziemie objęte powstaniem. Za cel najgodniejszy uznał Jotapatę, miasto położone nieco na północ od Seforis, tuż obok Kany Galilejskiej. Miał nadzieję, że pójdzie mu łatwo, jeśli dokona nagłego ataku. Jednakże mieszkańców Jotapaty uprzedzono w porę. Wyszli przed miasto i niespodziewanie uderzyli na rzymską kolumnę marszową. Zaskoczeni w polu legioniści wycofali się, w pełnym jednak porządku i w zwartych szykach, tracąc tylko siedmiu zabitych. Powstańcy razili ich pociskami z pewnej odległości i nawet się nie zbliżali, wiedząc dobrze, że swoimi mieczami nie przebiją rzymskich pancerzy. Po ich stronie poległo trzech ludzi.

W istocie więc była to drobna utarczka. Ale właśnie meldunek o niej skłonił Wespazjana, by wkroczyć samemu i na czele większych sił do Galilei. Walki trwały tam już dość długo, Placydus nie zdołał spacyfikować kraju, ostatnia zaś porażka, choć nic nie znacząca, mogłaby rozzuchwalać powstańców; zwłaszcza gdyby wieść o niej, podawana z ust do ust, urosła i ubarwiła się tak bardzo, że zaczęto by mówić o straszliwej klęsce Rzymian. Ważne było i to, że tymczasem stanął w Ptolemais Tytus i jego legion. Cała więc armia była już skoncentrowana i gotowa do rozpoczęcia działań.

Ludność Galilei, a zwłaszcza wysłannicy i zwiadowcy Józefa, obserwowali marsz rzymskiej kolumny z przerażeniem, ale i z podziwem.

RZYMIANIE W MARSZU I W OBOZIE

Pochód otwierały oddziały lekkobrojnych i łuczników, należące do wojsk sprzymierzonych. Miały stawiać czoło ewentualnym nagłym atakom nieprzyjacielskim, a także przeszukiwać wszelkie miejsca podejrzane i nadające się do przygotowania zasadzek, zwłaszcza lasy i zarośla. Za tą strażą przednią postępował oddział ciężkobrojnych Rzymian, pieszych i jeźdźców. Był bardzo liczny, każda bowiem z sześćdziesięciu centurii, na jakie dzielił się każdy legion, dawała po dziesięciu swych ludzi. Ci, ciężko obładowani, nieśli prócz zwykłego uzbrojenia i zaopatrzenia przeróżne przyrządy konieczne przy zakładaniu obozu. W skład tegoż oddziału wchodził również budowniczy dróg; prostowali odcinki zbyt kręte, wyrównywali stromizny, wycinali krzewy. Za ową brygadą, którą nazywać by trzeba saperską, szły tabory z osobistym bagażem Wespazjana i oficerów, pod silną eskortą jazdy. Teraz dopiero jechał wódz naczelny, mając przy sobie wybranych piechurów i jeźdźców, a tuż za nim jazda trzech legionów łącznie, w trzech szwadronach, po stu dwudziestu ludzi każdy. Następny człon kolumny stanowiły zwierzęta juczne, obładowane częściami machin wojennych i nawet wież, używanych przy oblężeniach. Dalej jechali dowódcy legionów, trybuni, centurionowie różnych stopni, w otoczeniu wyborowych żołnierzy, później zaś chorążowie legionów z ich orłami i godłami bojowymi, a także trębacze. Główna kolumna legionowa maszerowała w zwartych szeregach; w każdym z nich kroczyło ramię w ramię po sześciu ludzi. Obok szli centurionowie, pilnujący porządku.

Józef, tyle razy oglądający zbrojne pochody Rzymian, zawsze nieco się litował nad prostymi żołnierzami; mawiał, że wyglądają niemal jak muły juczne. I rzeczywiście, legionista dźwigał sporo. Miał na sobie pancerz, hełm, tarczę podłużną; u boku prawego przypasywał miecz długi, u lewego zaś krótki, rodzaj sztyletu (przez niedopatrzanie lub zwykłą pomyłkę pisarską Józef odwraca ten porządek przypasywania broni siecznej); w rękę trzymał pilum, rodzaj oszczepu o dość długim ostrzu z miękkiego żelaza; niósł także narzędzia konieczne przy pracy, a więc piłę, koszyk, rydel, siekierę, rzemienie, sierp, łańcuch – i wreszcie prowiant na trzy dni. Żołnierze wyborowi, strażujący przy dowództwie, tym się różnili od zwykłych szeregowców, że zamiast tarcz podłużnych mieli okrągłe, a zamiast pilum długie włócznie. Natomiast jeźdźcy nosili u prawego boku długi miecz, w rękę dzierżyli dzidę, a prócz tego w ich kołczanach tkwiły trzy pociski o długich, płaskich ostrzach. Tarczę zawieszali u boku konia.

Za główną kolumną legionową szła służba, prowadząc muły i inne zwierzęta juczne, obładowane bagażem żołnierskim. Z tyłu postępowała reszta wojsk zaciężnych. Cały zaś pochód zamykała straż tylna, złożona z lekkobrojnych, legionistów i jeźdźców.

A jakimże popisem sprawności, dyscypliny i ładu było zakładanie obozu! Jak zwykle wyznaczono nań miejsce w terenie równinnym. Brygada saperów natychmiast wytyczyła zarys czworoboku i wyrównała wszelkie fałdy gruntu. Potem przystąpili do wznoszenia szańców i wież na nich oraz kopania fosy, pozostawiając jednak miejsce na cztery bramy. Równocześnie inne grupy ustawiały namioty wzdłuż prostych uliczek, dzielących całą powierzchnię czworoboku na równe bloki; w środku, na głównym placu obozowym, stanął budynek dowództwa, praetorium. Każdy legion, każda kohorta i centuria udawały się natychmiast do swego rejonu. W przepisanej kolejności poszczególne oddziały zajmowały się czynnościami gospodarczymi, które przypadały im w danym dniu, a więc zbieraniem drzewa na opał, czerpaniem i znoszeniem wody, zaopatrzeniem w paszę i żywność.

Sygnaly dawane trąbką regulowały całe życie obozu. One wyznaczały czas wieczerzy, udawania się na spoczynek, rozpoczęcia dnia, apelu porannego, posiłków. Przy opuszczaniu obozu pierwszy sygnał wzywał do zwinięcia namiotów; sygnał drugi do wkładania ich na

zwierzęta juczne oraz do podpalania tych budowli, których się nie zabiera; sygnał trzeci nazywał wymarsz. Kolumna, trzymająca się z góry wiadomego porządku, ustawiała się, rozwijała i ruszała w drogę szybko, sprawnie, spokojnie. Każdy znał swoje miejsce i swój obowiązek – w marszu, w obozie, w bitwie.

JÓZEF: WYCOFUJĘ SIĘ DO TYBERIADY

Gdy Wespazjan wkraczał do Galilei, stałem ze swoimi ludźmi w pobliżu miasteczka Garis, nieco na wschód od Seforis. Kiedy tylko dzielni moi wojownicy zmiarkowali, że wojna zaczęła się naprawdę i że idzie na nich sam wódz naczelny z całą swoją armią, rozpierzchli się natychmiast na wszystkie strony. Uciekli, nim jeszcze zobaczyli na własne oczy choćby jednego legionistę. Pozostała przy mnie tylko garstka najwierniejszych. Nie było nawet co myśleć o tym, by z tak szczupłymi siłami zastąpić drogę nieprzyjacielowi. Zresztą w całej Galilei zaczęto coraz powszechniej i otwarciej mówić o kapitulacji; zastanawiano się tylko, czy Rzymianie dotrzymają jej warunków.

Trwanie na tak wysuniętym posterunku wydawało się nonsensem. Zebrałem więc swoich i przenieśliśmy się dalej na wschód, do miasta Tyberiady u wybrzeży jeziora Genezaret.

Tymczasem Wespazjan opanował miasteczko Garaba, leżące na północ od Seforis. Zajął je bez walki, wszyscy bowiem uzbrojeni w porę stamtąd uciekli. Ale i tak rozkazał wyróżnić wszystkich mężczyzn zdolnych do walki; żołnierze zaś wykonali ten rozkaz jak najskrupulatniej, wycięli bowiem bezlitośnie zarówno chłopców, jak i starców. Chcieli w ten sposób pomścić klęskę Cestiusza sprzed kilku miesięcy. Spalili Garabę, puścili też z dymem wsie okoliczne; ludność przeważnie wcześniej z nich pouciekała, a kto pozostał, szedł do niewoli.

Moje przybycie do Tyberiady wywołało popłoch. Bo i któż mógłby mieć nadzieję, że wojna zakończy się pomyślnie, skoro wycofuje się sam dowódca okręgu? I muszę przyznać, że ludność dobrze odgadywała moje najskrytsze myśli. Byłem najgłębiej przekonany, że cała wojna jest tragiczną pomyłką od początku i że jedyną szansą ratunku byłoby poddanie się wrogowi. Ja osobiście miałem pewne powody, by przypuszczać, że Rzymianie potraktują mnie wyrozumiale. Lecz zginąć bym wołał po wielokroć niż zdradzić ojczyznę i hańbą okryć powierzoną mi godność!

Wysłałem więc pismo do Jerozolimy. Przedstawiłem jak najwierniej sytuację w Galilei. Dokładnie ważyłem każde słowo raportu. Chodziło mi o to, by rzecz nie czyniła wrażenia, że przesadzam w ocenie sił nieprzyjaciela; wtedy okrzyczano by mnie jako tchórze. Z drugiej zaś strony nie chciałem umniejszać grozy położenia, bo wtedy osłabiłbym argumenty stronnictwa przeciwnego wojnie. Zakończyłem wezwaniem:

„Jeśli pragniecie zawrzeć układ, powiadomcie mnie o tym jak najszybciej. Jeśli natomiast jesteście zdecydowani dalej prowadzić wojnę, przyslijcie mi odpowiednie posiłki!”

Wyprawiłem gońców z listami do Jerozolimy i natychmiast potem otrzymałem wiadomość, że Wespazjan zmierza ku Jotapacie. Nie czekałem już na odpowiedź ze stolicy. Uznałem, że obowiązek wodza wzywa mnie tam, gdzie musi dojść do starcia, od którego zależy przyszłość Galilei.

RZYMIANIE POD JOTAPATĄ

Stanąłem w Jotapacie w dniu 21 miesiąca Ijjar (koniec maja). Rzymian jeszcze nie było pod miastem, jednakże ich lekkobrojni pod osłoną jazdy już od czterech dni przygotowywali drogę dla głównego korpusu wojsk; wiodła ona przez góry i była tak kamienista, że piesi przebyliby ją tylko z trudem, jeźdźcy zaś nie zdołaliby jej sforsować w żaden sposób. Moja obecność dodała ducha mieszkańcom, przerażonym grozą zbliżającego się ataku. Rzecz to zrozumiała, że stali się odważniejsi, mając wodza u siebie.

Niemal tuż po moim przyjeździe dojrzeliliśmy z murów pierwszych Rzymian. Była to na razie tylko przednia straż wielkiej armii: tysiąc jeźdźców pod dowództwem, jak się wnet dowiedziałem, trybuna Placydusa i dekuriona Ebucjusza. Był to ten sam Ebucjusz, z którym miałem już do czynienia przed kilku miesiącami. Na czele stu jeźdźców i dwustu piechurów krążył on wtedy po wielkiej równinie Esdraelon pomiędzy Galileą a Samarią. Starłem się z nim na czele swojego oddziału powstańców, liczącego dwa tysiące pieszych; jazdy bowiem nie miałem w ogóle. Ebucjusz stracił trzech zabitych i pospiesznie wycofał się z równiny na zachód, do Gaby, niezbyt odległej od miasta Ptolemais. Szedłem za nim trop w trop. Stanąłem o 20 stadiów od Gaby, w miasteczku Besara. Tam właśnie znajdowały się spichlerze ze zbożem, zwiezionym z włości królowej Bereniki. Pod osłoną swych posterunków załadowałem zboże na wielbłądy i osły, a potem przewiozłem do Galilei. Ebucjusz zaś nie śmiał mi przeszkodzić. Tak wyglądała moja pierwsza z nim przeprawa.

Ludzie przedniej straży natychmiast otoczyli nasz gród, tak by nikt nie mógł się przedostać. Zadanie nie było trudne. Jotapata mianowicie wznosi się na skalistym wzgórzu, wybiegającym ku południowi ze znacznie wyższego masywu górskiego. Wzgórze ma zewsząd zbocza bardzo strome, wręcz przepaściste; kto patrzy z murów w dół, dostaje zawrotu głowy. Tylko od strony północnej, czyli tam, gdzie łączy się z górą macierzystą, dojście jest znośne, a nawet łatwe do sforsowania, prowadzi bowiem stokami w dół, ku murom. Oczywiście właśnie ten odcinek umocniłem szczególnie starannie. Góry otaczają Jotapatę wokół, tak że miasto można dostrzec dopiero będąc w jej pobliżu.

Byłem i jestem przekonany, że tak szybkie zjawienie się Rzymian pod Jotapata spowodowała wiadomość o moim tam przybyciu; zaniósł ją do ich obozu pewien zbieg, a Wespazjan uradował się, jakby spotkało go jakieś szczęście. Widział w tym zrządzenie opatrności: oto człowiek, uchodzący za najbystrzejszego wśród nieprzyjaciół, dobrowolnie wpada w sidła!

Toteż już nazajutrz po oddziale Placydusa ruszyła na Jotapatę cała armia. Marsz długiej kolumny wojsk w trudnym terenie trwał aż do wieczora. Rzymianie rozbili obóz na północ od miasta, a więc na owej wysokiej górze, w odległości zaledwie siedmiu stadiów od murów. Potęgę, sprawność i ład ich szyków widać było doskonale, każdy szczegół i ruch mieliśmy jak na dłoni. Stanęli umyślnie tak blisko, aby porazić nas strachem. I rzeczywiście, nikt nie ośmielił się wyjść przed mury; obozowały tam jednak grupy naszych powstańców, w samym bowiem mieście panowała ciasnota; te wszakże mogłyby w każdej chwili w razie potrzeby schronić się za bramy.

Tego dnia Wespazjan nie rozpoczął działań, bo i pora była spóźniona, i żołnierz znużony. Ustawił jednak wokół miasta dwa łańcuchy posterunków piechoty oraz na zewnątrz tych dwu – krąg jeźdźców.

PIERWSZE DNI OBLĘŻENIA

Dni następnych walki toczyły się przed murami, a więc na stoku wznoszącym się ku północy. Gdy Rzymianie podchodzili bliżej, nasi czynili wypadki; w tych starciach obie strony traciły po kilkunastu zabitych. Dopiero po pięciu dniach takich utarczek Wespazjan, rozglądając się dobrze w terenie i wybadawszy nasze siły, zrozumiał, że musi przystąpić do prawdziwych prac oblężniczych.

Rzymianie rozpoczęli budowę wielkiego wału, który miał dorównać murom miasta na odcinku północnym. Wznosili go z pni drzew, wyrąbywanych w lesie, z ziemi i z głazów; dla zabezpieczenia się przed naszymi pociskami pracowali pod osłoną plecionek, rozpiętych na palisadzie. Jednocześnie sto sześćdziesiąt ich katapult i balist miotało na nas pociski, ciężkie kamienie, płonące żagwie, całe chmury strzał. Niebezpiecznie było pokazywać się nie tylko na murach, ale nawet na ulicach, gdzie tylko sięgały pociski; tym bardziej że prócz machin strzelali też i miotali swe pociski łucznicy, dzirytnicy i procarze. Próbowaliśmy wycieczek. Wypadając niespodziewanie, podpalaliśmy plecionki i palisady, niszczyliśmy wał, zabijaliśmy pracujących przy jego umacnianiu. Wespazjan wnet jednak wpadł na pomysł, w jaki sposób kres temu położyć; oto rozkazał połączyć osłony w linię nieprzerwaną – a tej nie potrafiliśmy już sforsować.

Ponieważ rzymski wał miał niedługo dorównać wysokości naszych murów, trzeba było je podnieść. Dla zabezpieczenia murarzy my z kolei musieliśmy naśladować rzymski pomysł: wbiliśmy w mur pale i rozciągnęliśmy pomiędzy nimi dopiero co zdarte skóry wołów; taka osłona osłabiała impet głazów, mniejsze pociski odbijała, ogień zaś jej się nie miał. W ciągu dnia i nocy nieprzerwanej pracy podciągnęliśmy mur o dwadzieścia łokci w górę, a ponadto umocniliśmy go wieżyczkami i blankami. Czuliśmy się pewniej, toteż ponowiliśmy wycieczki za mury. Rzymianie natomiast poniechali na razie myśli o szturmie – a po to przecież wał budowali – i nie kontynuowali pracochłonnych robót oblężniczych. Postanowili wziąć nas głodem.

Jotapata była dobrze zaopatrzona we wszystko z wyjątkiem soli i wody. W mieście nie było żadnego źródła, żadnej studni. W okresie opadów zimowych wyłapywano wodę deszczową do cystern skalnych i korzystano z niej przez całe lato. Zazwyczaj to wystarczało; obecnie jednak w murach znajdowało się poza stałymi mieszkańcami sporo ludzi z zewnątrz; wypadło więc wodę racjonować. Wprowadzenie tej zasady oraz strach, że wody może zabraknąć, spowodowały, że wszyscy zaczęli jej łaknąć. Co gorsza, Rzymianie mieli dobry wgląd w miasto ze swego wału na stoku góry; zaczęli więc razić pociskami miejsce, w którym ludność gromadziła się z naczyniami po swój przydział wody. Trzeba było odebrać im nadzieję, że miasto skapituluje. Z tej przyczyny rozkazałem dobrze namoczyć sporo odzieży i tak ją rozwiesić na murach, by woda strugami po nich ściekała. Rzymianie dali się zwieść; widocznie doszli do wniosku, że w mieście bije źródło. Powrócili natomiast do planu wzięcia Jotapaty siłą.

W tymże czasie oblegający odnieśli pewien sukces – drobny, lecz dla nas bolesny. Oto wysłedzili, że wykorzystujemy pewną szczelinę w skale zachodniej i nocą wyprawiamy tamtędy ludzi (dla bezpieczeństwa kazałem im przywdziewać kosmate skóry i pełzać, żeby wydawali się psom podobni), którzy przynoszą żywność i listy. Teraz i tu postawili silne, czujne straże.

POZOSTAJĘ W JOTAPACIE

Nie ulegało wątpliwości, że miasto padnie, i to już niedługo. Jeśli w nim pozostanę, zginę bez potrzeby wraz z wszystkimi. Zacząłem więc radzić wraz z innymi przywódcami nad sposobem ucieczki z Jotapaty. Mieszkańcy wnet się o tym zwiędzieli. Dopadli mnie, kołem otoczyli, zaczęli błagać z krzykiem, abym ich nie opuszczał. Wołali, że tylko we mnie nadzieja ocalenia, bo w mojej obecności każdy będzie walczył dzielniej; a jeśli dostaną się do niewoli, ja podtrzymam ich na duchu. Odzywały się także głosy, że to hańba uciekać przed wrogiem i opuszczać przyjaciół; że chcę wyskoczyć jak z tonącego okrętu; że moje odejście przyspieszy ostateczną katastrofę wszystkich.

Ja ze swej strony usiłowałem ich przekonać, że zamierzam wyjść z miasta nie dla własnego bezpieczeństwa, lecz właśnie dla ich dobra. Mówiłem:

– Jeśli pozostanę w murach, niewiele będę mógł zrobić, aby was ocalić, a w razie upadku miasta zginę bezużytecznie. Natomiast gdy tylko się wydostanę z oblężenia, okażę się ogromnie pomocny z zewnątrz. Zbiorę jak najspieszniej zbrojnych z całej Galilei i odciągnę Rzymian od was, szarpiąc ich zewsząd. W jaki sposób mogę to przeprowadzić, siedząc tu razem z wami? Przeciwnie, moja obecność sprawia, że wróg tym zacieklej szturmuje mury. Przecież to oczywiste, że Rzymianom zależy na dostaniu mnie w swoje ręce. Kiedy tylko się dowiedzą, że uszedł, na pewno osłabną ich ataki!

Jednakże moje słowa nie przekonały tłumu. Padali przede mną na kolana starcy, dzieci, kobiety z niemowlętami na ręku. Z płaczem i jękiem błagano, obejmując mnie za nogi, abym dzielił ich nieszczęście. Myślę nawet, że nie tyle zazdrozczono mi możliwości ratunku, ile rzeczywiście wierzono, że moja obecność okaże się w jakiś sposób pomocna

Zrozumiałem, że jeśli im ustąpię, te błagania pozostaną tylko błaganiami; gdybym jednak sprzeciwił się i trwał przy swoim, otoczą mnie silną strażą i zatrzymają przemocą. Zresztą, przyznać muszę, moim zamiarem opuszczenia miasta naprawdę zachwiała litość nad rozpaczającym tłumem. Krzyknąłem więc zdesperowany:

– Dobrze więc, walczmy tu i gińmy, bo żadnej nadziei dla nas nie ma! Zarobimy przynajmniej na pamięć u potomnych!

BARANI ŁEB

Jeszcze tego samego dnia dokonałem na czele swych ludzi wypadu na rzymskie pozycje. Znieśliśmy posterunki straży i przedarliśmy się aż do obozu, gdzieśmy zniszczyli skóry namiotów przy wale; rzuciliśmy też ogień na budowlę. Takie wypadki powtarzałem nieprzerwanie w ciągu następnego dnia i nocy. Udawały się dzięki temu, że ciężkozbrojnym legionistom trudno było nas dopaść. Wespazjan wreszcie w ogóle odsunął ich od walki, nasze zaś wycieczki odpierał przy pomocy łuczników i procarzy. Rozkazał też nieustannie miotać pociski z machin. Te powodowały wśród nas duże straty; ale jeśli tylko udało się przejść linię ostrzału, w walce wręcz zadawaliśmy przeciwnikom bolesne ciosy.

Tymczasem rzymski wał już się zbliżył do muru. Wespazjan, rozdrażniony przeciągającym się oblężeniem i naszymi wyczynami, zdecydował, że pora przystąpić do kruszenia ścian baranem. Tak właśnie nazywają to urządzenie. Długa, potężna belka, okuta na przedzie grubym żelazem w kształcie łba baraniego, zwisa na linach z poprzecznego drąga, położonego na dwóch palach; gromada mocnych chłopów ciągnie belę od tyłu, a potem z całą siłą miota nią do przodu; i nie znajdzie się mur tak potężny, który by się oparł częstym uderzeniom owego łba.

Rzymianie podprowadzili swe maszyny, podeszli też bliżej ich łucznicy i procarze. Nie sposób było pokazać się na murze. Wnet też podciągnęli taran. Dla zabezpieczenia obsługi otoczyli go zewsząd płotem, od góry zaś położyli skóry. Już przy pierwszym uderzeniu mur, niedawno budowany, wyraźnie zadrżał – a jednocześnie z naszych ust wydarł się okrzyk rozpaczy. Było oczywiste, że taran wałąc wciąż w to samo miejsce, wnet skruszy ścianę. Aby mur ratować, wpadłem na taki pomysł:

Napełnione plewami wory spuszczałyśmy na sznurach tam, gdzie bił łeb barani. Rzymianom sprawiało to początkowo dużo kłopotu, musieli bowiem wciąż zmieniać kierunek uderzeń; jeśli zaś trafiali na wory, ciosy traciły wiele na sile. Wkrótce jednak i oni znaleźli swój sposób: umocowali na długich tyczkach sierpy i przecinali nimi liny naszych worów. Taran znowu zaczął walić raz za razem, mur zaś pękał i ustępował.

Zebrawszy w mieście, ile się dało, suchych drewnianych, asfaltu, smoły i siarki wypadliśmy za bramy. Obrzuciliśmy wiązkami rzymskie umocnienia, a pożar rozpełtał się w mgnieniu oka. Był tak gwałtowny, że wróg stał zupełnie bezradny. Trzy razy szliśmy w ten sposób do ataku.

W tym to dniu właśnie Eleazar, syn Szamai, dokonał czynu bohaterskiego. Podniósł oburącz olbrzymi głaz i cisnął nim z taką siłą w łeb tarana, że jego żelazne okucie odpadło. Natychmiast skoczył z muru w dół, w sam środek osłupiałych ze zdumienia nieprzyjaciół, porwał żelazne okucie i wspiął się w górę! Był prawie nagi i jakby na cel wystawiony; toteż pięć strzał przeszło mu przez pierś, nim stanął na murze, on jednak zdawał się nawet bólu nie odczuwać. Gdy stanął wśród nas, powitaliśmy go okrzykiem radości. Ale w tejże chwili Eleazar upadł, wijąc się w straszliwych mękach. Wyzionął ducha, lecz swej zdobyczy z rąk nie wypuścił.

I znowu uczyniliśmy wypad na pozycje legionu dziesiątego. Przerwaliśmy pierwsze szeregi dobrze uzbrojonych nieprzyjaciół dzięki niezwykłej odwadze dwóch braci. Netejrasy i Filipa. Wdarliśmy się za nimi hurmą w wyłom linii pancernych, wymachując płonącymi żagwiami. Udało się nam podpalić maszyny, osłony i zebrany budulec zarówno legionu tego, jak i sąsiedniego, piątego.

Lecz wszystkie nasze wysiłki, pomysłowość, krew i bohaterstwo poszły na marne. Najgroźniejszą maszyną Rzymian była ich sprawność; a jakże było ją zniszczyć? Toteż pod wieczór taran znowu był na dawnym miejscu i rytmicznie walił swoim łbem baranim tam, gdzie mur już się kruszył.

RANA WESPAZJANOWA I SZTURM NOCNY

Właśnie w tym czasie, już o zmroku, któryś z naszych łuczników wypuścił celną strzałę i trafił Wespazjana w stopę. Rana, jak później się dowiedziałem, była powierzchowna i lekka, pocisk bowiem skutkiem dużej odległości stracił swój impet. Ale i tak wypadek ten wywołał niesłychane zamieszanie wśród Rzymian. Naczelny wódz broczy krwią! Wiadomość, podawana z ust do ust, po drodze momentalnie urosła i nabrała barwy grozy; tak to się zwykło dziać w podobnych okolicznościach. Zewsząd zaczęły się zbiegać ku rannemu gromady żołnierzy. Jako jeden z pierwszych zjawił się Tytus. Nie wiedząc jeszcze, o co chodzi, spieszył na wezwanie ku ojcu z tak oczywistym przerażeniem, że sam widok jego bladłości wywoływał niemal trwogę wśród kohort legionowych. Wnet jednak Wespazjan uspokoił syna i żołnierzy. Choć ból w nodze z pewnością mocno mu dokuczał, pokazywał się wszędzie i wszystkim. Porządek powrócił natychmiast. Oddziały znowu stanęły karnie na swych pozycjach, a legionieści z tym większą zaciekłością atakowali nasze mury, aby pomścić krew wodza. Incydent był drobny, ale nam, obserwującym wszystko z wysokości, sprawił dużo uciechy i dał chwilę oddechu.

Była już noc. Rzymskie maszyny nieustannie wyrzucały różnego rodzaju pociski, przelatujące w powietrzu z przeraźliwym świstem i upadające na ziemię z głuchym łoskotem. Siła ich uderzenia jest ogromna. Podam tylko dwa przykłady:

Jednemu z walczących na murze pocisk oderwał głowę i rzucił daleko w głąb miasta. Pewną kobietę brzemienną, wychodzącą z domu już o świtaniu, ugodził w brzuch i wyrwał z niego płód, który znaleziono o kilkadziesiąt kroków od ciała matki.

Tak więc całe miasto pełne było huku, wrzasków, płaczu i zawodzenia kobiet i dzieci. Ranni i konający rozpaczliwie wołali o pomoc. A wszystkie te głosy odbijały się gromkim i strasliwym echem od ścian górskich, które w krąg otaczają Jotapatę.

Mimo tych okropności nasi mężnie bronili muru. Raziliśmy Rzymian czym się dało. Oni jednak, dobrze ukryci za płotami i pod dachem skórzanym, bezpiecznie i nieprzerwanie walili taranem w nadwątloną ścianę. Rzucaliśmy wprawdzie na ich osłony płonące głownie, lecz tym sposobem więcej sami sobie czyniliśmy krzywdy; byliśmy bowiem oświetleni i niby w dzień widni, stanowiąc znakomity cel dla ich maszyn, strzelających z mroku. Toteż tej nocy mnóstwo naszych zginęło lub odniosło poważne rany. Najwięcej zwłok leżało pod samym murem. Wydawało się niemal, że wystarczyłoby wejść na stopy trupów, aby bez trudu wkroczyć do miasta. Lecz wielu jeszcze wrogów naszych miało polec, nim się to stało.

Już świtało, gdy w nadwątlonym murze ukazał się wyłom. Nasi osłonili go własnymi ciałami i bronią, a tymczasem z tyłu wznoszono w gorączkowym pośpiechu mur zastępczy. Rzymianie nie zdążyli przerzucić swych pomostów. A wkrótce potem, już rankiem, Wespazjan wydał rozkaz przerwania działań. Ludzie mieli wypocząć przez chwilę przed ostatecznym szturmem.

DZIEŃ 20 MIESIĄCA SIWAN

Jednakże obrońcy zdołali odeprzeć szturm całodzienny! Był to prawdziwy cud, który zaskoczył chyba nawet samego Józefa. Oczywiście on, dowódca oblężonego miasta, przypisywał sukces dzielności swych ludzi oraz własnej pomysłowości; tej, która doradziła mu wylewać kubły gorącej oliwy na zwarte szeregi wdzierających się na mur legionistów oraz chlustać na pomosty wywarem ziele, zwanego sianem greckim; czynił on deski tak śliskimi, że żołnierze nie mogli się na nich utrzymać. Wszystko to brzmi pięknie, podobnie jak i pochwała męstwa tych, co walczyli, by ocalić swe kobiety i dzieci; a krzyczały one tak przeraźliwie, że Józef rozkazał zamknąć je w domach.

Z drugiej wszakże strony tenże sam Józef podaje, że w ciągu całego dnia padło wśród obrońców tylko sześciu zabitych; rany odniosło ponad trzystu. Straty rzymskie z pewnością nie były dużo większe. Co dowodzi, że atak nie miał charakteru szturm generalnego i nie prowadzono go zbyt energicznie. Rzymianie z pewnością uderzyli tylko częścią swych sił i tylko dla próby. Nie mogło zresztą być inaczej. Trzeba mianowicie pamiętać, że położenie Jotapaty na urwistym wzgórzu dawało oblegającym dostęp wyłącznie z jednej strony, i to na stosunkowo wąskim odcinku. Gdy się okazało, że mur, choć nadwerężony, jeszcze się trzyma, a obrońcy stają dzielnie, Rzymianie ostatecznie odstąpili. Wespazjanowi szkoda było każdego żołnierza, ginącego lub ranionego przy zdobywaniu grodu, który i tak musiał paść w dniach najbliższych. Józef natomiast, zawsze skłonny do orientalnej przesady i do podnoszenia rangi działań rozgrywających się pod jego przywództwem, uczynił z owych starć zmagania na miarę Homerowych.

Atak przypuszczono w dniu 20 miesiąca Siwan, a więc pod koniec czerwca lub z początkiem lipca. Nazajutrz i w dniach następnych Rzymianie już nie podchodzili ku murom. Zastosowali inny sposób. Znacznie podwyższyli swój mur i ustawili na nim trzy wysokie wieże – drewniane, obite jednak blachą żelazną, tak że próżno byłoby ogień na nie rzucać. Na wieżach tych, ukryci za parapetami, stanęli najlepsi łucznicy, procarze i włócznicy; umieszczono tam nawet lekkie maszyny. Strzelcy razili obrońców miasta celnie i bez przerwy, nie pozwalając im nawet pokazać się na murze. Ludzie Józefa próbowali jeszcze dokonywać wypadów. Były jednak one coraz słabsze i coraz mniej skuteczne, a przy tym okupywano je coraz boleśnieszymi stratami.

PIERWSZE ZWYCIĘSTWO TYTUSA

Był jeszcze inny powód, dla którego Wespazjan nie ponawiał szturmów na Jotapatę. Oto w tychże dniach wyprawił znaczne oddziały swych wojsk, by spacyfikować dwie dość odległe miejscowości.

Pierwszym z nich dowodził Trajan. Wiodąc tysiąc jeźdźców i dwa tysiące pieszych, ruszył na miasto Jafę, leżące w Galilei południowej, w pobliżu Nazaretu. Było ono bardzo ludne i obwarowane znakomicie, bo murem podwójnym; zachodziła przy tym obawa, że wystąpi czynnie przeciw Rzymianom, zachęczone długotrwałym oporem Jotapaty. Obleżenie Jafy z pewnością nie byłoby łatwe; na szczęście jednak dla Trajana jej mieszkańcy, ufni w swoją przewagę liczebną, wystąpili do walki w otwartym polu. Rzymianie przegnali ich za pierwszym uderzeniem, a w pościgu wdarli się za mur pierwszy razem z uciekającymi. Pokonani chcieli schronić się do miasta właściwego, za mur drugi, bramy jednak znaleźli zamknięte. Próżne były ich krzyki i błagania. Ich rodacy, siedzący bezpiecznie wewnątrz, drżeli z trwogi, że gdy tylko otworzą się szerokie podwoje, Rzymianie wejdą razem z tłumem ich braci. Tak więc wszyscy miotający się pomiędzy pierwszym a drugim murem zostali wyrżnięci w pień przez legionistów; niektórzy sami zabijali się wzajem.

Było oczywiste, że zdobycie Jafy, która straciła tylu swych najdzielniejszych obrońców, przyjdzie łatwo. Trajan postąpił jednak bardzo lojalnie w stosunku do wodza naczelnego; zawiadamiając go o sukcesie i sytuacji poprosił jednocześnie, by przysłał tu swego syna; niechże i on ma udział w zwycięstwie! I rzeczywiście, Tytus wnet stanął pod Jafą. Prowadził pięciuset jeźdźców i tysiąc pieszych.

Zgodnie z przewidywaniami wypadki potoczyły się tu inaczej niż pod Jotapatą. Nie trzeba było prowadzić uciążliwych robót, walić w mury taranem, wznosić wałów, ostrzeliwać miasta z machin. Żołnierze podeszli pod mury z dwóch stron; przystawili drabiny, wdarli się na górę, szybko złamali opór. Natomiast prawdziwą, wielogodzinną bitwę musieli stoczyć w samym mieście, w jego wąskich uliczkach. Mieszkańcy stawiali tu opór rozpaczliwy. Nawet kobiety brały udział w walce, obrzucając z dachów czym tylko się dało rzymskie szeregi.

Potem wszystko skończyło się jak zwykle. Mężczyzn wycięto w pień, kobiety i małe dzieci sprzedano w niewolę. Był to dzień 25 miesiąca Siwan – dzień pierwszego zwycięstwa Tytusowego.

W tymże samym czasie Cerealis, dowódca legionu piątego, podchodził w Samarii ku świętej górze Garizim; miał ze sobą sześciuset jeźdźców i trzy tysiące pieszych. Powodem wyprawy były przedziwne wieści, że zebrały się tam tłumy uzbrojonych Samarytanów, oczekując nie wiadomo czego. Ponieważ Samarytanie, zgromadzeni na wierzchołku, zachowywali się spokojnie, Cerealis poprzestał na otoczeniu podnóży góry kordonem żołnierzy. Kopuła Garizim była ogromna, naga, odkryta, a stojące na niej tysiące ludzi nie zaopatrzyły się ani w żywność, ani nawet w wodę. Niektórzy, wystawieni przez cały dzień na prażące promienie słońca, zmarli z wycieńczenia; inni schodzili w dół i oddawali się w ręce Rzymian. Dopiero gdy siły tamtych znacznie stopniały, wódz odważył się wprowadzić swoich wyżej. Otoczył tych, co wytrwali, i wezwał ich do złożenia broni. Odmówili. Zginęli wszyscy w dniu 27 miesiąca Siwan. Lecz ci, którzy ich zabijali, z pewnością sami się zdumiewali nad szaleństwem swych ofiar. Jakież to tajemniczy zew kazał stawić się tu ludziom z różnych stron Samarii? Czego tu szukali, czego się spodziewali?

TAJEMNICA GÓRY GARIZIM

Bardzo możliwe, że sporo w tej dziwnej sprawie wyjaśnić by potrafił Cerealisowi i jego ludziom Poncjusz Piłat – gdyby żył jeszcze. W każdym razie przed trzydziestu dwu laty, kiedy to zarządzał Judeą jako prefekt (nosił bowiem tytuł prefekta, a nie prokuratora), zetknął się on w Samarii z wydarzeniem uderzająco podobnym i także związanym z górą Garizim. Piłat z całą pewnością zapamiętał je doskonale, spowodowało bowiem, że utracił swój urząd.

Było to, jak się rzekło, przed trzydziestu laty, a więc w roku 35, za panowania Tyberiusza. Pojawił się wówczas w Samarii tajemniczy prorok. Głosił, że zna miejsce na górze Garizim, w którym Mojżesz przed wiekami ukrył i zakopał najświętsze przedmioty i naczynia kultowe. Przyniósł, że pokaże je tym, co ufnie za nim pójdą. Odkrycie zaś owych naczyń miało zwiastować, według prastarej tradycji samarytańskiej, nastanie wieku szczęścia i triumfu dla całego ludu. Wieść poszła szeroko po kraju i wnet setki łatwowiernych zaczęły podążać ze wszystkich stron do wsi Tiratana; tam bowiem, u stóp Garizim, wyznaczono punkt zborny przed wejściem na świętą górę. Wielu przybywających niosło ze sobą broń; może po to, by zwalczyć złe siły, które mogły przeszkadzać w odnalezieniu skarbu; a może i po to, by od razu ustanowić straż królestwa, w którym oni będą panami. Nieobce więc były i temu ludowi nadzieje mesjańskie. Kim zaś był ów prorok? Szaleńcem? Zwykłym oszustem? A może prowokatorem z ramienia Rzymian i prefekta Piłata?

W każdym razie ten natychmiast się dowiedział o całej sprawie. Wysłał ku górze Garizim – podobnie jak obecnie Wespazjan – jednego ze swych oficerów na czele jazdy i piechoty. Zaatakowano ludzi stojących jeszcze we wsi. Wielu Samarytanów padło w bitwie, wielu też pojmano w czasie ucieczki. Najwybitniejsi z jeńców na rozkaz Piłata zostali później straceni; zapewne, jak to było rzymską regułą, zawiśli na krzyżach.

Jednakże to okrutne stłumienie ruchu, który przecież sam w sobie nie był groźny, wywołało ostry protest rady samarytańskiej, stanowiącej odpowiednik jerozolimskiego Sanhedrynu. Rada zwróciła się wprost do ówczesnego namiestnika prowincji Syrii, Lucjusza Witeliusza; Judea bowiem, jako kraina mała, nie stanowiła prowincji odrębnej, a jej prefekt podlegał nadzorowi tamtego namiestnika. Witeliusz zareagował ostro: wyprawił Piłata do Rzymu, aby tam zdał sprawę przed samym cesarzem. Na szczęście dla prefekta Tyberiusz zmarł, nim on przybył do Italii, nowy zaś władca, Kaligula, miał poważniejsze kłopoty przed sobą niż rozpatrywanie tajemnic góry Garizim.

Jednakże po przeszło trzydziestu latach, już w nowym pokoleniu, powtórzyła się tragedia. Czy i w tym wypadku winę ponosił fałszywy prorok? Lecz obecnie nie było do kogo się odwoływać. Wespazjan był panem życia i śmierci w całej Judei.

TAJEMNICE WŁADZY

W każdym razie tego zdania był sam Wespazjan; nie zniósłby absolutnie, by ktoś postronny wtrącał się do spraw jego armii i wojny w Palestynie. Ale czy pogląd ten podzielał także ówczesny namiestnik Syrii? A właśnie obecnie był nim człowiek bardzo rzutki i ambitny, Gajusz Licyniusz Mucjan.

Dowódca nieszczęsnej wyprawy na Jerozolimę w jesieni roku 66, Cestiusz Gallus, zmarł wkrótce po klęsce poniesionej podczas odwrotu w wąwozie Bethoron; i już współcześni nie potrafili powiedzieć, czy śmierć ta zbiegła się z przegraną przypadkowo, czy też była skutkiem załamania psychicznego. W kilka miesięcy później, wnet po wysłaniu Wespazjana do Palestyny, a więc już wiosną roku 67, cesarz mianował następcę Gallusa. Został nim wspomniany Mucjan, senator i były konsul. Tak więc obaj dostojnicy, namiestnik Syrii i Judei, byli równi sobie stanem i piastowanymi poprzednio godnościami. Obaj też nosili podobny tytuł oficjalny, a mianowicie legata. Czy jednak przyznanie Wespazjanowi tego tytułu oznaczało, że całkowicie przekreśla się dotychczasowe upośledzenie Judei w stosunku do Syrii? Mucjan z pewnością uważał, że tradycja i zasady jeszcze nie anulowane czynią z Judei nadal aneks prowincji Syrii; z czego by wynikało, że on, legat Syrii, sprawuje zwierzchnictwo nad wszystkimi działającymi w Palestynie urzędnikami i dowódcami, niezależnie od ich stopnia. Wespazjan oczywiście sprzeciwiał się kategorycznie tym roszczeniom. W swoim mniemaniu z chwilą otrzymania misji wojennej oraz dowództwa nad trzema legionami stał się namiestnikiem odrębnej prowincji; nie ustępuje rangą i powagą namiestnikowi Syrii, podlega zaś wyłącznie cesarzowi. W istocie rzecz chyba tak wyglądała, że Neron i jego doradcy umyślnie pozostawili w zawieszeniu sprawę administracyjnego statusu Judei. Chodziło właśnie o to, aby namiestnicy sąsiadujących z sobą krain, rozkazujący dużym siłom zbrojnym, mieli powód do sporów!

Z całą też pewnością wybierając namiestników brano i to pod uwagę, aby obaj byli już sobie niechętni oraz by różnili się usposobieniami; to bowiem pozwalało ufać, że nie wejdą w porozumienie i będą wzajem udaremniać wszelkie swe ambitniejsze zamiary. Te dość proste sposoby i chwyt przy obsadzaniu kluczowych stanowisk zaliczano do „arcana imperii”, czyli do tajemnic władzy. W gruncie rzeczy wszystko sprowadzało się do grania na zwykłych ludzkich ambicjach, słabostkach, animozjach.

Że Wespazjan i Licyniusz Mucjan różnili się od siebie pod wielu względami, wyraźnie i barwnie poświadcza Tacyt. Wielki historyk był jeszcze młodym człowiekiem, gdy tamci osiągnęli już szczyty sławy. Osobiście chyba ich nie znał, ale ponad wszelką wątpliwość przynajmniej widział; nie mówiąc już o tym, że rozporządzał nieprzejrzaną obfitością relacji, wspomnień i opowieści, pochodzących często od osób dobrze zorientowanych, a zajmujących różne stanowiska.

Tacyt malował z widoczną lubością portrety tych dwóch. Nieczęsto spotkać można w zachowanych księgach jego dzieł charakterystyki tak obszerne. Mistrz bowiem chętniej prezentuje swych bohaterów przy pomocy krótkich, lapidarnych uwag, rzucanych jakby przypadkowo, a jeszcze chętniej – przedstawiając po prostu ich czyny. W tym natomiast wypadku trudno oprzeć się wrażeniu, że pisząc, rozkoszował się pewno kontrastowością charakterów i trybu życia. Oto niektóre sformułowania z księgi pierwszej i drugiej „Historii”:

Mucjana sławnym uczyniły zarówno jego sukcesy, jak i nieszczęścia. Gdy był młody, bardzo gorliwie zabiegał o przyjaźń osób wybitnych. Wkrótce jednak nadszarpnął majątek i pozycja jego stała się chwiejna. Podejrzewał też, że ściągnął na siebie gniew Klaudiusza. Zaszył się wówczas w dalekich krainach prowincji Azji, a pobyt tam niewiele się różnił od wygnania. Zamiłowanie do przepychu współżyło w Mucjanie z pracowitością, uprzejmość z arogan-

cją, umiejętności złe z dobrymi. Kiedy czas pozwalał, nazbyt oddawał się rozkoszom, kiedy jednak to się opłacało, potrafił wykazać wielkie zalety. Dzięki przeróżnym zręcznym chwytom wywierał ogromny wpływ na poddanych, na osoby bliskie, na swych kolegów.

Wespazjan był znakomitym żołnierzem. Osobiście prowadził kolumnę marszową. Wybrał miejsce na obóz. Dniem i nocą toczył z wrogiem zmagania pomysłowością, a nawet, jeśli zaszła potrzeba, ramieniem. Jadał co popadło, strojem zaś i wyglądem zaledwie się różnił od szeregowca. Gdyby nie chciwość, niewiele by się różnił od wodzów z dawnych czasów. Mucjan natomiast imponował wspaniałym gestem, bogactwem, tym, że pod każdym względem przekraczał miarę człowieka prywatnego. Był zręczniejszy w rozmowie oraz bardziej doświadczony w planowaniu i kierowaniu sprawami polityki.¹⁴

Poza tym, co powiada Tacyt, niewiele wiadomo o życiu Mucjana przed objęciem przezeń namiestnictwa Syrii. Nieznany jest nawet jego ród. Oczywiście musiał on być zamożny i dostojny, skoro Mucjan osiągnął najwyższe godności państwowe. Nie sposób też stwierdzić, z jakiej to przyczyny młody senator naraził się na gniew cesarza Klaudiusza. Wiadomo wszakże, że lepsze czasy nastały dla niego za Nerona. Otrzymał wtedy namiestnictwo Licji, górskiej krainy w południowej Azji Mniejszej. Podróżując po swej prowincji, natrafił na miejsce rozkoszne, którego obraz na długo zachował w pamięci.

Ogromny platan rósł przy źródle o bardzo zimnej wodzie. Stał w pobliżu drogi niby gospoda, pień bowiem miał wewnątrz pusty, spróchniały; była to jakby izba lub pieczara o obwodzie ponad osiemdziesięciu łokci. Korona jednak rozpościerała się, zielona i bujna, bardzo szeroko, ocieniając wielki szmat pola; a każdy jej konar mógłby być drzewem osobnym.

– Ucztowałem – opowiadał Mucjan – wewnątrz plątana wraz z osiemnastu towarzyszami. Spoczywaliśmy na miękkim posłaniu z mchów i liści, pokrywających kamienne ławy. Nie docierał do środka nawet najłżejszy powiew wiatru. Słuchałem szumu deszczu padającego na listowie korony nad nami i czułem się szczęśliwszy niż wtedy, gdym biesiadował wśród lśniących marmurów i różnobarwnych malowideł pałacu, pod złoconą powałą.

Powróciwszy do Rzymu, Mucjan dostał godności konsula. W roku 67, o czym była już mowa, objął jako legat cesarski Syrię, jedną z najważniejszych strategicznie prowincji Imperium. Rezydując w jej głównym mieście, Antiochii, podejrzliwie i niechętnie obserwował wojenne czyny Wespazjana, zazdroszcząc mu okazji zdobycia sławy. Toteż chyba się cieszył w głębi serca, że oblężenie Jotapaty tak się przedłuży i trwa już dobrze ponad miesiąc.

¹⁴ Tacyt, *Dzieje*, I 10; II 5.

O PIERWSZYM BRZASKU WE MGLE

Nadszedł wreszcie czterdziesty siódmy dzień oblężenia. Pamiętny i decydujący, bo wtedy to dopiero wały rzymskie, uporczywie wciąż podwyższane, wyrosły ponad mury Jotapaty; owe trzy wieże, blachą obite, okazały się już niepotrzebne. Wyrok śmierci zawisł nad miastem. To też właśnie w tym dniu jeden z obrońców, przekonany, że to już ostatnie chwile Jotapaty, zbiegł na tamtą stronę. Natychmiast postawiono go przed Wespazjanem. Zdradził wszystko, aby ratować życie. Powiedział, że w mieście garstka zdolnych do walki mężczyzn jest już u kresu sił, całkowicie wyczerpana ciągłym odpieraniem ataków i czuwaniem. Najlepiej, radził, byłoby przypuścić szturm tuż przed świtem, kiedy sen morzy nawet posterunki na murach.

Słowa zbiega nie stanowiły rewelacji – łatwo przecież było odgadnąć, że właśnie tak mają się sprawy obleganych – przyspieszyły jednak powzięcie decyzji; informacja zaś o najdogodniejszym momencie uderzenia wydawała się szczególnie cenna.

Dzień następny – był to I miesiąca Tammuz, czyli już lipiec – wstawał we mgle gęstej. Oddział wybranych żołnierzy legionu XV pod osobistym dowództwem Tytusa i trybuna Domicjusza Sabina cicho podszedł ku murom i wspiał się na nie. Niemal bezszelestnie sprzątnięto drzemiące posterunki i wciąż w całkowitym milczeniu wkroczone w najbliższe za obwarowaniami ulice. Tuż za pierwszym oddziałem przeszli przez mury żołnierze legionu V; tym przewodzili trybunowie Placydus i Sekstus Kalwariusz.

W mieście, które wreszcie się ocknęło, ozwały się tu i tam okrzyki przerażenia. Ktoś ujrzał połysk legionowych pancerzy, ktoś inny usłyszał metaliczny szczęk broni, stukot sandałów, ściszone rozkazy w obcej mowie. Od domu do domu poleciało straszliwe wołanie trwogi, a budzący się mieszkańcy widzieli śmierć nad sobą. Drużyny rzymskich legionistów biegly szybko naprzód przez wąskie uliczki, druzgocąc momentalnie słabe próby oporu tych, co w desperacji i oszołomieniu jeszcze chwyтали za broń. Niektórzy z ostatnich obrońców Jotapaty ginęli zasieczeni mieczami; inni spadali z murów w przepaść, a jeszcze inni sami się zabijali. Garstka ludzi ze straży na murach w porę spostrzegła wejście wroga i schroniła się w wieży północnej. Tam stawiała opór przez chwilę, lecz wnet się poddała, widząc całkowitą beznadziejność dalszej walki. Rzymianie wyrznęli ich wszystkich na miejscu.

Sporo mieszkańców szukało ratunku w podziemnych kryjówkach, w piwnicach i w kanałach, a zwłaszcza w głębokich cysternach, kutych w skale; Jotapata bowiem, jak była o tym już mowa, nie miała żadnych studni i źródeł, wylapywano więc wodę deszczową do owych zbiorników. Zdobywcy, zajęci tropieniem i zabijaniem uzbrojonej załogi miasta, początkowo prawie w ogóle nie zwracali uwagi na te kryjówki. Jednakże oddział legionistów przypadkowo na którąś z nich natrafił. Siedział w niej pewien mężczyzna; gdy zrozumiał, że został dostrzeżony i nic go już nie ocali, wychylił się z jamy i krzyknął do centuriona, żeby pomógł mu wyjść. Rzymianin odruchowo pochylił się i podał rękę – i w tejże chwili runął na ziemię wyjąc z bólu; dzida tamtego głęboko ugodziła go w brzuch od spodu. Była to wszakże jedyna ofiara śmiertelna wśród Rzymian w dniu zdobycia Jotapaty; co najjaskrawiej dowodzi, jak niespodziewanie zdołano zaskoczyć jej mieszkańców.

W dniach następnych Rzymianie przystąpili do dokładnego przetrząsania całego terenu miasta, a więc owych podziemnych kanałów, grot i cystern. Podobnie jak wszędzie indziej czasu tej wojny mężczyźni zabijali, kobiety zaś i dzieci brali do niewoli; pojмали i sprzedali ponad tysiąc dwieście osób. Zaczęli też systematycznie burzyć, niszczyć i palić budynki oraz obwarowania miasta, aby wszelki ślad zniknął po Jotapacie, która ośmieliła się tak długo stawić opór trzem legionom.

Od samego zaś początku jak najpilniej wywiadywali się i szukali, gdzie ukrywa się dowódca oblężonego grodu i głowa powstania w całej Galilei, Józef.

WSPOMINAM SNY SWOJE

Rzymianie byli już w środku miasta, kiedym zdołał – w ostatniej chwili i chyba tylko dzięki pomocy opatrności – nie zauważony przez nikogo wymknąć się z samego środka ich kordonu. Wskoczyłem do głębokiej jamy; w jednej z jej ścian znajdował się boczny otwór, prowadzący do obszernego pomieszczenia, którego nie sposób było dostrzec z góry. Siedziało tam już czterdziestu ludzi z przywództwa; zaopatrzenie zaś mieliśmy tak obfite, że mogłoby starczyć nam na czas długi.

Przez cały dzień pierwszy nie wyglądałem z kryjówki, poznawaliśmy bowiem po tupocie i wołaniach, że Rzymianie kręcą się wszędzie wokół. Wyszedłem dopiero głęboką nocą, chłystkiem i jak najostrożniej. Chciałem się zorientować, jak są rozstawione posterunki wroga, aby w razie czego próbować z resztą naszych ucieczki. Wystarczyło jednak rozglądnąć się tu i ówdzie, by dojść do wniosku, że strażę są bardzo gęste i nie ma nawet co marzyć o wyjściu z miasta. Zaraz więc wróciłem do grotu. Jeszcze przez dwa dni siedzieliśmy w tej ciemnicy, w straszliwym smrodzie i zaduchu. Dopiero trzeciego dnia Rzymianie przypadkowo schwytali pewną kobietę, która ukrywała się wraz z nami, lecz nieopatrznie wyszła na górę. Ona to wskazała miejsce i wyjawiała, że również człowiek najbardziej poszukiwany właśnie tam się znajduje.

Natychmiast stanęli przy otworze dwaj trybuni wysłani przez Wespazjana. Powołując się na swego wodza, oznajmili mi uroczyście, że mogę się oddać w ich ręce z całym zaufaniem, albowiem nie spotka mnie nic złego, jeśli wyjdę dobrowolnie. Oczywiście nie dałem wiary tym zapewnieniom. Podejrzywałem mianowicie, że oficerowie chcą mnie dostać żywego, ale potem ukarzą jak najokrutniej, aby wziąć zemstę za wszystkie owe bolesne ciosy, których nie szczędziłem Rzymianom w czasie oblężenia. Wnet jednak zjawił się trzeci trybun, Nikanor. Tego znałem osobiście, i to już od dość dawna, służył bowiem w formacjach stacjonujących w Palestynie. Otóż Nikanor w pełni potwierdził słowa swych kolegów. Mówił bardzo przekonująco. Powoływał się na powszechnie znane przykłady rzymskiej szlachetności wobec pokonanych. Wciąż powtarzał, że wódz naczelny jest pełen podziwu dla mojej odwagi i umiejętności wojskowych, jakimi się wykazałem. Wywodził, że jeśliby chciano śmierć mi zgotować, całkiem by nie trzeba wyciągać mnie spod ziemi. Zarzekał się wreszcie, że on, Nikanor, za żadną cenę nie podjąłby się haniebnego misji wywabiania człowieka podstępem, gdyby istotnie groziło mu coś złego.

Ale i na te argumenty pozostałem głuchy. Tymczasem zaś żołnierze, rozjuszeni długimi pertraktacjami, już się zabierali do rzucenia ognia w głąb naszej pieczary. I chyba łatwo by im przyszło wykurzyć nas lub wydusić dymem. Nikanor jednak jeszcze ich powstrzymywał. Starał się przemawiać do mnie łagodnie, lecz równocześnie słyszeliśmy złowrogie pomruki i pokrzykiwania żołnierskiej cizby, niby psów na uwięzi. Wydawało się, że to już ostatnia godzina.

Wtedy to właśnie, w tym najstraszliwszym momencie, oświeciła mnie myśl nagła. Przyszło objawienie. Oto przypomniałem sobie sny, które nawiedzały mnie nocą. A potrafię całkiem dobrze tłumaczyć owe widzenia senne, którym bóstwo daje postać wieloznaczną; jestem przecież kapłanem i potomkiem kapłanów, toteż znam przepowiednie zawarte w świętych księgach.

O POTRZEBIE TŁUMACZENIA SNÓW

Jednakże w Palestynie ówczesnej, podobnie jak we wszystkich krajach i we wszystkich epokach, różne były poglądy na istotę i znaczenie snów; różne nawet wśród kapłanów oraz uczonych w piśmie.

Niektórzy twierdzili, że sny nie mają żadnego wpływu na zachowanie się i losy człowieka, są bowiem tylko zniekształconym echem wcześniejszych myśli i przeżyć na jawie. Wszelako takie głosy odzywały się stosunkowo rzadko. Większość badaczy powoływała się na autorytet pisma, zapytując:

– Jeśli tak często przytacza ono sny prorocze i symboliczne, czyż nie należy traktować ich jak najuważniej? Czyż nie stanowią one swego rodzaju przepowiedni, pouczeń, ostrzeżeń?

Stojący jednak na takim stanowisku uporać się musieli wciąż podnoszoną wątpliwością: czemu nie wszystkie sny się sprawdzają? Podawano różne wyjaśnienia.

Jedna ze szkół utrzymywała, że sny prawdziwe nawiedzają nas za sprawą aniołów, owe zaś puste, nic nie znaczące i złudne są dziełem złych duchów. Inny znowu kierunek badawczy starał się wykryć cechy niejako zewnętrzne, które by pozwalały natychmiast odróżnić sny godne zaufania od nieważnych i przypadkowych, nawet bez potrzeby wnikania w ich treść. Powiadano więc, że sprawdzają się te marzenia sensne, które przychodzą nad ranem; te, które dotyczą innej osoby; te, które powtarzają się wielokrotnie; wreszcie te, których znaczenie objawia się od razu, również we śnie. Ostrożniejsi jednak nauczali, że żaden sen nie spełnia się całkowicie. Ci wywodzili obrazowo:

Widzenie dane we śnie podobne jest pszenicy stojącej na polu. Jej ziarno użyteczne jest ukryte, łodyga natomiast długa, lecz słomą się stanie. Rzecz więc w tym, aby w każdym śnie znaleźć ziarno niepozorne i małe, odrzucić zaś słomę, a więc owe przypadki, pozornie imponujące, lecz zewnętrzne, kruche, nic nie znaczące!

Był i taki pogląd, że sprawdza się bezwzględnie każdy sen, ale nie od razu; czasami trzeba czekać całe lata nim ziści się to, co ukazał.

Bardzo powszechnie podzielano mniemanie, że obowiązkiem każdego, kogo sen nawiedził, jest dojść jego znaczenia. Powtarzano taką maksymę:

– Sen, którego się nie wyjaśniło, jest jak list, którego się nie przeczytało!

Rozwijając tę myśl, poniekąd występowali nawet z paradoksalnym twierdzeniem, że sen realizuje się tylko wtedy, gdy został wytłumaczony; albowiem dopiero tłumaczenie nadaje widzeniu sens, życie, walor. Co ilustrowali przypowieścią niemal absurdalną:

W pewnym mieście żyło dwudziestu czterech dobrych tłumaczy snów. Każdy z nich inaczej objaśnił jeden i ten sam sen jednej i tej samej osoby. I oto sprawdziły się wszystkie owe tłumaczenia, choć tak odbiegające od siebie!

Wśród prostego ludu krążyły na codzienny użytek objaśnienia widzeń zwyczajnych i nieskomplikowanych. A więc na przykład:

Dobrze jest śnić studnię, rzeki, ptaki, naczynia – byle bez mięsa. Koń biały również zwiastuje coś pomyślnego; podobnie koń maści kasztanowej, jeśli stoi spokojnie; galopujący bowiem sprowadzi nieszczęście. Wielbłąd przynosi ratunek ze śmiertelnego niebezpieczeństwa, a osiodłany słoń wróży, że będzie się świadkiem wydarzenia niezwykłego. Pszenica oznacza szczęście pokoju, jęczmień darowanie win, jabłko powodzenie w interesach, gęś osiągnięcie mądrości, indyk przyjście na świat chłopca. Jeśli śnią się jaja, gorące pragnienie serca nie zostanie wysłuchane; natomiast właśnie jaja rozbite wróżą spełnienie prośby. Podobne znaczenie mają orzechy, szkło, wszystko co łamliwe. Dobrze, jeśli we śnie pojawiają się wszelkie zwierzęta – z wyjątkiem małpy, jeża, nieosiodłanego słonia. Podobnie dobrze jest śnić o wszelkich owocach – z wyjątkiem niedojrzałych daktyli.

Jednakże Józef, jak przystało na przywódcę powstania, miał niezwykle sny prorocze o sprawach wielkich.

CIĄGNIEMY LOS ŚMIERCI

Właśnie w owej chwili nawiedził mnie duch boży, a pamięć przywołała grozę snów niedawnych. Zniosłem więc do Pana cichą modlitwę:

– Skoro spodobało się Tobie, któryś stworzył lud żydowski, zniszczyć obecnie swe dzieło, wszelkim zaś szczęściem i powodzeniem błogosławsz Rzymian, moją zaś duszę wybrałeś, abym przyszłość objawiał, oto posłusznie podam teraz swoje ręce tamtym i żył będę. Ale Ciebie samego biorę na świadka, że odchodzę stąd nie jako zdrajca, lecz służąc Twoim wyrokom!

Tak się pomodliłem i zaraz dałem znak Nikanorowi, żem gotów pójść za nim. Jednakże moi towarzysze w grocie natychmiast spostrzegli – a obserwowali mnie czujnie – że ustępuję. Stanęli wokół zwartą gromadą, krzyżąc i grożąc. Chcieli zawstydzić mnie pięknie brzmiącym gadaniem o obowiązkach wodza, które depcą haniebnie, i o wspanialej, już zdobytej sławie, którą zamieniam na nędzny los niewolnika. Obnażali swe miecze i wołali, że jeśli sam nie mam dość odwagi, by zginać z własnej ręki, jak przystało na wodza, oni zabiją mnie jako podłego zdrajcę! Z jednej więc strony śmierć mi groziła od najbliższych, z drugiej zaś wiedziałem w swym sercu, że muszę koniecznie spełnić zadanie, które Pan mi powierzył.

Usiłowałem przemówić im do rozsądku i odwieść od tego, co postanowili. Powiedziałem, że całkiem nie lękam się śmierci, ale w bitwie, z ręki wroga. Zapytywałem, co ryzykujemy, poddając się Rzymianom? Być może, że śmierć nas tam spotka, ale nie jest to przecież absolutnie pewne; tutaj natomiast nie umkniemy jej, to oczywiste, bo albo żołnierze nas wyduszą i spalą, albo my sami siebie wymordujemy. Jeśli zaś czeka nas u Rzymian niewola, to chyba nie gorsza od tej, na którą sami się skazaliśmy, siedząc w tym śmierdzącym lochu. Wywodziłem też, jakim to w gruncie rzeczy tchórzostwem jest samobójstwo, jak sprzeczne ono z porządkiem natury – bo któreż zwierzę samo się zabija? – jak urągające woli Tego, który dał nam życie i sam tylko ma prawo je odebrać.

– Słusznie więc – wołałem – dusze samobójców idą po śmierci w najgęstsze mroki podziemnego świata! A według praw naszych zwłoki tych, co sami sobie życie odebrali, muszą leżeć nie pogrzebane aż do zachodu słońca. Są nawet takie ludy, które takim zwłokom przykazują odcinać zbrodniczą prawicę. Los wtrącił nas na samo dno nieszczęścia. Ale w naszej jest mocy ustrzec się przynajmniej jednego: występowania przeciw Temu, który nas stworzył!

Podsuwałem im wreszcie takie myśli:

– Rzymianie na pewno zwodzą nas, oszukują i okłamują. Zabiją nas natychmiast, kiedy tylko się poddamy. A czegoż innego pragniemy, o co właściwie nam chodzi?

Daremne wszakże były moje argumenty, choć tak trafne i mądre. Do głuchych mówiłem. Ci fanatycy dawno już zadecydowali o swym losie i sami na siebie wydali wyrok śmierci. Rozwścieczyłem ich, doprowadziłem do pasji. Krzyczeli coraz głośniejsze i ostrzej, żem łotr, tchórz, sprzedawczyk! Już nie na żarty wymachiwali mieczami tuż przed mym nosem, a w tej grobowej ciemnicy łatwo byłoby zranić śmiertelnie, niby to przypadkiem. Ale jeszcze i w tej niesamowitej chwili miałem jakąś powagę wodzowską. Jeszczem ich zdołał powstrzymać. Jednego słowem, innego gestem, poniekórych nawet spojrzeniem – jeśli coś można było dostrzec w bladej poświacie od wyjścia. Ale tak czy owak nie było już wyboru. Musiałem ustąpić i dla ratowania życia zaryzykować życie. Rzekłem więc:

– Dobrze, niech się stanie tak, jak chcecie. Zginiemy tu wszyscy, co do jednego. Będziemy ciągnęli losy. Pierwszy, który wyciągnie, legnie z ręki następnego. I tak po kolei jeden będzie zabijał drugiego. Tylko ostatni popęlni samobójstwo. A mam nadzieję, że ten ostatni nie stchórzy, nie zdradzi towarzyszy i pójdzie za nami do grobu.

Wszyscy zgodzili się na to z największą gotowością, powiedziałbym nawet, że radośnie. Może tam i strach ścisnął za gardło niejednego, nikt jednak nie ośmieliłby się przyznać, że boi się śmierci.

Przystąpiliśmy od razu do losowania.

JAK BYŁO NAPRAWDĘ?

Jakże to się stało, że właśnie Józef znalazł się w ostatniej parze ciągnącej losy – tej, w której jeden musiał być zabójcą, drugi zaś samobójcą? Bo tylko Józef i któryś z jego towarzyszy pozostali przy życiu w grobowym lochu, wśród trupów bratersko splecionych, wśród rżenia konających i odoru krwi. Trzydziestu ośmiu mężczyzn poszło przed nimi na śmierć odważnie, a nawet ochotczo. Każdy, na kogo los wskazał, bez lęku i wahania nastawiał pierś na cios miecza; w chwilę potem zabójca padał martwy przy swej ofierze. Wszyscy zaś ginęli, wierząc niezachwianie, że następni nie stchórzą. I tak też się działo, szybko i sprawnie, aż do pary ostatniej – tej, w której był sam wódz, Józef. A tymczasem on, patrząc na procesję odchodzących w mrok, myślał chełpliwie i małostkowo:

– Umierają tak chętnie, bo myślą, że i ja zginę. Widocznie śmierć ze mną uważają za słodszą od życia!

Głosił później, że to szczęśny przypadek lub opatrność boża wyznaczyły mu miejsce ostatnie. A jednak trudno odsunąć podejrzenie, że w rzeczywistości wypadki potoczyły się od samego początku inaczej niż brzmi jego relacja. Trudno wyzbyć się myśli, że Józef świadomie i perfidnie wprowadził w błąd swych towarzyszy. Mogło przecież być tak:

Powiedział im, że jako wódz ma nie tylko prawo, lecz nawet obowiązek umrzeć na końcu. Musi dopilnować, aby nikt nie stchórzył i aby wszyscy dochowali wierności wspólnemu postanowieniu. Kto wie nawet, czy jego mowa o straszliwości grzechu samobójstwa – jeśli w ogóle ją wygłosił! – nie zawierała bohaterskiego oświadczenia:

– Wezmę na swoją duszę ten występki i kiedy wszyscy już wzajem się pozabijacie, zginę z własnej ręki, byle tylko ocalić was od cierpień na tamtym świecie!

Lecz mówiąc tak i ustawiając się w ostatniej parze grobowego pochodu, Józef już oszukiwał idących przodem i już mościł sobie drogę ratunku. Kiedy zaś pozostał sam na sam z towarzyszem, powiedział twardo, że on losu ciągnął nie będzie:

– Nie chcę sam siebie na śmierć skazywać! I nie chcę także, gdyby tak wypadło, plamić swej ręki krwią rodaka!

Józef wiedział doskonale, że opłaca mu się poddać Rzymianom. Przekonały go o tym również uporczywe prośby i nalegania ze strony Wespazjanowych oficerów. Jego sytuacja była oczywista:

Jako jeden z przywódców powstania na razie miał pozostać przy życiu. Potem uświetni triumf, który odbędzie się w Rzymie po zwycięskim zakończeniu wojny. To prawda, że czeka go wówczas nie tylko upokorzenie – będzie musiał iść w łańcuchach przed rydwanem zwycięzcy – lecz także śmierć; stary bowiem zwyczaj rzymski po uroczystej ceremonii nakazuje dusić pokonanych wodzów, bogu Jowiszowi na ofiarę. Ileż to jednak miesięcy, a może i lat minie, nim triumfalny pochód wejdzie Drogą Świętą na Kapitol! Wespazjan musi wpierw pokonać cały kraj i zająć Jerozolimę. Przez ten czas sporo może się zmienić, niejedna też nadarzy się sposobność ratunku. Jedyne co w tej chwili ważne, to wyrwać się z rąk szaleńców, którym strach i urojenia religijne do cna odebrały rozum! Jeśli chcą ginać, niechże ginać sami!

Towarzysz dał się przekonać. Albo też został obezwładniony.

PROROKUJĘ, ABY ŻYĆ

Męczeńska to była droga. Trybuni wiedli mnie wąską ścieżką wśród zbitej ciżby rozjuszonego żołdactwa. Byłem wynędzniały, zbryzgany krwią, ledwie trzymałem się na nogach, a wyszedłszy z ciemnicy, mrużyłem oczy od jaskrawego blasku słońca. Ale i tak widziałem ich twarze, słyszałem groźne okrzyki! Jedni szydzili ze mnie i drwili, inni wyrażali mi z nienawiścią, a jeszcze inni, zwłaszcza ci dalej stojący, wołali uporczywie:

– Ukrzyżować go! Ukrzyżować natychmiast!

Lecz kiedy stanąłem przed Wespazjanem, Tytusem i wyższymi oficerami, ci popatrzyli na mnie nie bez pewnego współczucia; takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Zwłaszcza Tytus, mój niemal rówieśnik, zdawał się nieco litować nad moim losem i stanem. Oględziny wszakże trwały krótko. Zaraz mnie stamtąd zabrano, zakuto w kajdany, otoczono strażą.

Właśnie od strażników dowiedziałem się ku swemu przerażeniu, że wkrótce opuszczę i obóz, i Palestynę, aby stanąć przed samym cesarzem! Wydało mi się z początku, że to już koniec i ratunku nie ma. Taki obrót spraw przekreślił wszystkie moje plany i rachuby. Spodziewałem się przecież, że będę czekał spokojnie, bezpiecznie i długo – choć w kajdanach – na oficjalny triumf, który kiedyś tam odbędzie się w Rzymie. A oto zguba już mi groziła! Co do tego nie mogłem mieć złudzeń. Nie tak dawno byłem w Italii. Znałem dwór, widziałem Nerona, na własne oczy oglądałem, jak potrafi się zabawić, jak kocha igrzyska, zwłaszcza krwawe. To pewne, że gdy tylko znajdę się w Rzymie wraz z wybitniejszymi jeńcami z Galilei, Neron, niecierpliwy i zawsze dbający o przypodobanie się ludowi, nie zechce czekać, aż padnie Jerozolima. Za dostateczny pretekst do urządzenia igrzysk uzna dotychczasowe sukcesy rzymskiego oręża w Galilei. Rzuca nas dzikim zwierzętom na pożarcie, spłonimy jako żywe pochodnie, staniemy do nierównej walki z gladiatorami! Zaledwie się wyrwał z rąk obłąkańców, a już nowe, śmiertelne zawisło nade mną niebezpieczeństwo!

Lecz bystrość przyrodzona oraz łaska opatrności nie opuściły mnie i w tej sytuacji, która innym może by odebrała wszelkie rozeznanie i chęć działania. Zażądałem od strażników, aby natychmiast zaprowadzili mnie znowu przed Wespazjana, mam bowiem dla niego wiadomość wagi niezwykłej. Prosiłem jednak zarazem, aby spotkanie odbyło się tylko w cztery oczy. Należy zaś pamiętać, że wysunięcie takiego warunku zawsze wzmacnia zainteresowanie kimś, kto go stawia, oraz przydaje wiele waloru jego słowom. Rzecz prosta wódz nie zgodził się rozmawiać ze mną całkiem bez świadków; mogłem przecież okazać się szaleńcem. Odprawił jednak osoby postronne, pozostawiając przy sobie tylko Tytusa i dwóch zaufanych przyjaciół.

Powiedziałem:

– Zapewne widzisz we mnie tylko zwykłego jeńca. Mylisz się bardzo. Jestem zwiastunem spraw wielkich. Gdyby nie to, że Bóg mi powierzył ich spełnienie, dobrze bym wiedział, co nakazuje czynić nasze prawo i jak wypada umierać wodzowi. Jak słyszę, chcesz mnie wysłać do Nerona. A ja powiadam ci, abys tego nie robił! Nie ma żadnej potrzeby. Sądysz, że będzie on jeszcze długo panował? Nic podobnego. To ty zostaniesz cesarzem, i to już wkrótce! Nie wierzysz mi, rozumiem, ale przecież jestem w twoich rękach. Rozkaż strzec mnie jak najpilniej, a potem ukarż surowo, jeśli nie sprawdzi się to, co mówię ci dzisiaj!

W gruncie rzeczy co miałem do stracenia? Co ryzykowałem?

WESPAZJAN I WRÓŻBY

Nie ulega wątpliwości, że wnet po upadku Jotapaty Józef rzeczywiście rozmawiał potajemnie z Wespazjanem i Tytusem. Jest równie pewne, że w trakcie spotkania jeniec rzekł coś, co wysoce zastanowiło tamtych, ojca i syna, i co utkwilo im w pamięci na długo.

Jakież jednak podstawy owej pewności? Opowieść, jako przekazana przez samego Józefa, mogłaby oczywiście w ogóle nie zasługiwać na zaufanie. Autor, obdarzony prawdziwie twórczą imaginacją, potrafiłby bez trudu wymyślić historyjkę nawet jeszcze barwniejszą i piękniej brzmiącą, byle tylko wywyższyć swoją osobę i pochlebić rzymskim wodzom. Istnieją wszakże dwie okoliczności, skłaniające do poważnego traktowania właśnie tego świadectwa. Po pierwsze zważyć wypada, że Józef opublikował dzieło, zawierające powyższą relację, jeszcze za życia obu swych rozmówców. To znacznie ograniczało swobodę fantazjowania. Świadectwo musiało w jakiejś mierze odpowiadać faktom. Pochlebstwo zbyt bezczelnie sfingowane od początku do końca miałyby się z celem i mogłoby nawet urazić te osoby, które chciało się wysławiać. Jeszcze bardziej zastanawiająca jest okoliczność druga. Oto przyszedł czas, mniej więcej w dwa lata po rozmowie, że Wespazjan i Tytus zaczęli otaczać obrońcę Jotapaty wręcz wyjątkowymi względami. Stało się to wkrótce po okrzyknięciu Wespazjana cesarzem przez jego żołnierzy. Józef natychmiast odzyskał wolność, później zaś otrzymał obywatelstwo rzymskie, spory majątek, stałą pensję. Cieszył się wielkim i niewzruszonym zaufaniem ze strony całej rodziny cesarskiej. Nasuwa się więc przypuszczenie, że na tę łaskawość zasłużył sobie czymś istotnie niezwykłym.

Należy wziąć pod uwagę i to, że Wespazjan – skądinąd tak rozsądny, gospodarny, przeznorny – w pełni podzielał rozpowszechnioną wówczas wiarę we wszelakie znaki wieszcze. Zapamiętywał je i przekazywał rodzinnej tradycji, a tę z kolei uwiecznili kronikarze i historycy. Opowiadano więc i to z całą powagą, takie wydarzenia z czasów, gdy przyszlęmu cesarzowi zapewne jeszcze się nie marzyły nawet wyższe godności i urzędy:

Wespazjan właśnie spożywał obiad, gdy obcy pies wpadł do pokoju, niosąc w pysku ludzką rękę, którą porwał gdzieś na skrzyżowaniu dróg; upuścił ją pod samym stołem. Rzecz makabryczna – twierdzono – godna jednak zastanowienia i dająca się różnie interpretować!

Kiedy indziej znowu wół ciągnący pług w polu nagle zrzucił jarzmo i wdarł się aż do wnętrza domu, rozpędzając po drodze służbę. Niespodziewanie jednak, jakby zmęczony, położył się u stóp spoczywającego na łożu Wespazjana i pokornie kark opuścił.

Znak zaś najdziwniejszy był taki:

W rodzinnym majątku Wespazjana rósł cyprys. Pewnego dnia runął na ziemię wraz z korzeniami, choć nie było żadnej wichury. Jednakże już dnia następnego znowu stał wyprostowany, jakby podniosła go jakaś moc niezwykła i niewidoczna. Odtąd pięknie się rozrastał i zielenił.

Wielką wagę przywiązywał Wespazjan również do swoich snów. Bawiąc z Neronem w Grecji, śnił, że wszystko odmieni się dla niego na lepsze, kiedy cesarz straci zęb; wchodząc rankiem dnia następnego na pokoje pałacu, spotkał lekarza, triumfalnie pokazującego ząb, który dopiero co wyrwał Neronowi. W jakiś czas potem otrzymał naczelne dowództwo w wojnie palestyńskiej.

O tym, że Wespazjan chętnie słucha wszelkich przepowiedni, Józef mógł się wnet dowiedzieć, przebywając w rzymskim obozie. Co jednak mu rzekł w czasie tajnej rozmowy? Z całą pewnością nie śmiałby stwierdzić, że Neronowe rządy nie będą długie, wódz zaś nie mógłby puścić płazem takich słów z ust jeńca. Chyba więc ograniczył się do niejasnych i wieloznacznych wypowiedzi. Może powołał się na mesjańskie nadzieje i prorocтва, krążące wśród ludu,

w mglistych słowach dając do zrozumienia, że przyszły zbawca i pan świata przyjdzie ze Wschodu?

A gdy czas się dopełnił, Wespazjan uznał, że o nim to mówili prorocy; godzi się więc wynagrodzić Józefa, który przekazał ich wieszczby.

POWTÓRNE ZDOBYCIE JOPPY

Nastała pełnia lata, a z nią, jak zwykle tutaj, upały nie do zniesienia. Trudno byłoby prowadzić działania wojenne; trudno tym bardziej, że armia, utrudzona długotrwałym oblężeniem, gwałtownie domagała się odpoczynku. Dlatego też już w cztery dni po zdobyciu Jotapaty Rzymianie pomaszerowali do miasta Ptolemais u wybrzeży morza, skąd rozpoczęli operacje; po kilkudniowym tam pobycie przenieśli się do większej i zasobniejszej Cezarei nadmorskiej. Ludność jej, przeważnie pochodzenia greckiego, witała legiony entuzjastycznie. Od razu wszakże podniosły się wśród tłumów głosy żądające natarczywie, by pojmanego wodza Galilejczyków ukarać śmiercią jak najszybciej. Wespazjan stanowczo odrzucił te wezwania; może dlatego, że mimo wszystko zamierzał odesłać Józefa po jakimś czasie do Nerona, a może z tej przyczyny, że jego prorocтва dały mu do myślenia.

Legion piąty i dziesiąty pozostały na kwaterach w Cezarei; piętnasty natomiast rozlokował się w mieście Scytopolis, położonym w głębi lądu, o jakieś sześćdziesiąt kilometrów w prostej linii na wschód od wybrzeży, w pobliżu doliny Jordanu. Żadnych większych działań wojennych nie prowadzono. Jedyną poważną akcją było powtórne zawładnięcie Joppą.

Już jesienią roku ubiegłego – o czym wspomniano w swoim miejscu – zdobył Joppę Cestiusz Gallus. Jednakże po jego klęsce i po odejściu Rzymian osiedliła się tam ludność uciekająca z różnych stron kraju. Byli to przeważnie mężczyźni nie mający już nic do stracenia i gotowi na wszelkie ryzyko. Pobudowali małe łodzie i okręty, wypuszczali się na morze i jak piraci śmiało napadali na statki handlowe u wybrzeży Palestyny, Fenicji, Syrii. Ponieważ żegluga bardzo na tym cierpiała, Wespazjan wysłał do Joppy oddziały jazdy i piechoty. Na wieść o zbliżaniu się Rzymian mieszkańcy pospiesznie opuścili miasto, a raczej jego ruiny, i całą noc spędzili na swych okrętach. Rankiem dnia następnego usiłowali przybić do lądu w innym miejscu. Tymczasem na ich nieszczęście zerwał się potężny wichur północny, bardzo groźny w tych okolicach pozbawionych dobrej, osłoniętej przystani; niektóre z wątych okrętów rzucił na skaliste wybrzeże, gdzie uległy rozbiciu, inne zaś pchnął na pełne morze, gdzie pochłonęły je wzburzone fale. Według rzymskich obliczeń zginęło tam ponad cztery tysiące ludzi. Na wzgórzu dawnej Joppy pozostawiono garnizon, który pacyfikował całą okolicę bardzo pracowicie i systematycznie.

Do głównej kwatery przyszła tymczasem miła wiadomość: król Agryppa i Berenika proszą, aby rzymscy wodzowie i żołnierze zaszczylicili swoją obecnością ich stolicę, Cezareę Filipową. Przyjęto zaproszenie radośnie i skwapliwie. Wespazjan i Tytus bezzwłocznie udali się do królewskiej siedziby na czele wybranych oddziałów.

GROTA PANA I NIMF

Cezarea Filipowa, jak była o tym już mowa, leżała u stóp gór Hermon, gdzie tryskają źródła Jordanu, w okolicy pięknej, górzystej, zielonej. U stóp wysokiej, czerwonawej skały bije jedno z głównych źródeł rzeki. Znacznie wyżej widać w skale otwór dużej groty. Od czasów niepamiętnych miejscowa ludność oddawała tam hołd bóstwu płodności; gdy w czasach po Aleksandrze Wielkim przyszli i osiedlili się w tych stronach Grecy, przejęli kult źródła i groty. Uznali, że to święty przybytek bożka Pana i jego towarzyszek, nimf wodnych. Wystawili im posągi, wykuli w skale liczne nisze – ich ślady zachowały się do dziś – wryli napisy. Właśnie od Pana zwano tę okolicę Panias lub Panejon.

Potem wszystkie ziemie wokół otrzymał od cesarza Augusta król Herod Wielki. Aby wyrazić i upamiętnić swoją wdzięczność, wznosił w pobliżu skały wspaniałą świątynię Augusta z białego kamienia i umieścił w niej posąg władcy; w Judei właściwej oczywiście nigdy by się nie ośmielił na tak jaskrawe pogwałcenie Zakonu. Po śmierci Heroda całą krainę objął w spadku jego syn Filip. Był to człowiek spokojny, pozbawiony nadmiernych ambicji, miłujący natomiast wygodę życia i uroki natury; wolno to wnosić z wyboru miejsca, w którym ustanowił swoją rezydencję; było nim właśnie Panias. Filip zbudował tu miasto i nadał mu imię Cezarea na cześć cesarza.

Księżę prawie nigdy nie opuszczał granic swych włości. Ilekroć wychodził z pałacu, szła za nim służba niosąc tron; zasiadał na nim, gdy tylko któryś z poddanych prosił o rozsądzenie sprawy; starał się wyrokować szybko, wyrozumiale, sprawiedliwie. Zmarł jeszcze za panowania cesarza Tyberiusza, zostawiając po sobie – jedyny z Herodowych synów! – pamięć jak najlepszą.

Jego późniejszy spadkobierca, król Agryppa II, brat Bereniki, również tu rezydował. Uświetnił miasto i rozbudował, a w swoim czasie dał mu jeszcze jedno imię, oficjalne: Neronias, ku czci Nerona. Obecnie, latem roku 67, podejmował tu Rzymian hojnie i wystawnie. Pobyt upływał gościom na ciągłym ucztowaniu, jedynym zaś obowiązkiem, do którego się poczuli, było składanie ofiar bogu groty. Dziękowali mu za zwycięstwa już odniesione i prosili o przyszłe. Owe wczasy u źródeł Jordanu trwały dni dwadzieścia.

Niestety, tylko tyle wiadomo o tym okresie – i tylko tyle ma prawo powiedzieć o nim historyk. Winien wszakże dodać, że właśnie dopiero wtedy Berenika i Tytus znaleźli pierwszą sposobność i dostateczną swobodę, by poznać się bliżej. To prawda, że widzieli się już przed kilku miesiącami w Ptolemais nad morzem, kiedy Tytus przyprowadził swój legion z Aleksandrii, Berenika zaś i Agryppa towarzyszyli Wespazjanowi; jednakże tam zaledwie starczyło czasu na prezentację i oficjalne przyjęcia, obowiązki bowiem żołnierskie kazały natychmiast ruszać w pole. A więc ów romans, który po latach miał zaprowadzić Berenikę na palatyńskie wzgórze, naprawdę rozpoczął się w Cezarei Filipowej. Można tylko się domyślać – ale za to z całkowitą swobodą! – jakie to słowa, uśmiechy i spojrzenia budziły wzajemne zainteresowania obojga i dodawały im śmiałości. Sceneria natury – skały, źródła wielkiej rzeki, bujna zielen – radowała oczy. Przepych królewskiego pałacu olśniewał, a wyrafinowany zbytek orientального dworu wręcz oszałamiał; zwłaszcza Rzymian, przywykłych raczej do pewnej prostoty lub do barbarzyńskiego niemal luksusu. Wespazjan był oczarowany hojnością i darami królowej, a jego syn jej osobą. I znowu prawdziwy wydaje się obraz wciąż powracający: wspaniała diament lśni na palcu Bereniki, gdy królowa przechadza się w swej złocistej sukni po alei ciemnozielonych cyprysów, mając u boku Tytusa; w głębi piętrzy się czerwonawa skała, spod której tryska źródło Jordanu.

Lecz były także wspomnienia krwi świeżo przelanej i swądu pożarów, które strawiły miasta i wsie Galilei. Nade wszystko zaś wciąż wracała świadomość, że lada chwila znowu

przyjdzie walczyć i ryzykować życie. Każdą więc rozkosz odbierało się gwałtownie i gorąco, jakby to była ostatnia chwila przed pożegnaniem na zawsze.

Już z początkiem września przyszły wiadomości, że w niektórych miastach Galilei wzma-
ga się niepokój.

WESPAZJAN I TYBERIADA

Opuściwszy Cezareę Filipową we wrześniu, Wespazjan od razu przystąpił do oczyszczania z powstańców wybrzeży jeziora Genezaret. Chodziło zwłaszcza o dwa duże miasta u jego zachodnich, a więc galilejskich wybrzeży, o Tyberiadę i Taricheę. Wódz poprowadził tam dwa legiony: pierwszy z nich, XV Apollinaris, pozostawał pod osobistym dowództwem Tytusa, drugi zaś, X Fretensis, miał za legata Marka Ulpiusza Trajana.

Tyberiada była miastem większym; od niej to jezioro często zwano Tyberiadzkim. Powstańców znajdowało się tam stosunkowo niewiele; przewodził im Jezus, syn Tufy, z którym tyle przepraw miał przed kilku miesiącami Józef. Wespazjan pragnął oszczędzić miasto i jego ludność, a to ze względu na Agryppę, pana tych ziem. Współ z Bereniką pomagał on Rzymianom w tej wojnie tak gorliwie, ostatnio zaś przyjmował ich w Cezarei tak gościnnie, że wypadało coś uczynić dla króla; a właśnie Tyberiada przynosiła mu szczególnie duże dochody. Z tego to powodu Wespazjan wysłał przodem oddział pięćdziesięciu jeźdźców; mieli przeprowadzić rozmowy ze stałymi mieszkańcami i przyobiecać, że wszystko zostanie im darowane, jeśli w porę przepędzą powstańców. Jeźdźcy pocwałowali pod same mury miasta. Tam oficer Walerian i kilku żołnierzy zsiadli z koni; chcieli w ten sposób okazać, że przybywają w celach pokojowych. Ale w tejże chwili z bram miasta wypadła hurma zbrojnych i uderzyła na Rzymian z takim impetem, że ci rzucili się do ucieczki i nawet mieczów nie wyciągnąwszy. Walerian i jeszcze pięciu innych nie zdążyli dosiąść swych koni; powstańcy z triumfem przygnali je do miasta jako ceną zdobycz wojenną.

Na szczęście dla Tyberiady nikt z Rzymian nie został nawet skaleczony. Wszelako starszyzna miejska niezmiernie się przeraziła tą utarczką – choć przecież nie walka to była, lecz krzyk i rwetes – wszyscy bowiem, bogaci i ubodzy, mieli przed oczyma straszliwy los Jotapaty. Delegacja rady bezzwłocznie pospieszyła do obozu rzymskiego. Tam, dopuszczona przed wodza, na kolanach błagała o litość i o puszczenie w niepamięć głupiej prowokacji, jakiej dopuściła się garstka szaleńców, ludzi obcych, przybyłych do miasta z różnych okolic, nie mających nic do stracenia. Wespazjan wprawdzie uważał, że zagarnięcie kilku koni należałoby pomścić jak najsurowiej, bacząc jednak na interes Agryppy, ostatecznie przychylił się do pokornych wołań o zmiłowanie. Postawił wszakże warunek: powstańcy muszą natychmiast opuścić miasto!

Tak się też stało. Wobec zdecydowanie wrogiej postawy mieszkańców Jezus i jego ludzie pospiesznie wyszli z Tyberiady. Przenieśli się do niezbyt odległej Tarichei. Już następnego dnia wojska rzymskie wkroczyły do miasta. Jego bramy otwarto szeroko; były one zresztą tak wąskie, że wypadło zburzyć kawałek muru, po stronie wschodniej, aby umożliwić legionom marsz w zwartym szyku. Poza tym jednak pozostawiono umocnienia nienaruszone. Ufano bowiem przyrzeczeniu Agryppy, że Tyberiada zachowa w przyszłości całkowitą lojalność. Z tejże samej przyczyny jak najsurowiej zakazano żołnierzom dopuszczania się tutaj jakichkolwiek grabieży.

TYTUS POD TARICHEĄ

Zupełnie inaczej potoczyły się wypadki w Tarichei. Powstańcy mieli w tym mieście znaczną przewagę nad mieszkańcami stałymi. Mury obronne były tu wprawdzie słabsze niż w Tyberiadzie, ale za to nie brakowało łodzi rybackich; mogły one zarówno przydać się w walce, jak też ułatwić wycofanie się w wypadku porażki. Jezus, syn Tufy, spostrzegł i wyzyskał to natychmiast.

Wespazjan rozbił obóz pomiędzy Tyberiadą a Taricheą, w miejscowości Ammatu, gdzie tryskały ciepłe źródła lecznicze; nie tak dawno kurował się w nich Jan z Gischali. Rzymianie, pewni swej przewagi, spokojnie pracowali przy budowłach, nie wystawiwszy nawet odpowiednich straży. Niespodziewanie wpadli na nich od strony jeziora ludzie Jezusa, podwiezieni łodziami; zniszczyli część gotowych już umocnień i wycofali się bez żadnych strat własnych dopiero przed kohortami ciężkozbrojnych legionistów, które pospieszyły na pomoc budowniczym obozu. Powstańcy nie odpłynęli zresztą daleko; odsunęli się od brzegu tylko na tyle, by nie mogły ich osiągnąć rzymskie strzały i pociski z proc. Opuścili kotwice na głębszej wodzie, ustawili swe łodzie w prostej linii, jakby stając do walki, i cierpliwie czekali, co uczyni nieprzyjaciel.

A tymczasem sprawy na lądzie również przybrały obrót dla Rzymian niepokojący. Tłumy powstańców wyszły na równinę przed murami Tarichei. Wespazjan pchnął przeciw nim swego syna na czele sześciuset jeźdźców. Tytus wszakże nie był jeszcze doświadczonym oficerem. Wydawało się mu, że ma zbyt szczupłe siły i nie sprosta tamtej ogromnej masie. Posłał więc do obozu; naglił, by dano mu więcej szwadronów. Natomiast jego podkomendni, widać bardziej otrzaskani w bojach, zgoła się nie ulękli bezładnej ciżby nieprzyjaciół; wołali, żeby uderzyć, nie czekając na nic. Tymczasem jednak przygalopował Trajan z czterystu jeźdźcami, a dwa tysiące rzymskich łuczników wspięło się na pobliskie wzgórze; mieli stamtąd razić strzałami ludzi stojących na murach Tarichei, aby nie mogli pomagać walczącym w dole.

Jazda rzymska ruszyła do ataku. Rozwinęła się w długą linię na szerokiej równinie i runęła na chmary powstańców. Spychała ich końmi, kłuła włóczniami, cięła z bliska mieczami. Stało się to, co wciąż regularnie powtarzało się w tej wojnie: ludzie Jezusa, źle uzbrojeni, jeszcze gorzej wyćwiczeni, nie potrafili stawić dłuższego oporu. Zaczęli się cofać ku bramom i murom. Rzymianie usiłowali wprawdzie tak manewrować, by odciąć ich od miasta, ale zbitej gromadzie udało się przerwać zbyt rozciągnięty kordon jeźdźców.

Gdy tylko zamknęły się bramy za pierzchającymi z pola, w mieście doszło do gwałtownych sporów pomiędzy mieszkańcami a powstańcami. Ci pierwsi chcieli ratować swe rodziny i dobytek, toteż wołali, żeby poddać się od razu; drudzy natomiast, nie mając nic do stracenia, obstawali przy dalszej walce. Wrzask skłóconego tłumu niósł się daleko. Tytus nie zwlekał. Wparł swego konia w wody jeziora, zatoczył łuk przy wybrzeżu i wtargnął na czele jeźdźców do miasta już w obrębie jego murów; od tej bowiem strony, gdzie dotykało ono jeziora, nie miało żadnych umocnień.

Nie było już zorganizowanej obrony. Walczyły tylko jednostki lub małe grupy najodważniejszych. Większość powstańców – a przewodził im sam Jezus! – rzuciła się do ucieczki. Rzymianie tymczasem pracowicie wymordowywali ludność; rzeź przerwali dopiero na rozkaz Tytusa.

STADION W TYBERIADZIE

Gdy Wespazjan przyjechał do Tarichei, było już po wszystkim. Naczelny wódz nie ukrywał swego zadowolenia z męstwa i sukcesów syna. Rozkazał obstarwić miasto posterunkami i strzec pilnie, aby nikt się nie wymknął. Na wybrzeżu leżało sporo porzucanych belek i desek; już w dniu następnym legioniści zbili z nich szerokie tratwy i wypłynęli na jezioro, ku flotyli łodzi na pobliskich wodach. Powstańcy bowiem, rzecz zdumiewająca, nie uciekli, choć przecież tak łatwo mogli to zrobić w ciemnościach nocy! Może chcieli raz jeszcze spróbować szczęścia? A może nie przewidywali, że Rzymianie okażą się tak zaradni i sprawni?

Ludzie na łódkach nie mieli nawet odpowiedniej broni. Gdy zmierzały ku nim powolne tratwy, w rozpaczy ciskali kamieniami w zwarte jak stalowa ściana szeregi legionistów; ale kamienie odbijały się z głuchym łoskotem od pancerzy, tarcz i hełmów. A tymczasem łucznicy rzymscy, przyklękając za osłoną ciężkozbrojnych, celnie i nieprzerwanie razili ich strzałami. Potem ciężkie tratwy zaczęły napierać na łódki wątle i chwiejne, miażdżąc je i otaczając. Rzymianie wprawnie dźgali ich załogi włóczniami. Tych, co skacząc do wody, usiłovali ratować się wpław, bili wiosłami po głowach i karkach, spychając w głębiny. Innym, którzy tonąc, rozpaczliwie czepiali się tratw, odcinali ręce. Na wybrzeżu Wespazjan rozstawił kordon jeźdźców i piechurów; ci odpędzali lub zabijali każdego, kto nadludzkim wysiłkiem zdołał aż tu dopłynąć.

Dnia następnego na jeziorze – zwłaszcza przy brzegu, gdzie uderzały fale – gęsto unosiły się wzdęte zwłoki ludzkie i szczątki łodzi. We wrześnieńskim upale ciała zabitych rozkładały się szybko; po całej okolicy szła okropna won trupia.

Wszystko to działo się w krainie uroczej, bogatej, uśmiechniętej. Wody jeziora, przejrzyste i chłodne, roją się od ryb przeróżnych, brzegi zaś są przeważnie łagodne i wysypane złocistym piaskiem. Wszystkie ziemie wokół pokrywa bujna zieleń, bo na urodzajnej glebie i w łagodnym, zawsze wiosennym klimacie wspaniale się rozrastają i wciąż owocują drzewa i krzewy każdego rodzaju: palmy i orzechowce, oliwki, figowce, winorośl.

Tymczasem wódz rzymski odbywał przegląd wielotysięcznej rzeszy jeńców. Chodziło przede wszystkim o oddzielenie nie tylko powstańców, lecz także mężczyzn i kobiet, przybyłych z innych okolic, od ludności miejscowej; tej darowano życie i wolność. Zastanawiano się następnie, co począć z rzeszą obcych. Podobno Wespazjan początkowo zamierzał i tych puścić swobodnie – zwłaszcza że najżarliwsi spośród powstańców albo polegli w walce, albo uciekli wraz z Jezusem. Jednakże od razu podniosły się głosy, że byłoby to wielce niebezpieczne:

– Ułaskawieni z pewnością podniosą broń przy najbliższej sposobności przeciw swym dobroczyńcom! A zresztą trzeba pokazać wszystkim, jak bezwzględnie karzą Rzymianie każdy opór!

To zdanie zwyciężyło.

Powstała wszakże inna trudność, natury, by tak rzec, technicznej. W jaki sposób wyróżnić lub zakuć w kajdany aż tylu ludzi? Jak przeprowadzić to w Tarichei, na oczach jej mieszkańców? Mogłoby dojść do aktów buntu i rozpaczy; zginęłoby sporo osób, które chciano oszczędzić jako poddanych Agryppy i Bereniki.

Po gruntownej analizie sytuacji postanowiono zastosować pewien wybieg. Wespazjan nie powiedział przybyszom wyraźnie, że darowuje im życie, pozwolił jednak, by wyszli z Tarichei – ale tylko tą drogą, która prowadziła do Tyberiady.

Masy zbiegów ruszyły ku temu miastu, dźwigając i wlokąc cały swój nędzny dobytek. W wielu bowiem wypadkach były to całe rodziny; przeważały kobiety, a także ludzie słabi, schorowani, starzy. Szli drogą wzdłuż brzegów jeziora; od strony lądu strzegł jej prawie nie-

przerwany kordon rzymskich żołnierzy. Pocieszali się, że legioniści pilnują tylko tego, by ktoś nie zboczył i nie zbiegł. Ale gdy długa kolumna zbliżyła się wreszcie do Tyberiady, oddziały zbrojnych zaczęły kierować ją i spychać na duży stadion podmiejski. Potem zamknęły go, obstawiły, i przystąpiły do rozdzielania stłoczonej masy ludzkiej. Osoby słabe i niedołączone poszły pod miecz. Resztę sprzedano w niewolę. Zadbano troskliwie o to, by ludzi pochodzących z włości króla Agryppy oddać w jego ręce; ale i on później ich sprzedał. Natomiast kilka tysięcy młodych, krzepkich mężczyzn Wespazjan rozkazał zakuć w kajdany i odesłać do Koryntu, jako dar dla Nerona; mieli tam pracować przy budowie kanału korynckiego, którą zainaugurował przed kilku miesiącami sam cesarz.

KANAŁ KORYNCKI I FILOZOF

Prace przy drodze wodnej, która miała przeciąć wąski przesmyk i połączyć Morze Egejskie z Jońskim, rozpoczęto jesienią roku 67. Zainicjował je, jak się rzekło, sam Neron. Najpierw odśpiewał hymn ku czci bóstw morskich, a potem trzykrotnie wbił złotą łopatkę w ziemię; pełny koszyk wyniósł na własnych barkach na usypisko. Dzieło boskiego mistrza kontynuowali, równie symbolicznie, najwyżsi dostojnicy z jego otoczenia. Później do roboty zabrali się żołnierze straży przybocznej, pretorianie, a jeszcze później, zwykłą koleją rzeczy, przygnano tu więźniów kryminalnych i politycznych oraz jeńców wojennych z Palestyny. Tym wyznaczono odcinki najtrudniejsze, gdzie trzeba było rozbijać skały.

Jednakże prace nie trwały zbyt długo. Najpierw rozeszły się pogłoski, że poziom Morza Jońskiego jest znacznie wyższy od Egejskiego, gdyby więc po przekopaniu kanału masy wód runęły z zachodu, spowodowałyby straszliwy kataklizm, zatapiając wyspę Eginę, a może nawet wyrrywając ją z posad; leżała bowiem naprzeciw wschodniego ujścia przyszłego kanału. Te obliczenia i ostrzeżenia były podobno dziełem mierniczych egipskich, uchodzących za najlepszych fachowców w zakresie budownictwa wodnego. Jednakże nie dawano im wiary. Wiedzano dobrze, że prace przerwano skutkiem wydarzeń politycznych, które już wkrótce miały doprowadzić do katastrofy.

Niektórzy twierdzili, że wśród więźniów politycznych, zatrudnionych przy najcięższych robotach, znajdował się też Muzoniusz Rufus. Faktem było, że Neron usunął go ze stolicy za szerzenie wśród młodzieży niezdrowych, wywrotowych poglądów oraz za utrzymywanie kontaktów z osobami jawnie wrogimi błogości nowych czasów. A więc padł on ofiarą tej samej akcji, która spowodowała, że Apoloniusz wyjechał do Hiszpanii.

Muzoniusz prowadził rodzaj szkoły filozoficznej, do której przyjmował tylko wybranych. W swych pismach i wykładach nauczał:

Jeśli chodzi o obyczajowość i moralność, wszystkich ludzi należy traktować po prostu jako chorych. I jak wszyscy chorzy, potrzebują oni stałej opieki lekarskiej. Medycyną duszy jest filozofia. Tylko przez nią prowadzi droga do zdrowia moralnego. Toteż każdy winien poważnie się nią zajmować, także kobiety. Z drugiej zaś strony treścią i celem wszelkiej działalności filozoficznej jest osiągnięcie zdrowia moralnego. Bo cóż to znaczy filozofować? Poznawać i praktykować postępowanie zgodne z obowiązkami moralności. Dlatego też wychodzi na to samo, czy powiemy: To filozof – czy też: To uczciwy człowiek. Natomiast wszelkie zagadnienia i dyskusje teoretyczne są jedynie igraszką umysłu. Do prawdziwej wiedzy filozoficznej można dojść bez żadnej erudycji i studiów, albowiem zdrowie psychiczne jest pochodną nie wykształcenia, lecz usilnej pracy nad samym sobą; a to można doskonale praktykować, wykonując nawet ciężkie prace fizyczne, przy łopacie i pługu. Jeśli zaś chodzi o nauczycieli, najważniejsze jest to, aby postępowali w życiu całkowicie zgodnie ze swymi naukami. Celem wszelkiego filozofowania nie jest szukanie łatwego poklasku, lecz ulepszenie słuchaczy oraz zapewnienie im wewnętrznego szczęścia. A na czym ono polega? Odpowiedź jest prosta: szczęście to pełna i całkowita wolność wewnętrzna. Osiąga się ją, kierując w sposób rozumny tym, co jest w naszej mocy, oraz obojętnie poddając się temu, co od nas nie zależy. Trzeba więc z jednej strony ograniczać swe potrzeby, z drugiej zaś wznosić się ponad wszelkie cierpienia, jakie niesie z sobą nieuchronnie samo życie. Każdy musi umrzeć, nie szukajmy więc śmierci i nie uciekajmy przed nią. Tak samo nie uważajmy za coś złego wygnania; filozof wszędzie czuje się jak w domu, jest bowiem obywatelem nie jednego kraju, lecz całego świata.¹⁵

¹⁵ Fragmenty Muzoniusza wydał O. Hense, Lipsk 1905.

Aż się prosiło, by pysznego nauczyciela, który tyle prawił o wewnętrznej wolności, tak wychwalał pracę fizyczną i wciąż głosił, że wszędzie będzie mu również dobrze, uwięzić, przegnać z ojczyzny, zapędzić do ciężkich robót. Byłoby więc z punktu widzenia władzy zrozumiałe i usprawiedliwione, gdyby Muzoniusz nieco popracował przy budowie kanału korynckiego. W rzeczywistości Neron nie okazał się aż tak złośliwy. Jeśli Muzoniusz w ogóle tam się znalazł, to tylko na krótko; większą część wygnania spędził na wysepce Gyaros. Licznie odwiedzały go tam rzesze wielbicieli, którym wydawało się, że w ten sposób dają wyraz swej odwadze cywilnej oraz biorą czynny udział w ruchu oporu przeciw tyranowi.

WOJNA W JUDEI I ŚMIERĆ NERONA

Ostateczny kres pracom przy budowie kanału korynckiego położyła wiadomość o śmierci Nerona. Ta sama wiadomość sprawiła też, że ustały działania wojenne w Judei, dotychczas rozwijające się bardzo planowo i pomyślnie dla Rzymian.

Neron zginął śmiercią samobójczą, wbijając sobie sztylet w szyję. Stało się to w willi jego wyzwoleńca w pobliżu Rzymu, w dniu 9 czerwca roku 68. Jednakże w Palestynie dowiedziano się o tym dopiero pod koniec tegoż miesiąca. Tak długo trwała żegluga; a i to jeśli pogoda była dobra, przy sprzyjającym wietrze.

Tymczasem Wespazjan już od wczesnej wiosny owego roku prowadził operacje w różnych okęgach Palestyny. Spieszył się, z Zachodu bowiem napływały doniesienia niepokojące. W Galii wybuchło powstanie Windeksa, namiestnika prowincji luguńskiej. Co prawda legiony nadreńskie stłumiły je rychło, ale same pragnęły obwołać cesarzem swego wodza, Werginiusza Rufusa. Opowiadali się przeciw Neronowi namiestnicy Hiszpanii; oczy wielu obywateli, nawet w samym Rzymie, zwracały się ku najstarszemu i najpoważniejszemu z nich, Galbie; jemu to chciano oddać purpurę; on zaś sam oświadczył publicznie, że uważa się za legata nie cesarza, lecz senatu i ludu – co równało się rzuceniu władcy jawnego wyzwania. Zerwał z Neronem także namiestnik Afryki.

Meldunki o tych wydarzeniach dochodziły do Wespazjana stopniowo, gdy był już w polu, w trakcie kampanii. Powodowały, że działał tym energiczniej. Pragnął dokonać jak najwięcej, by wynik tutejszej wojny był przesądzony, nim jeszcze na Zachodzie dojdzie do katastrofy. Obawiał się także, że powstańcy, poinformowani równie dobrze o rozwoju sytuacji politycznej, zaczną wiązać z nią zbytne nadzieje. Kierował się prostą, słuszną zasadą: musi pokazać, że niezależnie od tego, co dzieje się gdzie indziej, Rzym ani na moment nie przerwie tej wojny i doprowadzi ją do zwycięskiego końca!

Wyruszywszy z Cezarei nadmorskiej w kierunku południowym, przemaszerował przez szeroką, żyzną równinę. Niszczyl i palił wszystko wokół. W miasteczku Emaus pozostawił legion piąty. Potem, idąc wciąż na południe, wkroczył do Idumei; kraina ta rozciągała się na zachód od Morza Martwego, a na południe od Judei właściwej. Tylko w dwóch jej osadach rozkazał wyróżnić ponad dziesięć tysięcy ludzi, tysiąc zaś pojmał do niewoli; resztę mieszkańców, tam i gdzie indziej, wygnał z ich domostw. Pozostawił w Idumei znaczne siły; miały one systematycznie pustoszyć całą krainę. Sam natomiast powiódł główny korpus na północ, omijając jednak Judeę właściwą. Przeszedł znowu przez Emaus, a potem przez ziemię Samarii. Tutaj uczynił łuk w kierunku wschodnim i zstąpił do doliny Jordanu w pobliżu miejscowości Koreaj. Było to już pod koniec drugiej dekady czerwca. Doliną rzeki maszerował znowu na południe, aż do miasta Jerycho. Tu połączył się z Trajanem, dowódcą legionu dziesiątego. Ten prowadził dotychczas działania po wschodniej stronie Jordanu, już od marca krwawo pacyfikując wszystkie tamtejsze ośrodki oporu. Początkowo w akcji tej brał udział sam Wespazjan, potem zaś, gdy powrócił do Cezarei i stamtąd ruszył na Idumeę, dowództwo sprawował trybun Placydus oraz Trajan.

Na wieść o zbliżaniu się Rzymian ludność okolic Jerycha uciekła w góry, ku Jerozolimie. Ci, którzy ośmielili się pozostać w domach, zginęli. W samym Jerycho nie było prawie niko-

WYCIECZKA NAD MORZE MARTWE

Gdyby nie upały, obezwładniające zwłaszcza latem, Jerycho mogłoby wydać się rajską oazą, pełną wszelakich bogactw i uroków. Dzięki życiodajnej wodzie źródła, bijącego rok cały, ziemia w okolicach miasta, nawet lekko zwilżona, bujnie rozkwitała intensywną zielenią ogrodów, palm, drzew, wonnych krzewów; słynęły zwłaszcza balsamowe. Przez cały rok wabiły oczy kwieciami i owocami różne gatunki roślin. Widok ten radował tym bardziej, że wszędzie wokół rozciągała się płowa pustynia: górską i skalistą, jeśliby pójść na zachód, ku Jerozolimie, równinna zaś i całkowicie nieurodzajna, gdyby doliną Jordanu zmierzać na południe, ku ujściu rzeki do Morza Martwego.

Wespazjan przyjechał tu w czerwcu. Miał wprawdzie do dyspozycji dawny pałac Heroda Wielkiego, wspaniały i wyposażony w baseny kąpielowe, powietrze jednak, jako że już zaczęło się lato, było tak ciężkie, że nie pozwalało się cieszyć urokami jerychońskiej roślinności. Niewielką ulgę przynosiły opowieści o tym, że zimą panuje tu prawdziwa wiosna: można przechadzać się w lekkim, lnianym odzieniu w tym samym czasie, kiedy w Jerozolimie, położonej co prawda znacznie wyżej, lecz odległej zaledwie o kilkanaście godzin drogi, wieje przejmujący chłodem wiatr lub śnieg pada!

Kto wie, czy właśnie owe dokuczliwe upały nie skłoniły Wespazjana, by dla rozrywki wybrać się nad Morze Martwe, którego lśniąca taflę widać stąd było doskonale. O przedziwnych właściwościach tego morza słyszał zewsząd relacje wręcz niewiarygodne, a droga do wybrzeży nie trwała dłużej niż dwie godziny. Wódz zapewne przypuszczał, że powietrze, jak to zwykle nad wielką przestrzenią wodną, będzie tam rzeźwiejsze. Pod tym względem spotkał go zawód. Przekonał się natomiast, że o niezwykłościach morza mówiono szczerą prawdę. Jego wody były przeraźliwie gorzkie i słone, wrogie wszelkiemu życiu. Ci, co tutaj już byli, utrzymywali zgodnie, że nic w nich nie tonie. Aby rzecz sprawdzić, Wespazjan dokonał eksperymentu naukowego. Rozkazał wsadzić na łódkę kilku ludzi nie umiejących pływać, wyjechać na głębiny i tam ich wyrzucić; dla wszelkiej pewności dopilnował, żeby mieli ręce związane na plecach. I oto wszyscy oni momentalnie wypłynęli na powierzchnię i bez żadnego trudu unosili się na niej, jakby podtrzymywała ich jakaś siła tajemna! Widziano też kołyszące się na falach ogromne, czarne bryły asfaltowe. Odrywały się one od dna morskiego i wciąż pojawiały się na nowo, choć tubylcy pilnie je wyławiali dla zarobku; służyły zamiast smoły do uszczelniania łodzi, a twierdzono również, że drobne ilości asfaltu, dodane do leków, wzmagają ich skuteczność. Właśnie z powodu owych brył wielu zwało morze Asfaltowym.

Po oglądnięciu wszystkich cudów Wespazjan zapewne dałby wiarę innym opowieściom, związanym z okolicą. A mianowicie – tak głosili tubylcy – niegdyś były one niezmiernie urodzajne, bogate, ludne; jednakże występki pysznych, zarozumiałych mieszkańców, wśród których nie znalazł się ani jeden sprawiedliwy, doprowadziły do tego, że ogień z niebios pochłonął grzeszne miasta i spalił na popiół wszystko wokół.

Lecz i obecnie wybrzeża nie były całkowicie bezludne. Szpiedzy donosili, że niezbyt stąd daleko, wśród skalnych rozpadlin i urwisk, gdzie biją słabe źródła, spotkać można dość duże osady. Powiadano też, że żyją w nich wyznawcy dziwnej sekty, a główny ośrodek nosi imię Mesad Chasidim, co się tłumaczy Twierdza Pobożnych.

Już sama ta nazwa musiała zaniepokoić Wespazjana.

PITAGOREIZM I ESSEŃCZYCY

Z jakimże zachwytem przyjąłby Apoloniusz z Tyany relację o naukach i trybie życia mieszkańców Mesad Chasidim! Zwano ich w środowisku Żydów mówiących po grecku esseńczykami. Zdumiałby się z pewnością, że ich poglądy i postępowanie tak bardzo podobne są do tego, co sam głosi i praktykuje. Doszedłby więc do wniosku, że wyjaśnienie może być tylko jedno: oto esseńczycy są, jak i on, spadkobiercami myśli Pitagorasa; z tym tylko, że żyjąc w niegreckim otoczeniu, zniekształcili postać pierwotnej doktryny i przejęli pewne obce wierzenia. I chyba Apoloniusz nie myliłby się tak zupełnie. Bo również niektórzy uczeni nowożytni – skrupulatni, krytyczni, ostrożni – przychylają się do poglądu, że pitagoreizm wywarł wpływ na dogmaty i regułę esseńczyków. Choć oczywiście nie tylko pitagoreizm; znacznie silniej oddziaływała religia irańska; o tym jednak nikt postronny nie mógł wtedy wiedzieć, bo właśnie nauki pochodzenia irańskiego należały u esseńczyków do najtajniejszych i zapisane były w świętych, niedostępnych obcym księgach. Natomiast to, co przypominało pitagoreizm w poglądach i zachowaniu się, łatwo mógł zaobserwować i opisać każdy świadek patrzący z zewnątrz.

Józef syn Matiasza nie był esseńczykiem, ale stykał się osobiście z przedstawicielami sekty. Wystawił im – podobnie zresztą jak inni współcześni – opinię jak najpochlebniejszą. Ponieważ zaś tajnych ich doktryn nie znał i ograniczał się tylko do tego, co można było spoznać lub wywiedzieć się pytaniami, w jego relacji element pitagorejski występuje tym silniej. Gdyby Apoloniusz zawitał wtedy do Palestyny i porozmawiał z Józefem, lub też, bawiąc w Egipcie, przeczytał niektóre księgi Filona z Aleksandrii, musiałby wytworzyć sobie taki obraz:

Esseńczyków żyje w Judei około czterech tysięcy; a jest to sekta wyłącznie męska. Tworzą wspólnoty rozrzucone po miastach i wsiach całego kraju, główny jednak ośrodek leży u zachodnich wybrzeży Morza Martwego, niedaleko Jerycha. Żaden z nich nie posiada niczego na własność. Nawet odzieży. Wstępując do sekty, oddaje jej cały swój dobytek. W zamian ma prawo korzystać w razie potrzeby z majątku wspólnoty. Jeśli podróżuje, znajdzie dach nad głową, posiłek i odzież u esseńskiego szafarza danej miejscowości; a ci znajdują się prawie wszędzie. Zresztą potrzeby ich są nad wyraz skromne, nauka ich bowiem wymaga ograniczania swych pragnień, wstrzemięźliwości, panowania nad sobą. Odzież noszą możliwie prostą, białą, lnianą; nową otrzymują dopiero wtedy, gdy stara zedrze się zupełnie. Podobnie sandały.

Żon nie mają. Zapytywani o powód, odpowiadają:

– Wszelka rozkosz to zło, należy jej więc unikać. Kobiet zaś należy się wystrzegać również dlatego, że są to istoty wiarołomne, samolubne, zawistne, podstępne, obłudne, wabiące do uciech osłabiających charakter. Człowiek żonaty, a tym bardziej mający dzieci, staje się w gruncie rzeczy niewolnikiem.

Sekta trwa więc tylko tym sposobem, że dobrowolnie wstępują do niej dojrzały mężczyźni; niekiedy też adoptują chłopców i od małego sposobią ich według swych zasad. Istnieje wszakże odłam esseńczyków wstępujących w związki małżeńskie. Ci twierdzą, że podejmują ten ciężki obowiązek dla dobra społeczności, która inaczej by wymarła. Żenią się jednak dopiero po trzech latach narzeczeństwa, dobrze wypróbując charakter swych oblubienic; i tylko po to, by dzieci płodzić.

O brzasku dnia odmawiają tajemną modlitwę do słońca. Potem idą do pracy, gdzie każą przełożeni. Uprawiają ziemię, wypasają bydło, zajmują się pszczelarstwem i niektórymi rzemiosłami. Około południa znowu się schodzą, przepasują się białą chustą i biorą zimną kąpiel. W jadalni wspólnego domu – a wstęp tam mają tylko członkowie sekty – zasiadają, milcząc; otrzymują chleb i miskę z jedną tylko potrawą. Nikt jednak nie tknie jedzenia, póki star-

szy nie odmówi modlitwy; podobnie też modlitwą kończą każdy posiłek. Wszystko zaś, co czynią, dokonuje się w milczeniu; jeśli pada jakieś słowo, to tylko nieodzownie konieczne.

Swym przełożonym dochowują absolutnego posłuszeństwa. Nie wolno im niczego czynić bez ich zgody – chyba że chodzi o udzielenie natychmiastowej pomocy lub okazanie miłosierdzia.

Są zawsze spokojni i opanowani, a słowo ich więcej znaczy od przysięgi; tej zresztą nigdy nie używają i twierdzą nawet, że jest ona rodzajem bluźnierstwa. Pilnie oddają się studiom nad starymi księgami, a także nad tym, co służy zdrowiu; wielu z nich osiąga późną starość.

Kto chce przystać do nich, musi odbyć rok próby. Otrzymuje wtedy toporek, białą chustę i odzież. Ale i po tym roku nie uczestniczy we wspólnych posiłkach, lecz tylko w ablucjach. Musi jeszcze przez dwa lata terminować. Dopiero wtedy składa uroczyste ślubowanie, w którym zobowiązuje się czcić Boga, spełniać obowiązki wobec ludzi, nikogo nie krzywdzić, nie-nawidzić krzywdę czyniących, okazywać posłuszeństwo, kochać prawdę, brzydzić się kłamstwem, nie kraść, nie mieć tajemnic przed braćmi, żadnej ich tajemnicy nie zdradzić – nawet gdyby śmierć groziła.

Kto by złamał ślubowanie, będzie wykluczony; a wyrok zapada, gdy zbierze się przynajmniej stu esseńczyków.

Szabatu przestrzegają jak najpilniej, lecz do świątyni jerozolimskiej posyłają ofiary tylko bezkrwawe; albowiem krwawych nie uznają w ogóle.

Wierzą, że w ciele żyje eteryczna dusza nieśmiertelna, uwięziona w nim niby w grobie. Toteż śmierć fizyczna jest dla niej początkiem właściwego życia, w którym czeka ją nagroda lub kara – w zależności od tego, na co zasłużyła w swym ziemskim bytowaniu. Dusza człowieka sprawiedliwego idzie daleko za Ocean, do krainy wiecznej szczęśliwości i wiosny; złego natomiast zstępuje do podziemia, gdzie mrok, chłód, cierpienie.

ZAGŁADA MESAD CHASIDIM

Dowództwo rzymskie nie zastanawiało się wszakże ani nad wzniosłością nauk esseńskich, ani też nad kwestią ich pitagorejskiego lub irańskiego rodowodu. Dla Wespazjana i jego oficerów ważne było tylko to, że w bliskim sąsiedztwie Jerycha znajdują się osady jakiejś sekty oraz rzekoma twierdza; jej załoga – tak opowiadano – to wyłącznie mężczyźni, żyjący we wspólnocie, dobrze zorganizowani, poddani wojskowej dyscyplinie.

Operację przeprowadzono błyskawicznie i skutecznie. Trwała tak krótko i była w istocie przedsięwzięciem tak mało znaczącym, że Józef, historyk wojny, nawet nie wspomina o niej w swym dziele; wówczas zresztą, jak się wydaje, przebywał daleko stamtąd, bo w Cezarei nadmorskiej. Esseńczycy chyba nie stawiali oporu; tym bardziej że prócz swych toporków żadnej broni nie mieli. Większość prawdopodobnie zdołała ująć w porę i ukryć się wśród niedostępnych skał, rozpadlin i pieczar, potem zaś wywedrować dalej; część poszła do niewoli, niektórych zaś spotkała śmierć. Ginęli z pewnością mężnie. Józef, który nieraz się przyglądał, jak ich torturowano w czasie wojny w różnych miejscowościach, wyraża się ze szczerym podziwem o odwadze i wytrzymałości tych ludzi na cierpienia najokropniejsze. Choć rozciągano im i łamano kości, a ciało przypalano żywym ogniem, nikt nie potrafił ich zmusić, by się zaparli swego Mistrza lub wzięli do ust pokarm zakazany. Umierali bez łez i jęków, uśmiechając się nawet.

Budowle osady zniszczono i spalono. Wskazują na to dziś jeszcze ślady zupełnie wyraźne. W większości pomieszczeń zawaliły się sufity i wyższe partie murów, a wśród gruzów i czarnego pyłu pożogi tkwią żelazne ostrza strzał rzymskich. O tym zaś, że katastrofa przyszła w roku 68, świadczą pośrednio monety. Zachowało się ich sporo w ruinach; natrafiono nawet na mały skarb, z całą pewnością ukryty w pośpiechu, niemal w ostatniej chwili przed wtargnięciem wroga. Monety pochodzą z różnych okresów i mennic; jednakże w warstwie dotkniętej zniszczeniem wojennym stosunkowo najliczniej reprezentowane są pieniądze z brązu, wybijane w Jerozolimie przez władze powstańcze. Otóż prawie wszystkie wyszły z mennicy w drugim roku powstania, to jest w 67 naszej ery, a tylko kilka w roku trzecim, który rozpoczynał się, według rachuby żydowskiej, wczesną wiosną roku 68; monet późniejszych w tej warstwie nie ma w ogóle.

W zrujnowanej osadzie stały załogą rzymskie oddziały. Wskazują na to dwa fakty. Po pierwsze część ocalałych zabudowań, a zwłaszcza wieżę i mur obronny, wzmocniono; wzniesiono też naprędce nieco nowych pomieszczeń mieszkalnych na miejscu zniszczonych. Fakt drugi to znowu monety. Znaleziono ich w tej warstwie kilkanaście. Nie są to jednak monety żydowskie, powstańcze, lecz przeważnie te, które w tym czasie wybijała mennica w Cezarei nadmorskiej i w mieście Dora; nimi to wyplacano żołd rzymskim żołnierzom w Palestynie.¹⁶

Załoga zdobywców stała tu przez kilka lat. Punkt był rzeczywiście znakomity. Pozwalał na kontrolowanie znacznego obszaru; z wysokiej, skalnej platformy, na której pobudowano osadę, rozpościerał się rozległy widok na zachodnie i północne wybrzeża morza. Utrzymywanie w tym miejscu silnego posterunku musiało wydać się Rzymianom tym konieczniejsze, że o niespełna 50 kilometrów dalej na południe – a więc zaledwie o dzień drogi – wznosiły się mury potężnej Masady, zajętej przez Żarliwych.

Wreszcie jednak Rzymianie odeszli. Mimo to dawni mieszkańcy nigdy już tu nie powrócili; rozproszyli się po całym kraju, wyginęli w latach wojny, poszli na obczyznę – pod przymusem lub dobrowolnie. Nie powrócili też do swej mniejszej osady, oddalonej od Mesad Chasidim o kilka kilometrów, zniszczonej również w roku 68. Tak więc przez całe wieki nikt

¹⁶ R. de Vaux, *L'Archéologie et les manuscrits de la Mer Morte*, London 1961, s. 33 – 36.

nie zaglądał do skalnych pieczar w okolicy. I przez całe wieki czekały w nich na swych prawych właścicieli święte księgi esseńczyków. W wielkich dzbanach glinianych spoczywały zwoje skórzane, papirusowe, nawet miedziane, przeniesione tu z biblioteki wspólnoty i ukryte, gdy Rzymianie już podchodzili pod mury.

Pewnego dnia w marcu roku 1947 młody pasterz arabski Muhammad ad Dib szukał wśród skalnych urwisk kozy, która odeszła od trzody. Dostrzegł czarny otwór jakiejś rozpadliny. Przypadkowo lub może umyślnie, dla zabawy, wrzucił weń kamień. Natychmiast rozległ się suchy trzask rozbijanych naczyń glinianych.

Ruiny osady większej nosiły wtedy nazwę Qumran, mniejszej zaś Ain Feszcha.

POWRÓT DO CEZAREI

Siły wojskowe, które Wespazjan pozostawił w zniszczonej osadzie esseńczyków nad morzem, nie były wielkie. Uważano je zresztą tylko za wysuniętą straż głównego w tym rejonie obozu, założonego w samym Jerycho; stał tam legion X Fretensis. Garnizon ten zamykał powstańcom z Jerozolimy drogę do doliny Jordanu i nad Morze Martwe. Natomiast legion V Macedoński, stacjonujący po przeciwnej stronie wyżyny, w Emaus, bronił dróg wiodących z Jerozolimy na zachód ku równinie nadmorskiej; powracając z Jerycha Wespazjan dodatkowo wzmocnił tamten front, osadził bowiem pewne oddziały także w miejscowości Adida, niedaleko Emaus.

Już będąc w drodze do Cezarei nadmorskiej, wódz wysłał jednego ze swych podkomendnych do miasteczka Gerazy; leżało ono w północnej Judei, w okręgu Akrabeta. Oczywiście Gerazy tej nie należy mylić z innym miastem tegoż imienia, znacznie większym i sławniejszym, zamieszkałym głównie przez Greków, a leżącym dość daleko na wschód od Jordanu. Powodem ekspedycji były doniesienia, że w okręgu akrabetańskim działa śmiały przywódca powstańczy – rozbójnik, powiedzieliby Józef i Agryppa – Szymon syn Giory, pochodzący właśnie z Gerazy.

Miasto zdobyto za pierwszym atakiem. Zastosowano zwykle metody: młodych mężczyzn wycięto w pień, kobiety i dzieci pognano do niewoli, domy ograbiono i spalono. Podobnie spacyfikowano wsie okoliczne. Jednakże samego Szymona nie udało się schwycić. Uratowało go to, że jeszcze przed przybyciem w te okolice Rzymian popadł w konflikt z najwyższymi kapłanami w Jerozolimie; ci uważali, że poczyna sobie w swym okręgu zbyt samowolnie. Opuścił więc ziemie Gerazy i przeniósł się, razem ze swoją drużyną i kobietami, daleko na południe, do Masady.

Były już ostatnie dni czerwca. Wespazjan, jadący do Cezarei, ufnie patrzył w przyszłość. Jerozolimę, serce powstania, trzymał w kleszczach. Jego wojska stały we wszystkich miastach i krainach wokół; w Jerycho i w Emaus, w Samarii na północy i w Idumei na południu. Pierwszy etap kampanii roku 68 zakończył się pięknym sukcesem, miłym żołnierskiemu sercu. Etapem następnym, w lecie i wczesną jesienią, miało być uderzenie na okolice Jerozolimy i na samo miasto.

Zaledwie jednak wódz stanął w swej głównej kwaterze, do portu Cezarei zawinął okręt. Przypłynął z Aleksandrii egipskiej, a może nawet prosto z Italii. Wiózł zawiadomienia – zapewne były to zarówno pisma oficjalne, jak i prywatne listy – o wielkiej wagi wypadkach, jakie wydarzyły się w Rzymie: w dniu 8 czerwca senat uroczystie ogłosił nowym cesarzem Sulpicjusza Galbę, a w dzień później opuszczony przez wszystkich Neron zginął nędzną śmiercią.

Tak brzmiały pierwsze doniesienia. Pozostawiały one jednak wiele kwestii niejasnych i nierozstrzygniętych, nasuwały też wiele pytań, na które odpowiedź mogła dać tylko przyszłość, i to nie najbliższa. Czy Galba przyjmie godność ofiarowaną mu w takich okolicznościach? Jakie stanowisko zajmą namiestnicy innych prowincji? Czy nie wysuną swych własnych kandydatur? A co począć, jeśli rozpęta się wojna domowa pomiędzy legionami różnych krain?

Wespazjan, człowiek trzeźwy i roztropny, natychmiast poniechał wszelkich myśli o ataku na Jerozolimę. Co więcej, uznał za wskazane przerwać wszelkie działania wojenne. Obecnie ważne było tylko jedno: trzymać mocno pozycje już zajęte i czekać na dalszy rozwój wypadków w samym Rzymie.

Gdy zakomunikował tę decyzję swym oficerom, podniosły się z pewnością głosy, że przeciwnik może wyzyskać tę pauzę w walkach – któż wie, jak długo ona potrwa? – by zreorgani-

zować i skrzepić swe siły. Jednakże wódz naczelny był, podobnie jak poprzednio, spokojny i dobrej myśli. Mówił:

– Czas pracuje dla nas. Nie zależy mi na zwycięstwach spektakularnych. Ci rozbójnicy rozszarpią się sami. I wtedy, gdy wszystko dojrzeje, przyjdziemy, aby ich dobić.

Miało wszakże wiele czasu upłynąć, nim doszło do tego.

Ale też zarazem miało popłynąć wskutek walk wewnętrznych dużo krwi nie tylko w Jerozolimie, lecz i w samym Rzymie.

PODRÓŻ TYTUSA I AGRYPPY

Wbrew oczekiwaniom Berenika nie wyjechała do Rzymu. Oficjalnie można to było tłumaczyć tym, że bez naglącej konieczności nikt, a zwłaszcza kobieta, nie wybiera się w daleką podróż w porze roku tak niesprzyjającej, bo zimowej, kiedy chłody i deszcze, a morze burzliwe. Ludzie związani z dworem powiadali również, że wojna wymaga, by ktoś z królewskiej rodziny pozostał na miejscu i czuwał nad rozwojem wydarzeń – dla dobra obu stron, zarówno mieszkańców kraju, jak i Rzymian. Oczywiście i pilną powinnością króla Agryppy jest złożenie hołdu w stolicy Imperium nowemu cesarzowi; skoro więc on wyjeżdża, Berenika musi w tych groźnych czasach przejąć opiekę nad majątkiem i krajem; komuż bowiem król mógłby ufać bardziej niż swej rodzonej siostrze?

Łatwo jednak było odgadnąć również inne, chyba istotniejsze przyczyny, dla których tak kochające się rodzeństwo postanowiło rozłączyć się na czas dłuższy. Chodziło o samego Galbę. Był to już starzec. Liczył lat siedemdziesiąt trzy. Surowy, chory, o nogach i rękach tak powykrecanych przez artretyzm, że każdy sandał uwierał mu stopy, a dłonie nie potrafiły rozwinąć nawet zwoju papirusu. Ten człowiek zgorzkniały i cierpiący z pewnością bardzo niechętnie powitałby królową, której niemal jawne pożycie z bratem wydawało się czymś szokującym wielu osobom, skądinąd nader pobłażliwym. Zresztą Galba w ogóle kobiet nie lubił; choć kiedyś tam żonaty, już od lat gustował przede wszystkim w chłopcach i w mężczyznach.

Biorąc pod uwagę tę okoliczność rzeczywiście polityczniej było, żeby Agryppa stawiał się nad Tybrem sam. Kto wie jednak, czy na decyzji Bereniki, by nie jechać do Rzymu, nie zaważył w jeszcze większym stopniu wzgląd na Tytusa.

Młody syn Wespazjana wybierał się do stolicy równocześnie i razem z Agryppą. Miał pokłonić się cesarzowi w imieniu ojca, złożyć życzenia od niego i od legionów, przedstawić szczegółowo sytuację w Palestynie, a także prosić o dalsze rozkazy w sprawie wojny. Taka prezentacja ułatwiłaby też Tytusowi starania o wyższe urzędy państwowe. Otóż na całym Wschodzie mówiono już bardzo głośno, że jest on rozkochany w Berenice, i to nie bez wzajemności. Gdyby królowa towarzyszyła w podróży jemu i Agryppie, zaczęto by rozpowiadać o tym jeszcze donośniej, i to w samym Rzymie. Cóż za pikantna materia plotek! Oto zjawia się w stolicy niezwykle trójkątem miłosny, w którym ona jest siostrą jednego z kochanków, a ze względu na swój wiek mogłaby być niemal matką drugiego; Tytus miał przecież lat dwadzieścia osiem, Berenika zaś przekroczyła czterdziestkę.

Od chwili przerwania działań wojennych w połowie roku 68 minęło już niemal sześć miesięcy. Wojska rzymskie stały w swych obozach i w miejscowościach zajętych. Powstańcy żarli się pomiędzy sobą i również nie atakowali. Dochodziło tylko do drobnych, nic nie znaczących utarczek. Wyżsi oficerowie niewiele mieli do roboty poza zwykłymi inspekcjami. Latem więc i jesienią było wiele czasu wolnego. Składano wizyty w pałacach królewskich w obu Cezareach, w Tyrze, w Berycie. Zabawiano się przy stołach i w ogrodach. Właśnie w ciągu tych miesięcy, o których historia milczy, musiał dojrzeć i rozkwitnąć romans Tytusa i Bereniki.

Można by w tym miejscu zapytać, czemu to Wespazjan zwlekał tak długo z wysłaniem syna do stolicy. Odpowiedź jest prosta: Galba podróżował z Hiszpanii powoli i stanął w Rzymie dopiero jesienią, w połowie października.

Jednakże podróż Tytusa stała się jeszcze przed jej rozpoczęciem przedmiotem wielu spekulacji politycznych i plotek, rozpowszechnianych tak w Rzymie, jak i na Wschodzie. Powiadano mianowicie, że udaje się on do stolicy specjalnie wezwany przez Galbę, który pragnie go usynowić; co w praktyce oznaczałoby, że czyni go swoim następcą. Z pewnych względów

wydawało się to prawdopodobne. Cesarz był stary i bezdzietny, musiał więc rozważyć, komu i w jaki sposób przekazać władzę, jeśli chciał uchronić państwo przed chaosem i grozą wojen domowych w wypadku swej śmierci. Co prawda Tytusa nie znał w ogóle albo bardzo mało. Mógł jednak słyszeć, że ten młody człowiek odznacza się wyjątkową inteligencją, dobrą postawą, odwagą i energią. Niewątpliwie wszakże chodziło o coś zupełnie innego. Owszem, rzecz to niewykluczona, że cesarz polecił swym zaufanym rozpuścić pogłoski o możliwości takiej adopcji; czynił to jednak tylko w tym celu, aby zapewnić sobie bezwzględną lojalność Wespazjana, który nie tylko miał pod swymi rozkazami wojska w Palestynie, lecz także mógłby liczyć na poparcie potężnej armii syryjskiej. Galba potrzebował takiej ostoi gwałtownie, a to wobec groźnej sytuacji w niektórych prowincjach, a nawet w samym Rzymie. Tu wielu już czyhało na cesarski spadek po starcu. Celowo rozsiewane pogłoski o usynowieniu Tytusa, za którym stały legiony Wschodu, miały ostudzić nadmierne zapały nadtybrzańskich polityków i dać Galbie swobodę manewru w tej tak ważnej sprawie. Cesarz istotnie myślał o adoptowaniu kogoś, miał już nawet upatrzonego kandydata; ale nie był nim Tytus.

W każdym jednak razie, czy traktowano owe pogłoski poważnie, czy też nie, absolutnie nie wypadało, by ewentualny przybrany syn władcy Imperium przybywał do stolicy z orientalną kochanką, i to córką ludu, z którym właśnie toczono wojnę; choćby nawet była królową. Rzymianie nie zapomnieli o Kleopatrze.

Tak więc Tytus i Agryppa pożeglowali do Italii sami, bez Bereniki. Płynęli na pokładach rzymskich okrętów wojennych. Opuścili port Cezarei nadmorskiej w grudniu roku 68. Ze względu na porę roku obrali długą drogę: wzdłuż wybrzeży Syrii i Azji Mniejszej do Grecji. Przybili do wybrzeży Przesmyku Korynckiego już po dniu 20 stycznia roku 69.

GŁOWA GALBY

Zawinawszy do wschodniego portu Koryntu w miejscowości Kenchraj Tytus i król Agrypa musieli opuścić swe okręty. Nie było kanału, którym mogłyby one przepłynąć na drugą, zachodnią stronę wąskiego pasma lądu, do portu we właściwym Koryncie. Stamtąd dopiero miano żeglować wprost do Italii. Niewielka odległość pomiędzy obu portami – zaledwie godzina drogi pieszo – sprawiała, że mniejsze statki i łodzie przeciągano po torach z belek i głazów; ich wojenne okręty były jednak za duże i za ciężkie. Król i wódz wsiedli do lektyk.

Po drodze podziwiali ogrom przerwanych robót ziemnych. Zapewne dyskutowali też o kosztach i użyteczności wielkiego projektu; oraz o tym, czy impreza ta nie przyczyniła się pośrednio do upadku Nerona. Jednakże wnet po przybyciu do miasta musieli zmienić temat rozmów. Już na ulicach spostrzegli oznaki niezwykłego podniecenia tłumów. Wkrótce też dowiedzieli się ku swemu zdumieniu i przerażeniu, jakie są przyczyny powszechnego poruszenia. Oto dopiero co przybyli wprost z Rzymu podróżni, naoczni świadkowie tego, co wydarzyło się tam w dniu 15 stycznia. Cesarz Galba został zamordowany. Stało się to na samym Forum, tuż koło sadzawki Kurcjusza, na oczach setek i tysięcy ludzi. Gdy tylko usłyszano tętent koni cwałujących po bruku ulic, od strony koszar pretorianów, tłumy rozpierzchły się natychmiast, a tragarze cesarskiej lektyki uciekali w takim popłochu, że Galba, stary i zniechęcony, wypadł na bruk. Nim jeszcze się podźwignął, któryś z żołnierzy przebił mu gardło mieczem. Nad martwym ciałem pastwiono się bestialsko, zadając wiele ran gdzie popadło – z wyjątkiem piersi i brzucha, bo te chronił pancerz. Poniewierane i plugawione zwłoki leżały na Forum aż do nocy. Głowę odciął pewien szeregowiec i niósł nowemu władcy w płaszczu. Oddana obozowej służbie, wbita na dzidę i obnoszona przez gawiedź wśród szyderstw, została wreszcie wykupiona za sto złotych monet. Nie po to jednak, by ocalić ją od hańby!

Nabywca należał niegdyś do służby Patrobiosa. Ten był wyzwolencem Nerona, organizatorem igrzysk i zawodów pałacowych. To właśnie Patrobios sprowadzał aż z Egiptu delikatny piasek nilowy, by wysypywać nim areny boisk i stadionów. Flotyła okrętów transportowych przywoziła ciężkie ładunki mułu, a tymczasem Rzymowi groził głód. Oburzenie ludności, wywołane tą sprawą, zwracało się zarówno przeciw Neronowi, jak i Patrobiosowi. Toteż natychmiast po swym przyjeździe do Rzymu, w październiku roku 68, Galba rozkazał uwięzić Patrobiosa wraz z kilku innymi wyzwolencami niedawnego władcy. Najpierw oprowadzano ich, skutych kajdanami, wokół miasta, ku uciechu motłochu. Potem zginęli wszyscy: Narcyz, Helios, Patrobios, trucicielka Lokusta. Obecnie Galba zapłacił za tamtą egzekucję: jego głowę wyzwolencem Patrobiosa zatknął przed grobowcem swego pana. Odnaleziono ją dopiero dnia następnego. Tymczasem zaś zwłoki cesarza spalono już w ogrodzie jego prywatnego domu przy via Aurelia; o pogrzeb ten zadbał ktoś ze służby. Tenże sam człowiek spalił również głowę, a prochy jej dosypał do urny.

Niemal jednocześnie z Galbą zginął konsul Tytus Winiusz, towarzyszący mu na Forum. Żołnierze dopadli go przy świątyni Juliusza Cezara; gdy upadł, ugodzony w nogi poniżej kolan, przeszli mu bok mieczem.

Nieco później, ale też w tym samym dniu, i również na Forum, śmierć dosięgła trzecią wybitną osobistość z cesarskiego orszaku – Lucjusza Pizona. Co prawda, w pierwszym momencie mogło się wydawać, że ocali go bohaterstwo centuriona, przydzielonego mu dla obrony przez Galbę. Oficer ten stanął sam, tylko ze sztyletem w ręku, naprzeciw gromadzie rozjuszonych żołnierzy. Krzyczał wielkim głosem, żeby się opamiętali, nim zbrodnię popelniają. Dzięki chwili wahania ze strony nacierających Pizon – który zresztą już odniósł ranę – podbiegł do świątynki Westy i wśliznął się do izby dozorczy. Lecz i stamtąd żołnierze wyciągnęli go siłą i zatłukli u samego wejścia.

Odcięte głowy Winiusza i Pizona zatknięto na dzidach i obnoszono po mieście obok bojowych godeł kohort pretoriańskich i orła legionowego. Potem odsprzedano je rodzinom za godziwe pieniądze.

Pod wieczór tegoż dnia senat uroczyście przyznał wszystkie zwyczajowe tytuły i godności nowemu cesarzowi, okrzykniętemu już przez pretorianów. Był nim Marek Salwiusz Othon.

GWIAZDY I ZAMACH STANU

Gdyby nie Ptolemeusz Seleukos, domowy astrolog Othona, zamachu dokonano by kilka dni wcześniej – nie w dniu 15, lecz 10 stycznia. Jednakże Othon już od lat bezwzględnie ufał swemu wróżowi. Toteż kiedy Ptolemeusz oświadczył kategorycznie, że gwiazdy źle wróżą wszystkiemu, co rozpocznie się w 10 dniu nowego roku, posłusznie odłożył sprawę i poskromił namiętną niecierpliwość. Co prawda także zdrowy rozsądek nakazywał wstrzymać akcję, jeszcze niedojrzałą i nie w pełni przygotowaną.

Ptolemeusz służył Othonowi astrologiczną poradą już w latach jego wczesnej młodości, kiedy należał on do najściślejszego grona przyjaciół Nerona i towarzyszył mu we wszelkich igraszkach, hulankach, zabawach. To właśnie Othon poślubił piękną Poppeę Sabinę tylko po to, by cesarz, wówczas jeszcze żonaty z Oktawią, mógł swobodnie z nią obcować. Wszelako Othon wkrótce złamał intymną umowę i sam zaczął interesować się kobietą, która jako żona przebywała w jego domu w charakterze cudzego depozytu. Te zdrożne amory miały dla niego przykre konsekwencje. Urażony władca natychmiast wysłał go na najdalsze, zachodnie rubieże Imperium jako namiestnika prowincji Luzytanii. Stało się to w roku 58. Odtąd Othon przebywał tam nieprzerwanie przez lat dziesięć, wywiązując się doskonale ze swych obowiązków – ku zdumieniu wszystkich, którzy znali go dotychczas tylko jako hulakę i rozpustnika.

Astrolog pozostał w Rzymie, u boku Poppei. Wraz z nią przeżywał chwile triumfu, gdy cesarz zgładziwszy Oktawię, oficjalnie ją poślubił. Dzięki swej pani cieszył się ogromnymi wpływami na dworze, usuwając w cień innych przedstawicieli tej znakomitej dyscypliny. Jednakże piękne czasy świetności skończyły się nagle w pewnym dniu roku 65, ze śmiercią Poppei; była w ciąży, gdy Neron po pijanemu kopnął ją w brzuch. Wprawdzie cesarz rozpaczał, opłakiwał zmarłą, rozkazał ją zabalsamować i oficjalnie uznać za bóstwo, ale wnet zaczął się rozglądać za nową żoną. W tej sytuacji Ptolemeusz wolał opuścić stolicę. Wyjechał do swego dawnego opiekuna, do Othona.

W ostatnich latach Neronowego panowania żadna z wybitnych osobistości rzymskich nie była pewna życia. Drżeli z trwogi senatorowie, namiestnicy prowincji, dowódcy legionów. Drżał także Othon, lękliwie otwierając każdy list z Rzymu i badawczo patrząc w oblicza oficerów przybywających wprost z Italii – czy nie wyczyta na nich wyroku śmierci. Astrolog wszakże wciąż go uspokajał. Twierdził z całą stanowczością, że on, Othon, przeżyje Nerona; taki jest niezłomny wyrok gwiazd.

Pewną pociechą było też pojawienie się w tych stronach Apoloniusza z Tyany. Wyjechał on z Rzymu, jak pamiętamy, jeszcze w roku 66. Odtąd krążył po Hiszpanii, odwiedzał różne miasta, rozmawiał z wielu ludźmi, przestawał nawet z namiestnikami. Dotarł aż do Gades, czyli do dzisiejszego Kadyksu nad Atlantykiem. Był wrogiem Nerona i całkiem tego nie ukrywał; bezpieczeństwo zapewniała mu powszechna wiara, że potrafi dokonywać rzeczy niezwykłych. Bo i w Hiszpanii opowiadano, jak to obawiał się zdrzeć z Apoloniuszem prefekt pretorianów Tygellinus; rozgłaszano też, jak to cudotwórca wskrzesił w Rzymie dziewczynę już spoczywającą na marach.

Wygodny pretekst do złośliwych wycieczek przeciw Neronowi dawały Apoloniuszowi doniesienia o artystycznym tournée cesarza po krainach Grecji. Oto na przykład przybywa do Gades goniec z wieścią, że cesarz trzykrotnie zwyciężył w Olimpij; z okazji tego triumfu nakazuje się złożenie bogom we wszystkich miastach Imperium ofiar dziękczynnych i odprawienie nabożeństw. W mieście słyszano coś o igrzyskach olimpijskich; jednakże ludność okoliczna, półbarbarzyńska, była święcie przekonana, że cesarz pokonał jakiś wschodni lud Olimpijczyków i bardzo ochoczo święciła ten nowy sukces rzymskiego oręża.

Jaki właściwie był cel przedłużającego się pobytu Apoloniusza w prowincjach hiszpańskich? Może spełniał jakąś tajną misję? Może służył za pośrednika pomiędzy namiestnikami różnych krain półwyspu? Któż zaręczy, że nie odgrywał on ważnej roli w przygotowywaniu wielkiego spisku przeciw Neronowi? Jest w każdym razie rzeczą godną uwagi, że wyjechał on z Hiszpanii wiosną roku 68, gdy sprawy buntu dojrzały tu już w pełni. Tym razem celem jego podróży był Egipt. Podążał tam przez Afrykę, Sycylię, Grecję, wybrzeża Azji Mniejszej, wyspę Rodos.

Równocześnie zaś, tejże wiosny roku 68, Othon jako jeden z pierwszych opowiedział się za Galbą, namiestnikiem sąsiedniej prowincji Hiszpanii Bliższej. Popierał go odważnie i gorliwie, choć jeszcze całkiem nie było pewne, czy bunt nie zakończy się klęską. Kiedy zaś wszystko rozwinęło się pomyślnie, przybył do Rzymu w październiku tegoż roku w otoczeniu Galby, jako jeden z najbliższych jego współpracowników.

Wraz z Othonem powrócił do stolicy także astrolog Ptolemeusz. Obecnie wróżył i przepowiadał swemu panu, że wkrótce zostanie władcą Imperium. Wydawało się to wysoce prawdopodobne również wielu innym osobom, obserwującym nie gwiazdy, lecz właśnie realia życia i polityki. Galba, człowiek stary i bezdziejny, musiał przecież kogoś adoptować. Othon zaś, mężczyzna w sile wieku – zbliżał się do czterdziestki – dał się już poznać jako energiczny administrator w Luzytanii; wydatnie pomógł nowemu cesarzowi w osiągnięciu władzy, cieszył się jego zaufaniem. Wiedzano również, że konsul Tytus Winiusz, najbliższy doradca Galby, zdecydowanie popiera kandydaturę Othona, co prawda ze względów rodzinnych; zamierzał wydać zań swoją córkę. Oczywiście nie brakowało też wpływowych przeciwników Othona, niechętnych zarówno osobiście jemu, jak też nazbyt możnemu Winiuszowi. Ci przypominali młodzieńcze swawole i wybryki Othona:

– A więc po to – wołali – usunęło się Nerona, aby obecnie wprowadzać na tron współnika jego szaleństw i zbrodni!

Rzecz ciekawa: właśnie dawne powiązania z Neronem zjednywały Othonowi wiele sympatii wśród prostego ludu i pretorianów. Wspominali oni mile igrzyska, swobodę, wesoły tryb życia za Neronowego panowania. Żywili cichą nadzieję, że właśnie Othon przywróci urok i beztroskę tamtych dni, jakżeż cudownych w porównaniu z obecnym reżimem starczej surowości i skąpstwa!

Othon zdawał sobie sprawę z nastrojów w stolicy. Przy pomocy przyjaciół usilnie pracował nad wyzyskaniem ich dla swych celów. Chodziło mu zwłaszcza o wojsko. Trybunów i centurionów, a nawet prostych szeregowców, szczególnie tych oddziałów zwiadowczych, zwanych „speculatores”, zjednywał pieniędzmi i przystępnością.

W dniu ósmym lub dziewiątym stycznia nadeszły do Rzymu drogą prywatną wiadomości o rozruchach w armii Renu. Wywołało to niepokój w mieście i na Palatynie, choć rzecz nie była jeszcze ani jasna, ani pewna. W każdym razie Galba uznał, że nie wolno już dłużej zwlekać z wyznaczeniem przybranego syna i następcy. Rankiem dnia 10 stycznia rozkazał przyzwać do siebie – Lucjusza Pizona.

LUCJUSZ PIZON

O tym stosunkowo młodym, bo trzydziestoletnim człowieku dotychczas niewiele słyszano. Owszem, przed niemal ćwierćwieczem głośno było w całym Rzymie o katastrofie, która nagle spadła na jego dom rodzinny. Z rozkazu Klaudiusza zginął ojciec Pizona, jeden z najwybitniejszych senatorów i najbliższych współpracowników władcy. Jak się wydaje, podejrzewano go o uknućcie spisku przeciw cesarzowi. Los jego podzielił najstarszy syn, a także żona; wszyscy troje prawdopodobnie popełnili samobójstwo. Lucjusz Pizon, wówczas kilkuletni chłopiec poszedł na wygnanie; przebywał z dala od Rzymu zarówno za Klaudiusza, jak i za jego następcy, Nerona. Powrócił do stolicy dopiero niedawno, zaledwie przed kilku miesiącami, właśnie dzięki Galbie. Ale ponieważ cesarz ten ułaskawił prawie wszystkie ofiary poprzednich rządów – także filozofa Muzoniusza – pojawienie się młodego Pizona nie wywołało szczególnej sensacji.

I oto zupełnie niespodziewanie, wbrew wszelkim rachubom i oczekiwaniom, właśnie on został przybranym synem władcy, Cezarem, następcą tronu! Gubiono się w domysłach, czemu to wybór Galby padł na człowieka, który nie sprawował dotychczas żadnych urzędów, nie służył w wojsku, nie miał w stolicy wpływowych przyjaciół. Złośliwcy wnet znaleźli odpowiedź. Twierdzili, że spodobał się Galbie sam wyraz twarzy Pizona – tak poważny, że aż ponury; młodzieniec o takim charakterze musiał przypaść do serca starcowi twardemu i surowemu. Przypominano też, jeszcze złośliwiej, powiedzenie nieżyjącego już Seneki o ojcu Pizona:

– On jest tak głupi, że mógłby nawet rządzić! Dodając, że godny ojca syn spełnił proroctwo. Nie ulega wszakże wątpliwości, że Galba kierował się względami zasługującymi na uwagę. Przede wszystkim pragnął mieć przy sobie człowieka nie związanego z żadną ze zwalczających się na jego dworze koterii; kogoś całkowicie z zewnątrz. Zalecało również Pizona jego arystokratyczne pochodzenie; przez matkę był on nawet potomkiem tak sławnych osobistości sprzed przeszło wieku, z okresu schyłku republiki, jak triumwirowie Pompeusz i Krassus. Fakt, że tyle ucierpiał od cesarzy poprzedniej dynastii, julijsko-klaudyjskiej, gwarantował, że będzie zdecydowanie kontynuował politykę wrogości wobec wszystkich osób z nią związanych. Ale i złośliwcy mieli trochę racji; poważna postawa Pizona z pewnością spodobała się staremu cesarzowi.

W dniu 10 stycznia, w którym Galba wezwał Pizona na Palatyn, padał deszcz; rozpętała się nawet burza z błyskawicami i piorunami, rzecz nie tak częsta o tej porze roku. Cesarz zupełnie się tym nie przejął. Rozkazał zanieść się do obozu pretorianów. Zwołano natychmiast wiec żołnierski – i to w takim pośpiechu, że woźni zapomnieli ustawić przed trybuną krzesło obozowe, jak się godziło według pradawnego obyczaju. Stojąc na trybunie, Galba oświadczył w krótkich słowach, że już dokonał wyboru i aktu adopcji. Przedstawił swego przybranego syna. Tylko oficerowie i garstka szeregowych powitała tę deklarację przyjaznym okrzykiem; przygniatająca większość trwała w ponurym milczeniu. Nie bez przyczyny! Cesarz nie uczynił wzmianki o wypłacie dodatkowego żołdu, tak zwanego „donativum”; a przecież za Nerona pretorianie otrzymywali nagrody przy każdej okazji. Jednakże Galba był zdecydowany przywrócić surową dyscyplinę z dawnych czasów; uważał, że właśnie nadmierna hojność poprzednich cesarzy zdemoralizowała armię. Toteż zaraz na początku swych rządów oświadczył domagającym się podwyższenia żołdu:

– Ja nie kupuję żołnierzy! Ja ich zaciągam!

Tej dewizie pozostał bezwzględnie wierny.

Natychmiast po wiecu cesarz i Pizon udali się do budynku posiedzeń senatu, gdzie obaj wygłosili mowy, przyjęte oczywiście jak najżyczliwiej.

Gdyby nie astrolog Ptolemeusz, Othon, boleśnie zawiedziony w swych nadziejach, uderzyłby może już tego dnia. Ostrzeżony wszakże przez znaki na niebie, rzecz nieco odłożył; na dni pięć.

15 STYCZNIA

Rankiem dnia 15 stycznia Galba składał ofiary przed świątynią Apollona na Palatynie. Znakomity kapłan i wróż Umbrycjusz Melior, autor bardzo cenionych ksiąg o wróżbiarstwie etruskim, zbadał wnętrze zarzniętych na ołtarzu zwierząt i rzekł głosem zatroskanym:

– Znaki są niepomyślne. Grożą zdradą domową i zasadzką. Dziś nie powinieneś opuszczać pałacu.

Postanowiono złożyć powtórne ofiary – dla przebłagania bogów i uzyskania dodatkowych wskazówek. Othon stał tuż obok cesarza. Jak bowiem było zwyczajem, o świcie zjawił się w pałacu, by pozdrowić władcę; ten przyjął go bardzo życzliwie, a nawet ucałował. W chwili, gdy przystępowano do nowej ceremonii przy ołtarzu, podszedł do Othona zaufany wyzwoleńiec i szepnął – ale tak, aby słyszeli inni – że architekt i budowniczy czekają. Słowa te oznaczały w istocie: wszystko gotowe, żołnierze już się zgromadzili!

Othon natychmiast odłączył się od stojących przed świątynią. Po drodze ktoś z cesarskiego orszaku zapytał, dokąd tak spieszy. Odpowiedział uprzejmie:

– Właśnie kupuję wiejską posiadłość. Ale coś mi się wydaje, że budynek całkiem zmurzały. Muszę to zbadać dokładnie.

Wsparty na swym wyzwolencu przeszedł przez dawny pałac Tyberiusza, potem zaś zstąpił ze wzgórza i Drogą Świętą przemierzył Forum w kierunku Kapitolu. Obok świątyni Saturna stał złocisty kamień milowy, symboliczny początek wszystkich dróg Imperium. Zgromadziło się tam dwudziestu trzech uzbrojonych pretorianów z oddziałów zwiadowczych. Widząc tę garstkę, Othon się zaniepokoił i zapytał:

– Czemu ich tak mało? Gdzie reszta?

Podobno chciał się cofnąć, jakby dopiero teraz zdał sobie sprawę z ogromu ryzyka. Ale tamci już go otoczyli. Krzyknęli gromko, po żołniersku:

– Salve Imperator!

Natychmiast, niemal siłą, wepchnęli go do przygotowanej lektyki; przypadkowo była to lektyka kobieca. Dobyli mieczów i spieszonym krokiem ruszyli w kierunku swych koszar; leżały one dość daleko, za murami miasta, pomiędzy Via Nomentana i Via Tiburtia. Po drodze dołączyło się do nich mniej więcej tyluż towarzyszy – niektórzy wtajemniczeni, inni z prostej ciekawości: łącznie zebrało się ich prawie pięćdziesięciu. Maszerowali tak szybko, że tragarze lektyki nie mogli nadążyć. Othon wysiadł i pieszo biegł wraz z żołnierzami. Zatrzymał się na chwilę, aby zawiązać sznurowadła sandała; towarzysze wzięli go natychmiast na ramiona. Nie chcieli tracić ni chwili. Ich życie rzeczywiście zależało obecnie od pośpiechu. Nie wolno było dopuścić, by na Palatynie dowiedziano się przedwcześnie o zamachu Othona. Obecnie wszyscy byli więźniami wypadków, nikt nie mógł się wycofać.

Sytuacja w obozie była taka, że większość żołnierzy zachowałaby się biernie, gdyby nie determinacja garstki straceńców. Tak nadużywane porównanie z małym kamieniem, który pociąga za sobą potężną lawinę, byłoby tu rzeczywiście trafne. Do tej garstki śmiałków dochodziły coraz to szersze grupy i kręgi ich towarzyszy, przyjaciół, kolegów. Wkrótce, wśród powszechnego entuzjazmu, Othon stał na trybunie, wyniesiony tam na rękach żołnierzy, otoczony godłami bojowymi, pozdrawiany przez tłum jako imperator. Odbierał przysięgę wierności, przemawiał, wyciągał dłonie do falującej ciżby zbrojnych, przesyłał pocałunki. Wołał:

– Ja tylko tyle będę miał władzy, ile wy zechcecie mi pozostawić!

Imperium rzymskie miało w tym momencie czterech cesarzy. Trzech z nich w samym Rzymie: Galbę i Pizona na Palatynie, Othona zaś w koszarach pretorianów. Natomiast cesarz czwarty – o czym tu wiedzieli tylko wtajemniczeni – rezydował nad Renem. Był nim Aulus Witeliusz, wyniesiony przez tamtejsze legiony już w dniu 2 stycznia. Potężna bowiem armia

Renu poczytywała sobie za ujmę, że to nie ona, lecz słabe wojska Hiszpanii dały władzę Rzymowi. Obwołując Witeliusza, chciała rzecz te naprawić.

Tymczasem na Palatyn, gdzie wciąż patroszono zwierzęta przy ołtarzu, zaczęły napływać dziwne wiadomości. Najpierw opowiadano, że pretorianie porwali z Forum jakiegoś senatora i uprowadzili go do swego obozu. Potem ci i owi zapewniali, coraz bardziej stanowczo, że porwanym jest Othon. Na wszelki wypadek Pizon przemówił ze stopni pałacu do kohorty trzymającej w tym dniu straż na Palatynie. Wydawało się, że większość żołnierzy przyjęła słowa młodego cesarza życzliwie; rozeszli się tylko, nie wiadomo gdzie i po co, ci, którzy wchodzili w skład oddziału zwiadowczego. Kohorta wnet stanęła w gotowości bojowej wraz ze swymi godłami; tłumaczono sobie, że w razie potrzeby będzie bronić cesarza i jego syna. Rozesłano też oficerów i wyższych urzędników do różnych formacji wojskowych, stacjonowanych w mieście. Wkrótce wszyscy powrócili z niczym. Jedni spotkali się z całkowitą obojętnością, innych zaś po prostu przepędzono.

Tłumy zebrane na Palatynie wielkim głosem domagały się śmierci Othona i uczestników spisku. Ludzie wyżywali się we wrzaskach, nie obawiając się przy tym niczego; nawet bowiem zwycięski Othon nie mógłby pociągnąć do odpowiedzialności nikogo z tej nieprzejrzanej ciżby, traktującej te dramatyczne i doniosłe wypadki jako pasjonujące widowisko, prawie nieustępujące igrzyskom gladiatorским.

Galba prowadził gorączkowe narady za swymi najbliższymi. Czy pozostać na Palatynie, otoczyć wzgórze strażami, uzbroić niewolników? Takie było zdanie konsula Tytusa Winiusza. Inni wszakże nawoływali do działania: należy uderzyć, póki bunt jeszcze nie nabrał impetu i siły! Trzeba zejść z Palatynu, zająć Forum, obsadzić Kapitol! Po pewnym wahaniu cesarz przychylił się do tego poglądu. Poleciał Pizonowi pojechać do koszar pretorianów i próbować ich przekonać. Młody następca tronu wyruszył bezzwłocznie – a tymczasem tuż po jego odejściu gruchnęła pogłoska, że Othona już zabito! Tłumy pospólstwa wyłamały bramy pałacowe i załazy dziedziniec; każdy bowiem mieszkaniec Rzymu pragnął okazać cesarzowi, jak bardzo się cieszy i jak jest mu oddany. Galba przywdział zbroję – był to pancerz ze stalowych łusek, naszywanych na lnianym płótnie – i wsiadł do lektyki; masy ludzkie napierały zewsząd tak potężnie, że mogłyby ją przewrócić. Jakiś pretorian z oddziałów zwiadowczych zaczął wymachiwać ku niemu skrwawionym mieczem, wołając, że tym oto ostrzem zabił buntownika. Lecz Galba zdobył się tylko na surowe pytanie:

– Na czyj rozkaz?

Orszak już zstępował z Palatynu, już wchodził na Forum. W tejże chwili zjawił się Pizon. Nie dotarł do samego obozu, ale o tym, co się tam stało, mógł wnioskować z potężnych okrzyków na cześć Othona, dobrze słyszalnych nawet w mieście. Znowu zaczęto się zastanawiać, co czynić dalej. Wrócić? Iść na Forum? Bronić się na Kapitolu?

Tłumy zaległy Forum, wszystkie jego świątynie i gmachy. Z zapartym oddechem i w śmiertelnym milczeniu patrzyły na bezradną grupę ludzi wokół cesarskiej lektyki. Wydawać by się mogło, iż wszystko to rozgrywa się w jakimś ogromnym teatrze, którego sceną jest Droga Święta, stopniami zaś widowni budynki i dachy.

Właśnie wtedy rozległ się tętent koni cwałujących po bruku. Galopowały wysłane przez Othona najwierniejsze mu oddziały zwiadowców. W tym momencie wszystko zależało od postawy kohorty trzymającej straż. Gdyby ona dochowała wierności, tamci zapewne nie śmieliby atakować. Lecz oto chorąży kohorty teatralnym ruchem zerwał medalion z wizerunkiem Galby, który nosił zawieszony na szyi, i cisnął nim o ziemię.

Potem rozpoczęła się rzeź.

NARADA I ROZSTANIE W KORYNCIE

Tak więc potoczyły się wypadki w Rzymie w dniach od 10 do 15 stycznia – i tak opowiadano o nich Tytusowi oraz królowi Agryppie, przebywającym w Koryncie. O wydarzeniach natomiast nad Renem dochodziły słuchy nie tak pewne, choć sam fakt, że tamtejsze legiony obwołały cesarzem Witeliusza, zdawał się nie ulegać wątpliwości.

Gdyby sprawy przedstawiały się tylko tak, że miejsce jednego cesarza zajął inny, wszystko byłoby proste. Gratulacje przeznaczone Galbie złożono by jego zabójcy. Skoro wszakże na północy pojawił się jeszcze jeden pretendent do tronu, powstawało pytanie, jak postąpią namiestnicy i armie pozostałych prowincji. Uznają Othona, czy też opowiedzą się za Witeliuszem? A może wysuną swoich kandydatów, rywali tamtych obu? Stawienie się więc teraz w Rzymie i składanie gratulacji Othonowi byłoby równoznaczne z dokonywaniem przedwczesnego wyboru. Co gorsze, byłoby dobrowolnym oddaniem się w ręce władcy Rzymu w charakterze gwarantów lojalności Wespazjana i jego legionów. Z drugiej jednak strony zawrócenie z drogi miałyby znamiona jawnej wrogości wobec Othona. Jeśli umocni on swą władzę, z pewnością nigdy nie zapomni tego afrontu i zemści się przy pierwszej sposobności.

Wreszcie ktoś wysunął dobry wybieg formalny:

– Wysłał nas tutaj Wespazjan i trzy legiony, by złożyć żołnierskie pozdrowienia Galbie. Ale skoro adresat zginął, musimy wracać do naszych mocodawców. Niech oni zadecydują. My jesteśmy przecież tylko nosicielami cudzych zleceń, jak umyślny z listami.

Na tym też stanęło – przynajmniej w otoczeniu Tytusa. Inna natomiast była decyzja króla Agryppy. Ten przyjął wiadomości o ostatnich wydarzeniach dość obojętnie. Uznał, że ktokolwiek będzie panował, on i tak musi zabiegać o jego względy. Othon? Witeliusz? Ktoś inny jeszcze? Tak czy inaczej trzeba będzie stawić się w stolicy Imperium i złożyć pokłon. A skoro jest już tak blisko Italii, nie ma sensu zawracać, tracąc daremnie tyle czasu, trudu, pieniędzy. Sytuacja i tam musi się wyjaśnić w najbliższych miesiącach, wypadałoby więc znowu wybierać się w daleką podróż. Ponieważ Berenika czuwa bezpośrednio nad sprawami królestwa w Palestynie, on może się zająć wielką polityką nad Tybrem i tam zabiegać o względy cesarza – ktokolwiek nim będzie; taki podział czynności wyjdzie tylko na dobre interesom ich obojga.

Tytus przyjął oświadczenie króla, że nie powraca do swego kraju, ze szczerą i chyba nawet nie ukrywaną radością. Istotny jej powód był łatwy do przejrzienia: chodziło o Berenikę. Młody człowiek cieszył się, że stanąwszy znowu w Palestynie wreszcie będzie mógł spotykać się z nią swobodnie! Wreszcie zniknie ów nieco krępujący świadek, jakim jest ów brat i niemal mąż w jednej osobie! A może – bo i to wolno podejrzewać – Tytus dopiero wówczas przerwał podróż, gdy się zorientował, że Agryppa zamierza ją kontynuować?

Król oczywiście zdawał sobie sprawę z miłosnych tęsknot i zapędów swego towarzysza. W życiu orientalnego dworu nic nie mogło się ukryć; od tego były zastępy eunuchów, niewolnic, zauszników. Jednakże pożądlive spojrzenia i czułe słowa, które Tytus kierował ku Berenice, chyba tylko radowały Agryppę. Z przyczyn zrozumiałych: w czasach tak ciężkich i niepewnych, gdy w Palestynie toczyła się wojna, w Italii zaś już drugi cesarz w ciągu niecałego roku ginął śmiercią gwałtowną, dobrze było wiedzieć, że syn rzymskiego wodza darzy gorącym uczuciem osobę tak bliską. Jakąż można by wymarzyć lepszą ostoję, gwarancję bezpieczeństwa na przyszłość? Racja stanu doradzała nawet ułatwić sprawę zakochanym, usuwając się dyskretnie – możliwie daleko i na czas dłuższy, a pod bardzo przyzwoitymi pozorami.

Tak więc myśląc właśnie o tej samej kobiecie, o Berenice, Tytus i Agryppa podjęli w Koryncie swe decyzje: jeden, by powrócić, drugi zaś, by nie przerywać podróży. Co miało swoje doniosłe skutki; zwłaszcza wybór, którego dokonał Tytus. Gdyby bowiem pojechał wówczas

do Rzymu, wiele spraw ogromnej wagi musiałyby potoczyć się inaczej. Toteż słusznie czyni Tacyt, świadek i historyk tamtych czasów, wspominając właśnie w tym związku o siostrze Agryppy:

„Byli i tacy, którzy wierzyli, że zawrócił z drogi rozpalony tęsknotą za królową. I rzeczywiście, młodzieńcze jego serce nie stroniło od Bereniki.”¹⁷

¹⁷ Tacyt, *Dzieje*, II 2.

PYTANIA

Zgodnie z powszechną wówczas praktyką, przestrzeganą zwłaszcza w miesiącach zimowych, Tytus żeglował z Koryntu na wschód nie przez otwarte morze, lecz wzdłuż wybrzeży – najpierw Grecji, później zaś Azji Mniejszej. Kiedy jednak dotarł już do wyspy Rodos, postanowił urozmaicić sobie podróż i śmiało skierować się wprost ku Cypru, stamtąd zaś ku Syrii. Przy sposobności zamierzał obejrzeć przybytek Afrodyty, o którym wiele słyszał, oraz zasięgnąć rady wyroczni.

Świątynię w Pafos zwiedził dokładnie. Oglądał słupek kamienny i ołtarz, podziwiał skarbiec, pełen drogocennych i pamiątkowych darów, składanych tu od wieków przez królów i wybitne osobistości z różnych krajów. Potem pytał wyroczni, jak wypadnie dalsza podróż. Sensowniej byłoby oczywiście, gdyby z takim pytaniem zwrócił się, jadąc w tamtą stronę, do Italii, a nie już wracając. Wszelako chodziło Tytusowi również o inne, poważniejsze sprawy, nie o samą drogę. Ta pierwsza konsultacja była tylko próbą, czy bóstwo mu życzliwe. Kiedy bowiem otrzymał odpowiedź pomyślną, natychmiast złożył na ołtarzu wielką ofiarę – zapewne, jak się godziło i jak było to zwyczajem, kazał zarznąć młode kozłeta – prosząc o odsłonięcie dalszej przyszłości. Trzewia zwierząt zbadał dokładnie kapłan Sostratus. Orzekł krótko, że wszystko pójdzie dobrze. To przy świadkach, na dziedzińcu, publicznie. Zaraz jednak potem rozmawiał z Tytusem tylko w cztery oczy.

O czym mówili, tego oczywiście nie wiedział nikt. Po wielu wszakże latach rozeszły się pogłoski, że już wtedy, na Pafos, przepowiedziano Tytusowi to wszystko, co potem sprawdziło się tak pięknie. Jakże łatwe wróżenie z rzeczy dokonanych, jak przejrzyste umacnianie autorytetu wyroczni! Pytanie, czy Tytus i Sostratus w ogóle zajmowali się w czasie swego poufnego spotkania wieszczaniem i wróżbami. Kapłan mógł równie dobrze przekazywać synowi wodza tajne informacje. Do Pafos zjeżdżały tłumy pielgrzymów z krain pobliskich i dalekich, toteż w świątyni doskonale się orientowano w najskrytszych wydarzeniach, jakie się rozgrywały we wszystkich miastach i na wszystkich dworach Bliskiego Wschodu.

W każdym razie młody człowiek powracał do Cezarei nadmorskiej, gdzie znajdowała się zimowa kwatery ojca, pełen różanych nadziei, choć niewolny od dręczących pytań. Rozmyślał z niepokojem, jak potoczą się wypadki na Zachodzie. Czy dojdzie do wojny domowej pomiędzy Othonem a Witeliuszem? A jeśli tam, w Italii lub w Galii, legiony staną przeciw legionom i popłynie krew bratnia, jak ma się zachować armia rzymska w Palestynie? Którą z walczących stron popierać, za kim się opowiedzieć? Patrzyć obojętnie? Zwycięzca nigdy tego nie daruje! Równie ważne będzie stanowisko armii sąsiedniej, syryjskiej – tej, którą dowodzi Mucjan. Jest on niezbyt życzliwy ojcu, Wespazjanowi, i nawet nie czyni z tego tajemnicy. Może więc nie czekać na rozwój wypadków i od razu traktować Mucjana jako wroga? Lub może właśnie inaczej, próbować wejść z nim w porozumienie i wspólnymi siłami stanąć przeciw Zachodowi? A jak postępować w Palestynie? Czy rozpoczynać działania wojenne, aby jak najrychlej zdławić powstanie, czy też przeciwnie – zwłóczyć i patrzeć, jaki obrót przyjmą sprawy w Italii i jakie rozkazy przyjdą ze stolicy? Jest zresztą jeszcze jeden partner w tej grze wielostronnej – powstańcy. Jakie będą ich posunięcia? I tego przewidzieć się nie da, jako że nie są monolitem. Bardzo możliwe, że sami się osłabią i spalą w sporach wewnętrznych, jak stale twierdzi Wespazjan. Ale równie dobrze może stać się i tak, że niespodziewanie wyrośnie wśród nich energiczny przywódca; ten wyzyska bezwład Rzymian, mocną ręką ujmie swoich i poprowadzi ich do walki zaczepnej; gdyby odniósł sukces i powtórzyło się to, co spotkało Cestiusza Gallusa, ruszyłaby lawina, której skutków nawet myślarz obijać nie można!

Były to pytania wielkie, dotyczące spraw państwa, wojny i polityki. Ale były też inne, natury prywatnej, łatwe do odgadnięcia. A trzeba by wreszcie postawić jeszcze inne, związane z

osobami, z którymi Tytus dotychczas się nie stykał, które jednak często występowały na kartach tej książki:

Gdzie obraca się Apoloniusz z Tyany? Czego obecnie naucza i jakich dokonuje rzeczy niezwykłych? Komu właściwie służy? Czy tylko bogom swoim? A jak potoczyły się losy Klemensa – tego, który przed wielu laty przybył z Rzymu do Cezarei, aby szukać prawdy o życiu i śmierci? Przeniósł się stamtąd do Tyru i przez kilka dni mieszkał u dziewczyny imieniem Berenika, bardzo pobożnej; czy nie ona to żyje w późniejszej legendzie jako Weronika? A co się właściwie stało z rodziną Klemensa? Czy naprawdę wszyscy oni zginęli – matka, obaj bracia bliźniacy, ojciec? Skoro odnalazła się Ennoja – choć w jakiejże postaci, w jakim domu w Tyrze fenickim! – może i oni objawią się szukającemu w dziwnych okolicznościach i w kształcie niezwykłym? Tym bardziej że ojciec nosił imię skądś przecież znane. Imię Faustus.

PRZYPISY

Opowieść powyższą zbudowano na podstawie relacji autorów antycznych. Są nimi przede wszystkim historycy: Tacyt, Józef Flawiusz, Swetoniusz, Kasjusz Dion, Plutarch. Wyzyskano również świadectwa dzieł o innym charakterze, a więc pisma Nowego Testamentu, Pseudo-klementyny, apologie, Filostratowy „Żywot Apoloniusza” – by wymienić tylko najważniejsze. W pewnych wypadkach podstawowe znaczenie miały dane epigrafiki i archeologii.

Przypisy dotyczą tylko miejsc, w których źródła przytaczane są dosłownie lub służą pierwszą wskazówką w kilku sprawach.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Patrzac na Rzym z Palatynu
Wykład nauki Szymona Maga
Nazyrejski ślub Bereniki
Samaria-Sebaste
Powitanie Florusa
Żony namiestników
Kleopatra w Pompei
Bosonoga królowa
Pradziad i dziad Bereniki
Ojciec Bereniki i śmierć Kaliguli
Ojciec Bereniki i cesarz Klaudiusz
Rządy i śmierć ojca Bereniki
Świątynie i erotyka
Rozpusta jako element wiary
Apoloniusz z Tyany
Asceza Apoloniusza
Mężowie Bereniki
Budowle brata Bereniki
Akwila: byłem uczniem Szymona Maga
Klemens, syn Faustusa
Helena i Selene
Trzeci mąż Bereniki
Bóg Apoloniusza
Ptaki i demon w Efezie
Paweł przed Agryppą i Bereniką
Szymon i chrześcijaństwo
Akwila: Szymon i nekromancja
Żądania Florusa i procesja świątynna
Walki w Mieście Nowym i Górnym
Powrót króla
Agryppa o potędze Imperium
Refleksje nad mową Agryppy
Szkół Tytusa
Pożegnanie z Jerozolimą

Pożar pałacu Bereniki
Mesjasz Menahem
Julian: spór o mesjanizm
Emigracja do Pelli
Bitwa o pałac Heroda
Tyran Menahem
Trzy wieże
Od Syrii po Egipt
Przygody Filipa
Wyprawa Agryppy i Cestiusza Gallusa
O krok od zwycięstwa
Wąwóz Bethoron
Drugie małżeństwo Tytusa
Dzieweczko, wstań!
Wyjazd do Grecji i sprawy rodu Flawiuszów
Neron i Wespazjan w Grecji
Drogi legionów
Sprawa Filipa i Justusa
Józef: moje czyny i przygody w Galilei
Placydus w Galilei
Rzymianie w marszu i w obozie
Józef: wycofuję się do Tyberiady
Rzymianie pod Jotapatą
Pierwsze dni oblężenia
Pozostaję w Jotapacie
Barani łeb
Rana Wespazjanowa i szturm nocny
Dzień 20 miesiąca Siwan
Pierwsze zwycięstwo Tytusa
Tajemnica góry Garizim
Tajemnice władzy
O pierwszym brzasku we mgle
Wspominam sny swoje
O potrzebie tłumaczenia snów
Ciągniemy los śmierci
Jak było naprawdę?
Prorokuję, aby żyć
Wespazjan i wróżby
Powtórne zdobycie Joppy
Grota Pana i nimf
Wespazjan i Tyberiada
Tytus pod Taricheą
Stadion w Tyberiadzie
Kanał Koryncki i filozof
Wojna w Judei i śmierć Nerona
Wycieczka nad Morze Martwe
Pitagoreizm i esseńczycy
Zagłada Mesad Chasidim
Powrót do Cezarei
Podróż Tytusa i Agryppy

Głowa Galby
Gwiazdy i zamach stanu
Lucjusz Pizon
15 stycznia
Narada i rozstanie w Koryncie
Pytania